



Piotr Witek

# ZAKOchany po uszy, czyli jak pies Przewodnik zmienił moje życie

Lider Projektu

Partnerzy Projektu



Piotr Witek

**ZAKOchany po uszy,  
czyli jak pies Przewodnik  
zmienił moje życie**

## **Text by Piotr Witek 2023**

**Redakcja:** Marcin Piwowoński

**Korekta:** Alicja Witek, Anna Rdest, Marcin Piwowoński

**Opracowanie graficzne okładki:** Sławomir Mirski

**Fotografie w publikacji:** Archiwum autora

**Skład i łamanie:** Sławomir Mirski

Książka powstała dzięki dofinansowaniu w ramach projektu „Trening orientacji przestrzennej dla osób niewidomych i słabowidzących TOPON)” realizowanego w ramach Osi priorytetowej IV. Innowacje społeczne i współpraca ponadnarodowa, Działania 4.3 Współpraca ponadnarodowa Programu Operacyjnego Wiedza Edukacja Rozwój na lata 2014-2020.

ISBN: 978-83-61170-49-5

### **Wydawca:**

Fundacja Instytut Rozwoju Regionalnego

ul. Świętokrzyska 14, 30-015 Kraków

tel. +48 12 444 73 49, e-mail: [biuro@firr.org.pl](mailto:biuro@firr.org.pl), [www.firr.org.pl](http://www.firr.org.pl)

Organizacja Pożytku Publicznego (OPP)

KRS: 00001708022

Twój 1,5% wykorzystamy na pozytywne cele

Nr konta:

54 1140 1081 0000 2309 9800 1011

### **Publikacja rozpowszechniana nieodpłatnie.**

Fundacja Instytut Rozwoju Regionalnego udostępnia publikacje na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowe. Oznacza to, iż przy zachowaniu informacji o autorstwie utwór ten można publikować bądź rozpowszechniać w całości lub we fragmentach na dowolnym nośniku oraz tworzyć z niego utwory zależne.

Tekst licencji można znaleźć pod adresem:

<http://creativecommons.org/licenses/by/4.0/>

### **Więcej o autorze:**

- [www.mojaszufkada.pl](http://www.mojaszufkada.pl)
- LinkedIn

# Spis treści

Vis Maior _____	7
Jak to wszystko się zaczęło? _____	11
Spotkanie informacyjno-kwalifikacyjne _____	13
Spotkanie preselekcyjne _____	27
Człowiek planuje, a Bóg się śmieje _____	35
Jestem Zako, niechaj Państwo mi wybaczą _____	43
Spotkanie drugie _____	55
Spotkanie trzecie _____	65
Spotkanie czwarte _____	75
Spotkanie piąte _____	89
Przekazanie psa _____	99
Pierwsze chwile w nowym domu _____	107
Pierwszy tydzień w nowym domu _____	117
Pierwszy miesiąc w nowym domu _____	131
Pierwszy wspólny rok _____	143
Sześć lat minęło jak jeden dzień _____	171
ZAKOńczenie _____	201



„Wierność psa jest cennym podarunkiem, który nakłada nie mniejsze zobowiązania aniżeli przyjaźń człowieka! Związek z wiernym psem jest tak „wieczny”, jak w ogóle mogą być trwałe związki istot żywych na tej ziemi. Niechaj pamięta o tym każdy, kto bierze sobie psa.

(Konrad Lorenz „I tak człowiek trafił na psa”)





# Vis Maior

To jednak musiała być siła wyższa<sup>1</sup>, gdy 28 marca 2017 roku zadzwonił mój telefon, a po odebraniu połączenia z nieznanego numeru z głośnika dobiegł mnie przyjemny, damski głos: „Dzień dobry, tu Jolanta Kramarz, sekretarka Asi Witkowskiej, Fundacja Vis Maior”. Moje zaskoczenie oraz radość były całkowite i to z kilku różnych powodów.

Kilka dni wcześniej, po raz kolejny, z moją żoną Alicją rozmawialiśmy na temat ewentualnego posiadania przeze mnie psa Przewodnika. Dyskusja ta była obecna w naszym domu od ponad półtora roku, a dokładniej od czasu, gdy oboje mieliśmy możliwość wzięcia udziału w – organizowanym przez tę samą Fundację – wstępnym spotkaniu informacyjnym dla potencjalnych Opiekunów czworonożnych Przewodników osób niewidomych, gdzie otrzymałem informację, że zostałem wpisany na listę osób oczekujących na psa Przewodnika.

Cała sytuacja ta była dla nas o tyle trudna, że nadal, nie tylko w pamięci, ale również głęboko w naszych sercach, spoczywał wygodnie umieszczony, wiecznie żywy Hamlet.

Owczarek szkocki Collie Rough, noszący imię Hamlet, z wyglądu i charakteru do złudzenia przypominający filmową Lassie, przez dwanaście lat był pełnoprawnym członkiem naszej rodziny. Jego nagłe odejście dotknęło nas w niewyobrażalny sposób. Odkąd trafił do nas jako dwumiesięczna, futrzana kulka, z prawdziwą fascynacją obserwowaliśmy, jak rośnie, demoluje nasze mieszkanie,

---

<sup>1</sup> łac. Vis Maior

z wolna ustala swoją pozycję w stadzie oraz jak z tą samą radością przez wszystkie lata, wita każdy wschód słońca i pierwszy poranny spacer. Był z nami we wszystkie dobre i złe dni. Szczekał i skakał szaleńczo, ciesząc się razem z nami, a w ciężkich chwilach w jego gęste futro bezgłośnie wsiąkały łzy. Z czasem tylko, niemal niezauważalnie, dzikie zabawy przeszły w popołudniowe drzemki, krok się zrobił sztywniejszy, a pysk posiwiał. Mimo swego wieku Hamlet nadal był doskonałym psem w doskonałej formie, dlatego nic nas nie mogło przygotować na jego nagłą chorobę i jeszcze gwałtowniejsze odejście. W naszym życiu pozostała po nim nieskończenie wielka i bolesna otchłań.

Wspomniane spotkanie dla potencjalnych Opiekunów psów Przewodników było dla nas swoistą formą terapii, żeby nie powiedzieć dogoterapii. Od śmierci Hamleta próbowałem na różne sposoby przemycić do domu kolejnego szczeniaka Collie. Niestety, doskonale zdawałem sobie sprawę, że w przypadku niczym nieanonsowanej niespodzianki mogło się to skończyć, zarówno dla mnie, jak i dla szczeniaka, wystawieniem za drzwi. Alicja kategorycznie zabroniła mi podobnych akcji. Pośród moich pomysłów na przemycenie psiaka do domu znalazły się między innymi ubranie go w Mikołajową czapę i dostarczenie pod choinkę, czy też wręczenie na Walentynki siedzącego w koszu kwiatów z pluszowym serduszkem na szyi. Niestety, pomimo moich wysiłków, nadal słyszałem od żony stanowcze: „Nie!”. Tak więc, skoro nic nie działało, a Alicja w ogóle nie chciała słyszeć o żadnych szczeniakach, to gdy tylko dowiedziałem się o możliwości wzięcia udziału w spotkaniu, gdzie całymi dniami ludzie w kółko będą mówić o psach, zajmować się psami i przygotowywać się na przyjęcie psów w swych domach, pomyślałem, że może ono stanowić dla nas ostatnią deskę ratunku, a zarazem ostatnią szansę na posiadanie w domu kudłatego czworołapa.

Niestety, wspomniane spotkanie, zorganizowane przez Fundację Vis Maior odbyło się prawie półtora roku przed telefonem Pani Jolanty Kramarz i chociaż zmieniło ono podejście Alicji do kwestii samego posiadania psa, to już nie do końca przekonało ją do wykorzystywania go w roli Przewodnika. Bezpośrednio po samym spotkaniu obserwowałem u niej pełen entuzjazm i ekscytację, które, pomimo własnej radości, momentami musiałem nawet nieco hamować, jednak z upływem czasu, gdy nie pojawiała się żadna informacja o czekającym na mnie psie, a perspektywa jego posiadania stawała się coraz bardziej nieokreślona, do naszych rozmów zaczęły zakradać się pewne wątpliwości i obiekcje. Na początku to ja podchodziłem do pomysłu posiadania Przewodnika z pewnym dystansem, z czasem jednak role się odwróciły i to ja przekonywałem

Alicję, żeby jeszcze poczekać. Po upływie sześciu miesięcy od dnia, w którym dowiedziałem się, że otrzymam psa, gdy nadal nie było informacji co dalej, Alicja wymogła na mnie obietnice, że na jakiegokolwiek wieści od Fundacji przekazującej Przewodniki będziemy czekać jeszcze tylko dwanaście miesięcy, a po tym terminie, zaczniemy rozglądać się za szczeniakiem jej ukochanej rasy Collie.

Obiecany Alicji ostateczny termin, kończący owe 12 miesięcy, przypadał właśnie na 31 marca, więc możecie sobie teraz wyobrazić moją radość i ekscytację, gdy zaledwie dwa dni przed jego upływem w słuchawce telefonu usłyszałem głos samej Pani Prezes Fundacji Vis Maior. Tak, tak, samej Prezeski – podczas nieobecności koordynatorki programu przekazywania psów Jolanta Kramarz, Prezeska Fundacji, chwilowo wcieliła się w rolę jej sekretarki i w ten sposób informowała oczekujących na przekazanie psa o mającym się odbyć spotkaniu preselekcyjnym, w którego trakcie Trenerzy przyporządkowywać mieli aktualnie przygotowywane psy do konkretnych osób niewidomych. To był dla nas bardzo ważny konkret, a ja, wraz z moim przyszłym Przewodnikiem, byliśmy uratowani.

Jeszcze dzień wcześniej kombinowałem, jak tu w przypadku niepowodzenia i upływu uzgodnionego terminu namówić Alicję na jakiegoś psa. Zdążyłem już nawet przejrzeć witryny internetowe kilku zagranicznych szkół, oferujących zakup wyszkolonego Przewodnika praktycznie od ręki. Byłem absolutnie pewien, że udałoby mi się przekonać ją do zakupu w czeskiej szkole białego owczarka szwajcarskiego – tylko skąd na to wziąć 40000 zł? Przekazana w porę informacja o preselekcji psów była więc dla mnie jak nieoczekiwana wygrana na loterii.

Oczywiście do Warszawy, na spotkanie z przyszłymi Przewodnikami wybieraliśmy się wspólnie. Od telefonu z Fundacji w naszym domu nieustannie toczyły się dyskusje pełne przypuszczeń, oczekiwań i ekscytacji. Naturalnie, każde z nas miało swoją wizję przyszłego członka rodziny. Alicja marzyła o niewielkim, jasnym, biszkoptowym labradorze, a ja po cichutku liczyłem na wielkiego potwora, o futrze czarnym jak sam ogon Lucyfera. Przy okazji raz po raz przypominaliśmy sobie również, jak to wszystko się zaczęło.



# Jak to wszystko się zaczęło?

A zaczęło się również od telefonu odebranego w pewien jesienny poranek 2015 r. Jechałem wtedy akurat autobusem z Katowic do Łodzi. Dzwonił dobry znajomy, więc nie spodziewając się takiej bomby, liczyłem jedynie na parę chwil miłej rozmowy.

Jak się jednak okazało, znajomy dzwonił do mnie w konkretnej sprawie. W tym czasie pracował on w warszawskiej Fundacji Vis Maior, zajmującej się m.in. szkoleniem psów Przewodników. Z rozmów prowadzonych w biurze Fundacji dowiedział się, że jego koleżanki, rekrutujące chętnych na spotkanie informacyjno-kwalifikacyjne dla przyszłych Opiekunów Przewodników, napotkały nieoczekiwany problem. Otóż okazało się, że jedna z osób mających wziąć udział w najbliższym spotkaniu dla grupy potencjalnych Opiekunów psów Przewodników, nagle zrezygnowała, a ponieważ do jego terminu pozostały niecałe dwa tygodnie, osoby z listy rezerwowej również z różnych przyczyn nie mogły wziąć w nim udziału. Tymczasem projekt projektem, w papierach wszystko musi się zgadzać, a dziewczyny nie mogą znaleźć jednej, brakującej osoby, aby posiadać wymagany komplet uczestników. Wtedy znajomy przypomniał sobie nasze wspólne rozmowy o stracie i rozpacz, jaką wraz z Alicją przeżywaliśmy po odejściu Hamleta oraz rozterkach związanych z ewentualnym posiadaniem kolejnego psa. Gdy w biurze Fundacji upewnił się, że nie ma formalnych przeciwwskazań, abym uczestniczył w takim spotkaniu, postanowił do mnie zadzwonić i złożyć propozycję nie do odrzucenia.

A dlaczego nie do odrzucenia? Powodów było kilka. Pierwszy to oczywiście fakt, że całe spotkanie informacyjno-kwalifikacyjne dotyczyć miało psów. Przynajmniej

tak wynikało ze słów znajomego. Miało ono trwać kilka dni oraz – co w tej sytuacji było dla mnie najważniejsze – oprócz niewidomych osób bezpośrednio zainteresowanych posiadaniem Przewodnika, mogli w nim wziąć udział również członkowie ich rodzin. Jak to w życiu bywa, był również i pewien haczyk – ponieważ spotkanie miało się odbyć lada dzień, praktycznie nie było czasu na decyzję. Otrzymałem propozycję i godzinę na jej rozważenie.

Oczywiście podziękowałem za taką szansę i – po rozłączeniu się ze znajomym – natychmiast wybrałem numer telefonu Alicji. Taką propozycję musieliśmy wspólnie przedyskutować – i to bardzo szybko. Oczywiście była chwila zawahania się. Odejście Hamleta nadal stanowiło dla nas bolesny temat. Dla mnie był to pierwszy i jedyny pies. Odkąd, jako nastolatek, straciłem wzrok, nigdy na poważnie nie zastanawiałem się nad Przewodnikiem, mogącym stanowić dla mnie dodatkową pomoc w samodzielnym poruszaniu się. Co więcej, wcześniej nawet sama koncepcja psa asystującego niezbyt mi się podobała. Kilkoro moich znajomych takie psy posiadało, kilkoro starało się o nie w różnych organizacjach. Miałem w związku z tym bardzo mieszane uczucia. I choć kilka razy zastanawiałem się, „jak by to było, gdyby...”, to jednak nigdy, sam z siebie, nie chciałem Przewodnika. Stwierdziłem więc, że zaproponowane spotkanie będzie dla mnie świetną okazją na zdobycie większej wiedzy na temat psów pracujących, a dla Alicji – być może – doskonałym katalizatorem, otwierającym ją na posiadanie nowego zwierzaka.

Gdy dziś przypominam sobie tamtą rozmowę, myślę sobie, że gdybyśmy wtedy mieli więcej czasu na podjęcie decyzji, to mogłaby ona okazać się zupełnie inna. Na szczęście tego czasu nam nie dano, a my stwierdziliśmy, że udział w takim spotkaniu może być bardzo interesujący. Oczywiście musieliśmy jeszcze „na szybko” sprawdzić wszystkie opcje urlopów i dojazdów, ale po kilkudziesięciu minutach mogłem już oddzwonić do znajomego z informacją, że wraz z Alicją wybieramy się na owo „spotkanie informacyjno-kwalifikacyjne”.

# Spotkanie informacyjno-kwalifikacyjne

Dni dzielące nas od spotkania minęły błyskawicznie. Dzięki temu nie miały kiedy pojawić się u mnie wątpliwości, a już meldowaliśmy się w jednym z warszawskich hoteli.

Przygotowująca spotkanie Fundacja wydelegowała Panią Annę, aby w imieniu organizatora witała przyjeżdżających, pomagała się zameldować i wstępnie poznać hotel, a także informowała o planach i harmonogramie zajęć na kolejne dni.

Przyznam, że od razu poczułem się profesjonalnie „zaopiekowany”, stało się też dla mnie jasne, że Fundacja nie po raz pierwszy prowadzi podobne wydarzenie. Z konkretnym planem działania i spokojną głową, jeszcze tego samego wieczoru, w wolnym czasie, mogliśmy spotkać się z naszą niewidzianą od dwudziestu lat koleżanką z liceum – i to także była dla mnie świetna okazja, aby nie zamartwiać się tym, co przyniosą kolejne dni.

Nazajutrz, po śniadaniu, zebraliśmy się w hotelowych salach konferencyjnych. Na wstępie raz jeszcze przedstawiono nam wszystkie zasady uczestnictwa w spotkaniu oraz harmonogram zajęć. Oprócz naszej grupy, czyli osób próbujących dowiedzieć się czegoś więcej o tematyce psów Przewodników lub starać o przyznanie takiego psa, równolegle miała spotykać się inna grupa. W jej skład wchodził Opiekunowie Przewodników, pracujący z takimi zwierzętami od pewnego czasu, dla których zorganizowano spotkanie informacyjno – doszkalające. W jej przypadku celem spotkania była również możliwość podzielenia się z innymi osobami własnymi doświadczeniami, zebranymi podczas miesięcy lub lat poruszania się przy pomocy psa. Była to dla uczestników tej

grupy również sposobność porównania zachowań Przewodników w różnych sytuacjach, wymiany rad i podpowiedzi ułatwiających radzenie sobie z solą na oblodzonych chodnikach, rozczesywaniem skołtunionego futra, dobieraniem odpowiedniej karmy i wielu innych kwestii, będących codziennością Opiekunów psów pracujących.

Fundacja zapewniła im również możliwość skonsultowania się z weterynarzem oraz Trenerami, mogącymi w ciągu trzech dni spotkania doszkolić Przewodnika lub nauczyć jego Opiekuna, jak samemu przyuczyć psa wykonywania zapomnianych lub też nowych, niestandardowych komend.

Z kolei nasza grupa, w trakcie pierwszego spotkania prowadzonego przez Panią Prezes Jolantę Kramarz, poznała wstępne cele, jakie mieliśmy podczas niego osiągnąć. A były to m.in. zapoznanie się z podstawowymi informacjami na temat zachowań Przewodników, ich pielęgnacji i opieki nad nimi, sposobami ich żywienia (szczególnie pod kątem karmienia psa pracującego), metodami socjalizacji i szkolenia Przewodników. Otrzymaliśmy ponadto zapewnienie, że to tylko taki wstęp, na sam dobry początek. Myślę, że nikt z naszej sześciuosobowej grupy nie spodziewał się aż takiej ilości informacji ani tylu zaplanowanych atrakcji.

Wspomniałem o sześciu osobach, lecz faktyczna liczba uczestników naszego spotkania była większa. Ponieważ mogły w nim brać również udział tzw. osoby towarzyszące – co de facto oznaczało życiowych partnerów lub rodziców kandydatów na Opiekuna psa – nasza grupa liczyła dokładnie dziesięć osób – i muszę przyznać, że nie tylko wtedy, ale także i dziś, po niemal ośmiu latach od tamtego wydarzenia uważam, że jest to najlepsze podejście do kwestii posiadania Przewodnika. W trakcie takiej konfrontacji błyskawicznie wychodzi na jaw, jak bardzo w tym zakresie różnią się wizje poszczególnych uczestników. Nagle okazuje się, że domownicy wyobrażali to sobie nieco inaczej, kandydat na przyszłego Opiekuna zupełnie inaczej, a do tego wizja i podejście Fundacji są jeszcze całkiem inne. Właśnie wtedy, dowiedzieliśmy się, jak ważna i przydatna jest rola psychologa biorącego udział w spotkaniu, który – unikając sytuacji konfliktowych – jest w stanie postawić przed uczestnikami trudne pytania i zażądać od nich szczerych odpowiedzi.

Według mnie dopiero w trakcie takich rozmów potencjalny Opiekun Przewodnika nie tylko ma szansę poznać wady i zalety jego posiadania, ale otrzymuje niepowtarzalną możliwość uzmysłowienia sobie, co to tak naprawdę znaczy.



Jest to też szansa dla członków rodziny, którzy wcześniej ochoczo zgodzili się na nowego domownika, aby świadomie potwierdzić wcześniejszą decyzję – lub się z niej wycofać. Dzięki takiemu postawieniu sprawy, możliwe jest uniknięcie w przyszłości konfliktowych sytuacji w rodzinach, rozczarowania podjętym zobowiązaniem – koniecznością zapewnienia właściwej opieki nad Przewodnikiem – lub też negatywnych zachowań, mających źródło w – innych niż to sobie pierwotnie wyobrażano – realiach codziennego życia z Przewodnikiem.

Doskonałym rozwiązaniem było prowadzenie dyskusji w grupie. Już po bardzo krótkim czasie uczestnicy mogli się przekonać, że ktoś inny może podzielać ich wątpliwości, ktoś się może z nimi nie zgadzać, a jeszcze ktoś inny może powiedzieć coś takiego, co zupełnie zmieni nasze postrzeganie dotychczasowego problemu, tym samym zupełnie go niwelując lub uzmysławiając jego powagę.

Zajęcia odbywały się w bardzo interaktywnej formie, co z jednej strony dawało szansę uczestnikom na zadawanie niezliczonych pytań, z drugiej strony – prowadzącym – na ocenę samych uczestników, a były one wyraźnie moderowane w takim kierunku, aby każda osoba biorąca w nich udział na dany temat wypowiedziała się przynajmniej jeden raz.

Ewidentnie wszyscy byliśmy skrupulatnie oceniani właśnie pod kątem ewentualnego, późniejszego przekazania nam Przewodników. – i – jak dla mnie jest to zupełnie naturalne i zrozumiałe, że skoro Fundacja przygotowuje i szkoli psy, to jej zależy, aby ta praca nie poszła na marne, a także, aby psy trafiły do Opiekunów, którzy naprawdę ich potrzebują, będą w stanie zapewnić im odpowiednie warunki życia, pracy oraz spędzania wolnego czasu.

Ponieważ w dorosłym życiu przez dwanaście lat posiadałem psa, wydawało mi się, że na takim spotkaniu niewiele się dowiem nowych rzeczy. Jak się jednak okazało, byłem w błędzie. Nasz wcześniejszy pies, po pierwsze, był okazem zdrowia, a po drugie, dowiedziałem się podczas spotkania, że zupełnie czym innym jest nawet bardzo inteligentny pupil buszujący z nami po lesie, a czym innym pies pracujący. Poznałem zagrożenia, na jakie w trakcie swej pracy narażony jest Przewodnik, jakie schorzenia występują u retrieverów – czyli w grupie ras najczęściej wybieranych na Przewodniki – jak należy zapewniać psu podstawową pielęgnację i jak dbać o jego dietę. Pamiętam, że bardzo spodobała mi się możliwość zapoznania się z wypreparowanym szkieletem psa. Z jednej strony, była to moja ciekawość po części zawodowa – jeszcze kilka lat wcześniej pracowałem

w gabinecie masażu leczniczego, a z drugiej strony, gdy mój stary pies miał problemy ze stawami, obawiałem się wykonywać z nim różne ćwiczenia, nie znając dokładnie jego anatomii. Teraz, mogąc w bezpiecznych warunkach sprawdzić zakres ruchomości stawów, kąty ułożenia poszczególnych kręgów kręgosłupa, układ kości w łapach, korzystałem z tego bez ograniczeń, zawłaszczając sobie szczątki świętej pamięci czworonożca.

W trakcie spotkań z weterynarzem dowiedzieliśmy się, jak bez pomocy wzroku wychwytywać najczęstsze dolegliwości u retrieverów, jakie zachowania są jedynie niepokojące, a jakie wymagają szybkiej wizyty w lecznicy. Poznaliśmy również zasady, jak często należy odwiedzać weterynarza i jakie badania wykonywać Przewodnikowi, jak psu przygotować odpowiednie miejsce do wypoczynku i jakie zabawki lub zabawy, będą dla niego najbardziej wskazane, gdzie i jak często wyprowadzać zwierzaka na spacer; ilość informacji była przeogromna.

Ku mojemu – bardzo pozytywnemu – zdumieniu, na jednych z naszych zajęć pojawił się nawet prawnik, aby szczegółowo wyjaśnić nam prawa i obowiązki, zarówno Przewodnika, jak i jego Opiekuna. Było to bardzo ciekawe spotkanie, które po raz kolejny pozwoliło mi usystematyzować dość chaotyczne informacje na ten temat, jakie udało mi się odnaleźć przed spotkaniem. Między innymi dzięki tej rozmowie obecnie nie mam żadnych wątpliwości, gdzie mogę z psem wejść, bo mam takie prawo, gdzie zostaną wpuszczony, bo będziemy tam tolerowani, a gdzie pod żadnym pozorem nie mogę go wprowadzać.

Wspominałem już, że zajęcia były interaktywne, ale aby zaprezentować skalę i zasięg zaangażowania uczestników, przytoczę sytuację, jaka miała miejsce właśnie po wykładzie na temat praw posiadanych przez Przewodniki.

Organizatorzy doszli do wniosku, że uczestnikom szkolenia sama „sucha” wiedza na niewiele się przyda i najlepiej będzie, gdy świeżo zdobytą wiedzę wykorzystają w praktyce. W tym celu pracownicy Fundacji po kolei wcielali się w role różnych osób, od ledwie mających wątpliwości, czy aby na pewno pies może się znajdować w tym miejscu, aż po awanturujące się, że: „W żadnym razie i w ogóle to wynocha z tym kundlem!”. Zadaniem uczestników szkolenia w tych scenkach sytuacyjnych było przekonanie sklepowej, konduktora, czy ochrony w galerii handlowej, że wraz z Przewodnikiem mają pełne prawo przebywać w danym miejscu – a, jak pokazało tylko to jedno ćwiczenie, nie każdy był w stanie skutecznie obronić siebie i swojego wirtualnego psa.

Jednak najciekawsze, przynajmniej z mojego punktu widzenia, były spotkania z Trenerami Przewodników.

Piszę w liczbie mnogiej, ponieważ mieliśmy okazję wzięcia udziału w zajęciach prowadzonych przez aż trzech różnych Trenerów. W ich trakcie mogliśmy się dowiedzieć, jak krok po kroku wygląda przygotowanie psa asystującego do pracy – i to już od chwili wyboru hodowli, z której pochodzić będzie przyszły Przewodnik, poprzez sposoby typowania odpowiednich szczeniąt w miocie, ich socjalizację, aż po poszczególne ćwiczenia sprawiające, że pies jest w stanie na komendę odnaleźć wolną ławkę, bankomat, przejście dla pieszych, czy też przystanek komunikacji miejskiej.

Poszczególni Trenerzy mają różne doświadczenie i – często odmienne – podejście do tresury. Osiągają oni te same, wyznaczone przez Fundację, cele, ale docierają do nich różnymi drogami. Było to dla mnie niezwykle interesujące. Przed spotkaniem zdążyłem jeszcze zasięgnąć języka u różnych znajomych, będących Opiekunami Przewodników. Co ciekawe, wszyscy oni mieli wiedzę, jakie psy wychodzą spod ręki konkretnego Trenera. Słyszałem opinie: „Jeśli dostaniesz psa od Trenera X, to na pewno będzie słodziak”, „Jeśli dostaniesz Przewodnika od Trenera Y, to będziesz miał w domu wulkan energii”, „Jeśli dostaniesz psa od Trenera Z, to na pewno będzie to spokojna i wyciszona sztuka”. I wiecie co? Oni wszyscy mieli rację. Mój Przewodnik jest od Trenerki X i najczęstszym przymiotnikiem, jaki słyszę na jego temat, jest, że jest słodki. Dlaczego tak się dzieje, zrozumiałem właśnie dzięki spotkaniom z różnymi Trenerami – każdy z nich, mając własne preferencje co do zachowania psa, sam wybiera szczeniaka, jakiego podejmie się tresować, a później utrwała w jego zachowaniu wszystkie te cechy, które sam uważa za wartościowe. W efekcie takiego podejścia sama Fundacja już „na starcie kariery zawodowej” danego Przewodnika ma podstawową wiedzę co do jego charakteru i dzięki temu łatwiej może przyporządkować go do konkretnej osoby niewidomej.

Trenerzy potwierdzili nam również, że wyszkolenie psa to nie taka prosta sprawa i że ich praca nie zawsze kończy się sukcesem. Uzmysłowali nam, że tresowany psiak może zostać zdyskwalifikowany z roli Przewodnika na dowolnym etapie szkolenia. Powody mogą być najróżniejsze – od zwykłych zdrowotnych (problemy ze stawami, ścięgnami lub inne schorzenia uniemożliwiające wykonywanie pracy psu), przez problemy psychiczne (mogące pojawić się z upływem czasu), na przykład lęk przed głośnymi dźwiękami, aż po sytuacje losowe w postaci

wypadków, na które Przewodniki narażone są o wiele częściej, niż zwykłe kanapowce. Niektóre psy odpadają ze szkolenia już na samym początku, inne później, a bywały również przypadki, że Przewodnik wycofywany był z pracy już po zakończeniu całego cyklu tresury. To wyjaśnia, dlaczego cena wyszkolenia jednego psa jest tak wysoka – ona po prostu musi uwzględniać również koszt tresury tych wszystkich sztuk, którym nie udało się ukończyć szkolenia.

Dla większości z nas prawdziwym zaskoczeniem był czas, jaki poświęca się na wytresowanie Przewodnika.

Po odebraniu matce szczeniak trafia do wolontariuszy, którzy, pod nadzorem Trenera, przez sześć miesięcy prowadzą jego socjalizację. Polega ona przede wszystkim na zabieraniu psa w różne publiczne miejsca, gdzie junior ma szansę oswoić się z odgłosami, zapachami i obecnością wielu ludzi, poznaje transport publiczny, jazdę samochodem czy windą. Zadaniem wolontariuszy jest pokazać przyszłemu Przewodnikowi jak najwięcej z otaczającego go świata, tak, aby później, już w pracy, niewiele rzeczy mogło go zaskoczyć lub zaniepokoić. Oczywiście zadaniem wolontariuszy jest również nauczenie szczeniaka dobrych manier, szczególnie tych związanych z potrzebami fizjologicznymi, oraz wprowadzenie pierwszych komend na posłuszeństwo.

W okresie dorastania, przyszłego Przewodnika przejmuje Trener – i to wtedy zaczyna się najtrudniejszy okres w życiu psa. Po pierwsze, zmienia on miejsce dotychczasowego zamieszkania, a po drugie, musi zacząć regularną naukę. Patrząc na to z boku, sytuacja ta nieco przypomina wyjazd nastolatka do szkoły z internatem. Jak się jednak szybko okazuje, na szczęście cała nauka bazuje na przysmakach, co sprawia, że regularne powtarzanie już poznanych oraz nauka zupełnie nowych komend nie są dla psa takie straszne – przynajmniej wyobrażam sobie, że tak to wygląda z perspektywy Przewodnika.

Z punktu widzenia Trenera jest to również sam początek ciężkiej, kilkunastomiesięcznej pracy, regularnej nauki komend, powtarzania wyuczonych reakcji psa w najróżniejszych miejscach i sytuacjach, sprawdzania, jak będzie reagował na znane komendy w odmiennych warunkach, wyłapywanie niedociągnięć i praca nad słabiej przyswojonymi umiejętnościami.

Ludziom, patrzącym z boku, może się wydawać, że Przewodnik to Przewodnik i że wszystkie psy „działają” i pracują tak samo. Tymczasem to nie roboty ani maszyny. Oprócz indywidualnych różnic w charakterach – jedne posiadają

niespożyte źródła energii, inne są flegmatyczne, jedne są bardzo ufne, inne trzeba przekonywać do ludzi i miejsc – dodatkowo w grę wchodzi również cechy fizyczne. Jedne psy widzą wyraźniej, drugie gorzej. Jedne słyszą lepiej, inne słabiej. W efekcie jedne Przewodniki o wiele łatwiej będą wypatrywać poszukiwanych obiektów, a inne będzie trzeba równolegle do głosowych uczyć komend wydawanych gestami. Inaczej opracowuje się wskakiwanie do pociągu z malutkim labradorem ważącym 20 kg, a inaczej z olbrzymem zbliżającym się do 40 kg. Jedne psy początkowo będą interesowały się wszystkim dookoła, a inne skupione będą tylko i wyłącznie na prowadzonej przez siebie osobie. Zadanie Trenera to również wzmacnianie wszystkich pozytywnych cech i zachowań, przy jednoczesnym osłabianiu tych niepożądanych.

W moim odczuciu chyba największym wyzwaniem, jakie staje przed Trenerem przygotowującym Przewodnika, jest nauczenie go tak zwanego „wyuczonego nieposłuszeństwa”. Chodzi tu o sytuację, w której pies, słysząc komendę, będzie w stanie ocenić bezpośrednie skutki jej wykonania i – gdy byłyby one groźne dla prowadzonej osoby – odmówi jej realizacji. Najlepszym przykładem tego typu sytuacji jest ta, gdy osoba niewidoma nakazuje przejść Przewodnikowi przez ulicę, a ten, widząc nadjeżdżający samochód, odmawia wykonania komendy.

Skalę trudności zadania, jakim jest przygotowanie psa do pracy, oddaje sam czas, jaki Trener musi na to poświęcić – jest to, w zależności od zdolności przyszłego Przewodnika, od dwunastu do osiemnastu miesięcy. Dla porównania – według informacji ze strony internetowej Zakładu Kynologii Policyjnej – tresura psa patrolowo – tropiącego trwa obecnie pięć miesięcy, psa patrolowego cztery miesiące, a psa specjalistycznego (do wyszukiwania zapachów narkotyków i materiałów wybuchowych) cztery i pół miesiąca. Najdłużej, około dziewięciu miesięcy, trwa szkolenie psa w zakresie osmologii<sup>2</sup>. Wszystko to stanowi jasną odpowiedź, dlaczego tresura Przewodników jest tak droga i dlaczego jest ich w Polsce tak niewiele. W Internecie można nawet odnaleźć informacje z roku 2018, pokazujące, ile Przewodników przypada na milion obywateli w różnych krajach Europy. Niestety, Polska w tym zestawieniu uplasowała się prawie na samym końcu, ledwie z trzema psami na milion obywateli.

W naszym spotkaniu uczestniczyli również instruktorzy orientacji przestrzennej. Ich zadaniem była ocena stopnia zrehabilitowania osób starających się

---

<sup>2</sup> <https://psy24.pl/psy-na-sluzbie,ac105/zaklad-kynologii-policyjnej-szkolenie-psow-w-policji,440>

o Przewodnika. Każdy z uczestników proszony był o przejście z białą laską wyznaczonej nieopodal hotelu trasy. W trakcie pokonywania tej drogi, instruktorzy towarzyszący uczestnikowi szkolenia nie oceniali techniki poruszania się z białą laską, lecz orientację przestrzenną osób niewidomych oraz sposób, w jaki postrzegają one swoje bezpośrednie otoczenie. Na przykład, czy stojąc na przystanku, wiedziały, kiedy podjechał autobus? Albo, czy stojąc na przejściu dla pieszych, wiedziały, kiedy mogą bezpiecznie przejść na drugą stronę, czyli kiedy czerwone zmieniło się na zielone światło.

Udział w tym swoistym egzaminie był obowiązkowy. Jeśli któryś z kandydatów nie radził sobie w trakcie testu, to Fundacja oferowała mu przeprowadzenie kursu orientacji przestrzennej, który musiał zostać zaliczony, zanim otrzyma on psa Przewodnika. I choć większości osób wydać się to może dziwnym, bo po co niewidomym orientacja przestrzenna, jeśli będzie prowadził ich Przewodnik, to w tym miejscu wszyscy powinni sobie zadać dodatkowe pytanie: a skąd pies wie, dokąd ma prowadzić?

Prawda jest taka, że Przewodnik idzie tam, dokąd każe mu Opiekun. Zadaniem psa jest tylko omijanie przeszkód lub ostrzeganie niewidomego przed nimi. Jeśli więc kandydat nie będzie posiadał wystarczającej orientacji przestrzennej, to nie będzie on w stanie samodzielnie poruszać się z Przewodnikiem. Na szczęście, zorganizowanie takiego kursu nie stanowi dziś większego problemu. Nawet osoby świeżo ociemniałe mogą bardzo łatwo nauczyć się nie tylko tak podstawowych kwestii, jak orientowanie się, kiedy na przejściu przez ulicę zapala się zielone światło, ale także poznać inne techniki usprawniające samodzielne poruszanie się osób niewidomych.

Jedną z nich jest umiejętność korzystania z ludzkiej echolokacji – choć większość ludzi na co dzień jej nie używa, to w trakcie odpowiedniego szkolenia można się tego nauczyć. Wiem o tym doskonale, ponieważ sam przeszedłem takie szkolenie i regularnie przy poruszaniu się z psem korzystam z echolokacji, pasywnej i aktywnej.

Opisany powyżej tok myślenia jest jednym z wielu mitów otaczających psy asystujące pomagające osobom z dysfunkcją wzroku. Wśród nich można wymienić wiele innych, na przykład te dotyczące umiejętności otwierania niewidomym drzwi przez Przewodniki, czy też informowanie Opiekunów o tym, jakie światło świeci się na przejściu dla pieszych. W trakcie spotkania preselekcyjnego pracownicy Fundacji pełnili funkcję pogromców mitów, regularnie prostując nasze wszystkie błędne przekonania.

Jeszcze jednym, doskonałym z mojego punktu widzenia, spotkaniem, jakie zorganizowała nam Fundacja, były wspólne zajęcia z drugą grupą szkoleniową, czyli niewidomymi Opiekunami Przewodników. Był to w moim odczuciu najlepszy sposób poznania odpowiedzi na nurtujące nas pytania i wątpliwości, nie tylko z wielu różnych źródeł, ale z pierwszej ręki, od osób, które z podobnymi problemami borykały się w przeszłości i – oprócz gotowych rozwiązań – mają na ich temat własne przemyślenia. Nie bez znaczenia był także fakt, że wśród uczestników szkolenia krążyła garść pytań, których, z różnych powodów, obawiali lub wstydzili się zadać prowadzącym z Fundacji. Takie nieformalne spotkanie, które wieczorami przynosiło się do sąsiadującej z hotelem restauracji, dało osobom starającym się o Przewodnika okazję nie tylko wypytania Opiekunów o najdziwniejsze rzeczy dotyczące ich psów, ale umożliwiły również obserwowanie Przewodników w trakcie samej pracy, czy to w hotelu i jego jadalni, w drodze do restauracji i już wewnątrz niej.

A skoro mowa o pracy z psem, koniecznie muszę wspomnieć o najbardziej ekscytującym momencie całego spotkania, czyli pierwszym, samodzielnym przejściu z Przewodnikiem – choć osoba niewidoma szła sama z psem, to w tym spacerze oczywiście towarzyszyli jej instruktor orientacji oraz Trener, trzymający Przewodnika na dodatkowej smyczy bezpieczeństwa.

Ja miałem przyjemność spacerować z Saperem, którego Opiekunką na co dzień była Asia. Saper był czarnym, dużym i bardzo spokojnym labradorem. Idąc z nim chodnikiem, miałem wrażenie, że nic go nie powstrzyma. Szedł pewnie i bez wahania, choć prowadził zupełnie „świeżą” osobę – i jeśli wcześniej miałem jeszcze jakieś wątpliwości, czy dałbym radę chodzić z psem, to ten krótki spacer rozwiązał je całkowicie.

A posiadanie wątpliwości to bardzo ważna sprawa. Jeśli ktoś ich nie ma, nie zadaje pytań. Nie próbuje się dowiadywać, jak dana rzecz powinna być wykonana, czy rozwiązana. Dlatego też chwilami nawet z niejakim rozbawieniem, obserwowałem, jak organizatorzy naszego spotkania próbowali zniechęcać zbyt entuzjastycznie nastawionych uczestników do posiadania własnego Przewodnika. Zakładam, że ich celem było właśnie ostudzenie emocji oraz próba przedstawienia posiadania psa jako odpowiedzialnego zadania, któremu oprócz wielu zalet i przyjemności, towarzyszą również pewne niedogodności, obowiązki, a czasem nawet problemy.

Już na samym początku spotkania, zapowiedziano nam, że na jego końcu odbędą się indywidualne rozmowy ze wszystkimi uczestnikami.

Z każdym z nas miał rozmawiać instruktor orientacji, Trener psów oraz psycholog, będący głównym przedstawicielem organizacji szkolącej Przewodniki. Celem tej rozmowy miała być wymiana opinii – z jednej strony, uczestników na temat samego spotkania, a z drugiej, prowadzących na temat możliwości otrzymania wyszkolonego psa przez danego uczestnika. Dlatego też – nie ma się co dziwić – dla większości osób starających się o Przewodnika, był to najtrudniejszy moment całego spotkania.

Każde z nas na rozmowę zapraszone było indywidualnie. Reszta, trochę jak na jakimś ważnym egzaminie, oczekiwała na korytarzu. I, jak na egzaminie, jedni wychodzili szczęśliwi, inni zalani łzami. To, że kolejność wchodzenia była alfabetyczna, jak zwykle działało na moją niekorzyść – bardzo miłym gestem okazała się jednak solidarna obecność drugiej grupy uczestników spotkań. Wraz ze swymi Przewodnikami przyszli oni razem z nami poczekać na opinie organizatorów, tym samym skutecznie odwracając uwagę oczekujących osób od przeżywanego stresu.

Zgodnie z ustalonym porządkiem, na rozmowę wszedłem jako ostatni. W jej trakcie podsumowano to, czego udało się dowiedzieć i co zaobserwować organizatorom na mój temat. Instruktor orientacji zapewnił przedstawiciela organizatora, że zdałem egzamin z orientacji przestrzennej i że z jego strony nie ma przeszkód, abym mógł otrzymać Przewodnika. Trener również nie miał zastrzeżeń, a nawet podziękował za dociekliwe pytania w trakcie prowadzonych przez niego zajęć i – już na sam koniec – wyraził opinię, że doskonale powinienem sobie poradzić z ewentualnym posiadaniem Przewodnika. Z kolei Pani psycholog stwierdziła, że moja osobowość oraz tryb bycia sprawiają, że nie powinienem mieć żadnych problemów przy nawiązywaniu prawidłowych więzi i relacji z psem pracującym. Podsumowując wszystkie opinie, przedstawiciel organizacji szkolącej psy stwierdził, że w takim razie zostaję wpisany na listę osób oczekujących na Przewodnika i złożył mi odpowiednie gratulacje. W jego ślad poszły pozostałe osoby, więc zrobiło się niewielkie zamieszanie. Przyznam, że sam byłem nieco oszołomiony i trochę tylko mimochodem rejestrowałem dalszą rozmowę, gdzie informowano mnie, jakie przyjęto założenia, jakie pies powinien mieć cechy, wielkość, czy temperament. Z całej rozmowy pamiętam tylko to, że wspomniałem, iż zawodowo i prywatnie sporo podróżuję, więc chciałbym, aby Przewodnik też był na to gotowy. Zapewniono mnie jeszcze, że będę na bieżąco informowany o ewentualnych kandydatach na mojego psa i podziękowano mi za rozmowę oraz udział w całym spotkaniu.



Wyszedłem z rozmowy nadal nieco oszołomiony, ale nikt z czekających na zewnątrz nie miał wątpliwości, jaka była decyzja organizatorów: musiałem świecić jak małe słońeczko. Problem miałem tylko z nieokazywaniem rozsadzającej mnie radości, ponieważ poza mną jeszcze tylko jedna osoba otrzymała pozytywną decyzję o przyznaniu Przewodnika. Dwoje uczestników poinformowano, że najpierw muszą przejść kurs orientacji przestrzennej i zakończyć go zdany egzaminem, aby mogły zostać wpisane na listę oczekujących. Niestety, dwie kolejne osoby otrzymały informację, że nigdy, przynajmniej z tej organizacji, nie otrzymają psa.

Powrót do domu oraz czas bezpośrednio po spotkaniu, były okresem pełnym ekscytacji, planów i marzeń. Jeszcze długo po powrocie z Warszawy mój nastrój popadał ze skrajności w skrajność. Z jednej strony, była ekstatyczna radość i oczekiwanie, a z drugiej strach i obawy przed odpowiedzialnością związaną z posiadaniem Przewodnika. Z Alicją non stop rozmawialiśmy tylko o psach. W kółko opowiadałem znajomym i rodzinie, zarówno tym którzy chcieli, jak i nie chcieli słuchać, jakie z tych psiaków są mądre zwierzaki.

Jeszcze podczas rozmowy podsumowującej całość spotkania, gdy omawialiśmy optymalne cechy mojego przyszłego psa, pojawiło się stwierdzenie, że Przewodnik o podobnym usposobieniu, wielkości i charakterze właśnie przechodzi szkolenie i że – najprawdopodobniej – mógłbym go otrzymać w lecie następnego roku. Takie ogólne stwierdzenie wystarczyło, abym mógł odpowiednio planować kolejne miesiące. W myślach już ustawiałem psie legowisko w różnych zakamarkach mieszkania, analizując wady i zalety każdej lokalizacji. Planowałem nie tylko trasy, jakie miałem pokonywać wraz z Przewodnikiem, ale w myślach odbywałem już całe złożone podróże z wykorzystaniem autobusów, pociągów, a nawet samolotów.

Na obszarze całego osiedla i przylegającego do niego lasu wyznaczyłem wirtualne trasy naszych przyszłych spacerów. Zdążyłem nawet zmienić termin urlopu, z sierpnia na czerwiec, ponieważ przekazanie Przewodnika miało się odbyć w okresie wakacyjnym. Tymczasem, zgodnie z przysłowiem: „Człowiek planuje, a Bóg się śmieje”, w marcu kolejnego roku otrzymałem wiadomość, że w planowanym czasie jednak psa nie otrzymam. Co więcej, w najbliższej przyszłości nie było też widoków na takiego Przewodnika, który spełniałby, zarówno moje oczekiwania, jak i wymogi określone przez Fundację.

I muszę przyznać, że takiego zawodu już dawno nie doświadczyłem. Ponad pół roku nadziei, marzeń i oczekiwań doprowadziło do tego, że skądinąd bardzo rozsądna decyzja Fundacji, mocno mnie dotknęła. I nie dlatego, że w danej chwili nie było dla mnie psa – przecież już wiedziałem, że Przewodnik może odpaść ze szkolenia na jego dowolnym etapie – sprawiła mi ona przykrość dlatego, że, nawet w przybliżeniu, nie został określony żaden kolejny termin. Alicja, widząc, ile mnie to kosztowało, wymogła wtedy na mnie obietnicę, że nie będę czekał dłużej na Psa, niż do końca marca kolejnego roku. Aby być w porządku względem Fundacji oraz innych osób oczekujących na swojego Przewodnika, skontaktowałem się z Fundacją i poinformowałem ją o mojej decyzji (że nadal czekam na psa, ale tylko przez 12 miesięcy, do końca marca następnego roku). Oczywiście w ten sposób nie stawiałem żadnego ultimatum – wyjaśniłem przyczyny mojej decyzji. Co bardzo pozytywnie mnie zaskoczyło, Fundacja odniosła się do mojego postanowienia nie tylko z wyrozumiałością, ale przede wszystkim ze zrozumieniem. Sprawilo to, że moja nadzieja na posiadanie własnego Przewodnika nie tylko nie zgasła zupełnie, ale tliła się spokojnie, czekając na swój czas. I jak się okazało, 28 marca 2017 r., w końcu się doczekała.

Zestawienie: Liczba psów Przewodników w Europie na milion mieszkańców (2018)

1. Wielka Brytania 74
2. Norwegia 60
3. Republika Czeska 57
4. Luksemburg 47
5. Dania 45
6. Szwajcaria 44
7. Holandia 42
8. Irlandia 41
9. Finlandia 39
10. Austria 30
11. Szwecja 30
12. Estonia 26
13. Niemcy 26
14. Malta 26

15. Francja 23
16. Hiszpania 21
17. Belgia 16
18. Włochy 16
19. Chorwacja 14
20. Węgry 14
21. Słowacja 13
22. Słowenia 10
23. Portugalia 7
24. Czarnogóra 5
25. Bułgaria 4
26. Polska 3
27. Rosja 3
28. Grecja 1
29. Litwa 1



# Spotkanie preselekcyjne

Przez niespełna dwa tygodnie, jakie minęły od telefonu Jolanty Kramarz (wspomnianego na początku tej historii), cały czas towarzyszyła mi huśtawka emocji. Raz radość, że w końcu można pojechać i zobaczyć psy, a za chwilę obawa, czy dam w ogóle radę chodzić z takim Przewodnikiem. Wątpliwości narastały w postępie geometrycznym, a emocje, jakie temu towarzyszyły, sprawiły, że nie byłem w stanie skupić się na czymkolwiek innym.

Kładąc się do łóżka dzień przed spotkaniem, byłem absolutnie pewien, że tej nocy w ogóle nie zasnę. Podekscytowanie, ciekawość, nadzieja, obawy, niecierpliwość, rozedrganie. Tygiel emocji w każdej sekundzie grożący wykipieniem. Tymczasem, ku własnemu zdumieniu, całą noc przespałem wyjątkowo dobrze.

Z samego rana, tuż przed godziną ósmą, wsiedliśmy z Alicją do zamówionej taksówki, mającej zawieźć nas na dworzec kolejowy. Była to biała Škoda Octavia, dokładnie taka sama, jaką z Alicją jechaliśmy do ślubu. Postanowiłem to uznać za dobry omen. Kolejną sprzyjającą okolicznością był fakt, że za kierownicą akurat siedział nasz znajomy taksówkarz – pan Leszek. On również był psiarzem, z którym przez lata wymienialiśmy historyjki na temat naszych czworonogów. Zazwyczaj opowiadał nam, gdzie się wybierają albo skąd właśnie wrócili wraz z żoną i ich suczką Grace. Przez kilkanaście lat zjeździli wszere i wzdłuż całą Europę. Dlatego, gdy tylko dowiedział się, w jakim celu jedziemy do Warszawy, od razu zaczął nas dopingować i wypytywać o rzeczy, na temat których chwilowo mieliśmy jedynie mgliste pojęcie. Na szczęście na tyle zajął mnie rozmową, że w trakcie drogi na dworzec nie denerwowałem się tym, co na mnie czeka w Stolicy.

Wystarczyło jednak, abym znalazł się na dworcu, żeby ponownie dopadły mnie wątpliwości. Wsiadając i wysiadając z pociągu, z ogromną uwagą przyglądałem się schodom, krawędzi peronu, korytarzom w wagonach, miejscom między fotelami, gdzie teoretycznie, może kiedyś... a może już niedługo... mój wymarzony Przewodnik będzie musiał przechodzić, przeciskać się, znajdować sobie bezpieczne miejsce... Ponownie zacząłem wymyślać najczarniejsze scenariusze i powoli sam siebie przekonywać, że podróż z psem koleją to najgorsze, co może mnie spotkać. Alicja chyba zauważyła co się ze mną dzieje i systematycznie rozwiewała moje wątpliwości. Na szczęście podróż Pendolino minęła nam bardzo szybko, a na dworcu w Warszawie czekała już nasza znajoma, Beata.

Następne dwie godziny spędziliśmy bardzo przyjemnie, rozpamiętując wspólne pływanie pod żaglami. Jednak, pomimo niezwykle miłej atmosfery, w końcu nadeszła wyznaczona pora spotkania z Fundacją. Udaliśmy się więc na Dworzec Wschodni, gdzie zostało ono zaplanowane. Jak tylko dotarliśmy na miejsce, wokół nas pojawiło się kilka osób – okazało się, że byli to Trenerzy i przedstawiciele Fundacji. Co jednak dla mnie było najważniejsze, każda z Trenerek, wśród których znalazły się Pani Joanna i dwie Moniki, przyprowadziła z sobą po jednym psie. Jak się szybko dowiedziałem, były to Dobry Duszek, Bunia oraz Bright.

Pożegnałem się na jakiś czas z Alicją oraz Beatą i dołączyłem do grupki trzech pozostałych kandydatów na Opiekunów Przewodników. Byli to Katarzyna, Monika i kolejny Piotr. Trenerki zaprosiły naszą czwórkę do osobnego stolika w jednej z dworcowych restauracji, gdzie pokrótce przedstawiły, na czym polegać będzie nasze spotkanie. Jego głównym celem było oczywiście przetestowanie naszego zachowania i współpracy z poszczególnymi psami oraz obserwacja naszego sposobu poruszania się, oraz ocena jak dalece dany Przewodnik pasuje do nas fizycznie i charakterologicznie. Co ciekawe, była to również szansa dla nas, aby zweryfikować, czy po kilku przejściach z psem, nadal będziemy zainteresowani korzystaniem z ich pomocy.

Wcześniej wyobrażałem sobie to w taki sposób, że każda z Trenerek weźmie ze sobą jednego z Kandydatów i wraz z Przewodnikiem będzie go testować i sprawdzać wg zadanego klucza, przez – powiedzmy – pół godziny. Tymczasem, każde z nas zabierane było na wspomniane 30 minut, ale w tym czasie przechodziliśmy z każdym z psów i jego Trenerem po ustalonej wcześniej trasie. Pozostali Trenerzy z pewnego dystansu obserwowali nas wtedy i oceniali naszą wspólną pracę. Jeszcze przed rozpoczęciem testów z Przewodnikami, Trenerki

poprosiły każdego z kandydatów o swobodne przejście z białą laską przez halę dworca oraz tunel prowadzący na perony. Celem tego zadania była ocena naszego naturalnego tempa poruszania się z białą laską. Gdy każde z nas odbyło tę przechadzkę, Trenerki odprowadziły nas do kawiarni i poprosiły, abyśmy poczekali na swoją kolej.

Gdy pierwsza z kandydatek odeszła wraz z Trenerkami, ja ponownie przeklinałem swoje nazwisko, które po raz kolejny ulokowało mnie na samym końcu kolejki oczekujących. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko wraz z innymi Kandydatami zabijać okropnie wolno mijający czas rozmową. Szybko też się okazało, że część osób już się zna ze wcześniejszego spotkania dla potencjalnych Opiekunów Przewodników. Z rozmowy dowiedziałem się również, że Piotr nie jest do końca zdecydowany na posiadanie psa. Z kolei Katarzyna i Monika, obie studentki, nie mogły się już doczekać własnego Przewodnika, który ułatwiłby im zdobycie wykształcenia i interesującej pracy. Rozmowa, choć miła, wydawała mi się trwać całą wieczność, szczególnie że regularnie do stolika wracali kolejni kandydaci pełni nowych wrażeń i oczekiwań. Na szczęście w końcu i po mnie przyszedł asystent z Fundacji Vis Maior i zabrał na tak długo oczekiwane spotkanie.

Jako pierwsza z trójki Trenerek przywitała mnie Monika Marcelewicz, której nie miałem wcześniej okazji spotkać na szkoleniu informacyjno-kwalifikacyjnym. Spokojnie wyjaśniła mi, jaki jest plan działań, co będziemy robić oraz jak musimy się do tego przygotować. Zademonstrowała różne saszetki, zawierające psie przysmaki, którymi w trakcie spaceru miałem nagradzać i motywować Przewodniki. Ponieważ miałem na sobie dłuższą kurtkę, po kilku przymiarkach w końcu zdecydowaliśmy się na wersję saszetki z paskiem, którym mogłem się opasać bez rozpinania. W zawieszanej na pasie torebce znalazłem zwykłą karmę, stanowiącą na co dzień psią dietę. I oczywiście ja, jak to ja, ponieważ konstrukcja saszetki sprawiła, że była ona na stałe otwarta, przy pierwszej próbie opasania się i zapięcia zatrzasku paska sporą część psich kulek od razu rozsypałem po podłodze dworca. O dobrym wyszkoleniu obecnych tam Przewodników może świadczyć chociażby fakt, że nie stratowały mnie na miejscu w pogoni za skaczącymi we wszystkie strony groszkami.

W kolejnym kroku otrzymałem instrukcję, jak powinienem skarmiać psa, to znaczy którą ręką sięgać po smaczki, którą trzymać smycz, a w której uchwyt uprząży. Ustaliliśmy, że Przewodnik znajduje się po mojej lewej stronie, lewą dłonią trzymam pałkę, a prawą smycz. Oczywiście cały czas Trenerka miała nas asekurować, idąc

po lewej stronie psa, kontrolując go na drugiej, luźnej smyczy. Otrzymałem jeszcze garść podstawowych komend, krótko omówiliśmy marszrutę i delikatnie, choć stanowczo, zostałem zachęcony do opuszczenia budynku dworca.

Jak się okazało, w trakcie mojego pierwszego tego dnia spaceru, prowadzony byłem przez Dobrego Duszka. Był on stosunkowo niewielkim, czarnym labradorem. Gdy już zostałem przez niego bardziej wyciągnięty, niż wyprowadzony, z dworca, dalsza droga okazała się być dla mnie całkiem przyjemna. Cały czas starałem się chłonąć sygnały przekazywane przez Przewodnika, Trenerkę oraz otaczający mnie świat. Początkowo ilość informacji, na które powinienem był reagować, była przytłaczająca, jednak po dłuższej chwili, po oswojeniu się z nową sytuacją, mogłem już wyłapywać pewne charakterystyczne cechy Duszka. Okazało się, że prowadzi mnie bardzo płynnie. Na pewno nie był tak wystraszony całą sytuacją, jak ja. Bardzo równo reagował na moje komendy, od razu było po nim widać, że jest to spokojny, bardzo dobrze ułożony pies. Zdziwiło mnie tylko dość mocno odbierane przeze mnie wrażenie bujania, efekt przypominający nieco sytuację, jakbyśmy ja i Przewodnik stali na dwóch różnych powierzchniach. Gdy podzieliłem się swoim spostrzeżeniem z Trenerką, zasugerowała, że akurat w tej sytuacji za podobne odczucia może odpowiadać nieprawidłowe dopasowanie uchwytu uprzęży do mojego wzrostu. W trakcie tego przejścia bałem się również, że nadepnę psu na łapę. Pani Monika uspokajała mnie w tej sprawie, ale obawy nie chciały mnie opuścić. Całą drogą starałem się również powtarzać komendy podpowiadane przez Trenerkę. Jeszcze nie wszystkie rozumiałem, ale za to cieszyłem się ogromnie, że Przewodnik je rozumie. W ten sposób, nomen omen z duszą na ramieniu, prowadzony przez Dobrego Duszka i asekurowany przez Panią Monikę, wykonałem pierwszą rundkę. Polegała ona na opuszczeniu budynku dworca, dojściu do przejścia dla pieszych, następnie dłuższy kawałek chodnikiem w lewo, ponownie przejście przez ulicę i powrót na dworzec po kolejnego psa.

A tam czekała już na mnie Bunia, czekoladowy chesapeake bay retriever. Posiadała ogromne, niezwykle gęste, przypominające sprężynki loki. Była wzrostu Dobrego Duszka, ale tylko to je łączyło – Bunia była młodsza i o wiele bardziej dynamiczna. Miałem wręcz wrażenie, że z miejsca ruszała z piskiem łap i hamowała w podobny sposób. Energia w niej aż kipiała. Chwilami, szczególnie tuż po zatrzymaniu, dosłownie tańczyła mi pod nogami.

Tym razem asekurowała mnie Monika Krzemińska. Miałem okazję ją poznać jeszcze w trakcie spotkania z przyszłymi Opiekunami Przewodników. Sama



również energiczna i dynamiczna, doskonale do Buni pasowała. Uprzedziła mnie o charakterze psa i jego młodym wieku. Zasugerowała również, aby starać się dodatkowo nie stymulować Przewodnika głośniejszymi, czy bardziej ekspresyjnymi komendami. I tu, ogólnie rzecz biorąc, problemów nie było. Dłuższy uchwyt uprzęży sprawił, że w trakcie naszego wspólnego przejścia Bunię wyczuwałem znacznie lepiej niż Duszka. Z uwagi na temperament Przewodnika, tym razem trasę pokonałem znacznie szybciej. Te ogromne różnice między jedynie dwoma psami uzmysłowiły mi, jak ważne są spotkania preselekcyjne oraz odpowiednie dopasowanie do siebie Opiekuna i Przewodnika.

Trzecim psiakiem, z którym tego dnia miałem przyjemność spacerować, był Bright. On także był spokojnym, czarnym labradorem, jednak to, co mnie w nim urzekło, to jego wielkość. Był zdecydowanie większy od Dobrego Duszka. Gdy ruszyliśmy z miejsca, szedł wolno i bardzo ostrożnie. Ewidentnie mi nie ufał i mając mnie za sterami, czuł się odczuwalnie niepewnie. Jednak jak tylko kilka razy go pochwaliłem oraz utwierdziłem w słuszności obranego kierunku, nabrał pewności i ruszył raźniejszym tempem. Szedł bardzo zdecydowanie i stabilnie. Przypominał mi w tym Sopera, Przewodnika poznanego jeszcze na spotkaniu informacyjno-kwalifikacyjnym. Pewnie było to również podobieństwo wynikające z samej tresury, ponieważ oba te Przewodniki ułożyła Pani Joanna Pawlik. W trakcie tego przejścia to ona mnie asekurowała.

Idąc z Brightem, wyraźnie odczuwałem każdy jego ruch. Mijane przeszkody, zwalnianie przed przejściami, czy też lekkie skręcanie, celem ominięcia nadchodzących pieszych lub elementów małej architektury. Czułem się przy nim niezwykle bezpiecznie. Szedłem swobodnie, mając pewność, że ten pies zadba o moje bezpieczeństwo. Przez tę płynność poruszania w ogóle nie obawiałem się, że nadepnę mu na łapę. Poczuję wtedy, jakby coś między nami kliknęło. Miałem wrażenie, że ktoś po prostu uszył tego Przewodnika na moją miarę. Nie czułem nawet, jak ściągał mi przysmaki z ręki – robił to w niezauważalny dla mnie sposób. Smaczek był i nagle go nie ma – Dobry Duszek, biorąc smakołyki, lekko szczypał mnie zębami w palce, Bunia obśliniła mi całą dłoń, a Bright je po prostu „znikał”.

Jak się okazało, nasze zgranie to nie były tylko moje subiektywne odczucia. Trenerka również to zauważyła i chcąc przyjrzeć się naszej współpracy w innych warunkach, wydłużyła dotychczasową trasę. Dzięki temu Bright poprowadził mnie przez cały dworzec – przeszliśmy jego korytarzami na drugą stronę budynku i z powrotem, ćwiczebnie podeszliśmy jeszcze pod schody, gdzie Przewodnik

zademonstrował mi oznaczanie pierwszego stopnia, zarówno przy wchodzeniu do góry, jak i schodzeniu w dół. W końcu, niezwykle niechętnie z mojej strony, wróciliśmy do reszty kandydatów.

Na sam koniec przydarzyła mi się zabawna sytuacja z Brightem. Wydałem mu komendę: „Równaj!” i od razu podałem smaczek. Oczywiście, w jego wykonaniu, przysmak po prostu zniknął, a pies stał tam, gdzie wcześniej – w ogóle nie zareagował na komendę. Zupełnie odruchowo sięgnąłem mu więc do pyska i wyjąłem z niego podany wcześniej smaczek. Nie wiem, kto był wtedy bardziej zdziwiony – Przewodnik czy Pani Joanna. W każdym razie, gdy powtórzyłem komendę, to Bright natychmiast dostawił się do mojej lewej nogi. A przysmak, tym razem całkowicie zasłużenie, ponownie bez śladu zniknął z mojej dłoni.

Po odprowadzeniu mnie do kawiarnianego stolika trójka Trenerek oznajmiła, że teraz muszą podzielić się między sobą obserwacjami z naszych przejść. Mamy spokojnie zaczekać, a one w tym czasie będą się naradzały. Obawiałem się, że potrwa to znowu z pół godziny, ale na szczęście zdążyliśmy tylko zamienić dosłownie dwa zdania z pozostałymi Kandydatami, gdy do nas powróciły. Jak tylko dosiadły się do stolika, od razu poprosiły nas, abyśmy to my podzielili się z nimi naszymi wrażeniami. W trakcie krótkiej wymiany zdań z pozostałymi Kandydatami dowiedziałem się, że każdy z nich miał identyczne wrażenia jak ja – wszystkim właśnie Bright najbardziej przypadł do gustu. Stwierdziłem więc w duchu, że trzeba kuć żelazo, póki gorące i jako pierwszy zgłosiłem się do odpowiedzi.

Oczywiście od razu wyraziłem mój całkowity zachwyt nad pracą tego konkretnego Przewodnika. Pani Joanna zapytała, dlaczego według mnie chodziło mi się z nim lepiej, niż z innymi psami. Mogłem wtedy swobodnie porozwodzić się nad własnymi wrażeniami, nad trzymaniem wygodnego dystansu przez Przewodnika z mojej lewej strony, umiejętnością przyśpieszania i zwalniania na komendę, a przede wszystkim nad jego wielkością sprawiającą, że uchwytu uprząży nie musiałem szukać gdzieś na wysokości połowy łydki. Trenerka dopytywała mnie jeszcze o środki transportu, jakimi się zwykle poruszam – wymieniłem wtedy pociągi, autobusy i samoloty.

Na koniec spróbowałem jeszcze wykazać się obiektywizmem i opisałem wrażenia z przejść z pozostałymi Przewodnikami. Jak się okazało, Katarzyna i Monika miały bardzo podobne odczucia, zarówno co do Brighta, jak i Dobrego Duszka oraz

Buni. Obie twierdziły, że najlepiej im się chodziło z największym psiakiem, potem z mniejszym labradorem i na końcu z radosną „Czesią”. Każda z Kandydatek odpowiadała również na pytania o ich aktywność życiową i uczelnianą oraz o ich mobilność.

Po wszystkich naszych wypowiedziach Trenerki z żalem skonstatowały, że zburzyliśmy im plany. Na spotkanie preselekcyjne każda z nich przychodzi z wizją osoby, która pasować będzie do szkolonego przez nią psa. Jak się jednak okazało, nie wszyscy z grupy Kandydatów pasowali do tych wyobrażeń, jednak zgodnie z zasadami spotkań, w tym momencie nie mogły nam nic o tym powiedzieć; ich opinia z obserwacji naszych przejść jest bardzo ważna, ale ostatecznie zdanie i tak należało do władz Fundacji szkolącej Przewodniki. Dlatego też mogłem już wtedy tylko je pożegnać, uzbroić się w cierpliwość i z zaciśniętymi kciukami czekać na spełniającą – jak miałem nadzieję – moje oczekiwania decyzję.

W trakcie późniejszego obiadu z Alicją i Beatą z wypiekami na twarzy dzieliłem się z nimi moją ekscytacją i wątpliwościami. Nawet już po pożegnaniu koleżanki i zajęciu miejsc w pociągu, nadal całą drogą jak najęty opowiadałem żonie, co się działo, co czułem i jak to jest poruszać się z Przewodnikiem. Ponieważ widziałem, że Alicja też już jest zmęczona, umówiłem się jeszcze tylko ze znajomym – również posiadaczem Przewodnika – że odezwę się do niego po powrocie do domu i dałem jej odetchnąć.

Oczywiście, po dotarciu do domu ponownie się nakręciłem – i tym razem już mojemu znajomemu – do pierwszej w nocy opowiadałem, co się działo w Warszawie. W końcu przypomniałem sobie jednak, że rano muszę wstać do pracy, więc pożegnałem się i udałem w stronę sypialni. Powoli zasypiając miałem niezwykle silne przeczucie, wręcz graniczące z pewnością, że, cichutko poszczekując przez sen, Bright już gdzieś tam na mnie czeka.



# Człowiek planuje, a Bóg się śmieje

Jeszcze pod koniec 2015 roku Alicja, widząc, ile nadal mam pytań i wątpliwości, wpadła na doskonały pomysł założenia facebookowej grupy Pies Przewodnik<sup>3</sup>, gromadzącej przyszłych i obecnych Opiekunów Przewodników. Jak się okazało, w krótkim czasie na grupę zapisało się sporo osób. Początkowo grupa miała być zamknięta, tylko dla zarejestrowanych członków, udało mi się jednak przekonać Alicję, aby pozostawiła otwarty dostęp, tak, żeby każda osoba szukająca informacji na temat Przewodników, mogła je znaleźć za pomocą zwykłej wyszukiwarki internetowej. Grupa, działająca nieprzerwanie od października 2015, regularnie gromadzi ok. 500 osób – jedni przychodzą, drudzy odchodzą, ale ich liczba pozostaje cały czas na podobnym poziomie. Jest to o tyle interesujące, że w Polsce aktualnie nie ma nawet 250 Przewodników w czynnej służbie. Pokazuje to, jak duże jest zainteresowanie tego typu wsparciem, nie tylko u obecnych, ale także u potencjalnych Opiekunów psów pracujących.

Na powstałej grupie mogłem zadawać wszystkie pytania, które tylko przychodziły mi do głowy. Takie niby oczywiste, ale których odpowiedzi jednak nie byłem pewien. Jak dbać o Przewodnika? Jak zimą zabezpieczać jego łapy? Jak spędzać z nim wolny czas? Jak pies sygnalizuje, że mijamy prostopadły chodnik? Nachodziły mnie również także i takie mniej oczywiste wątpliwości. Czy lepszy jest mniejszy, czy większy Przewodnik? Na jaki kolor psa ludzie reagują lepiej? Jak poruszać się z Przewodnikiem po kręconych schodach? Opiekunowie psów bardzo chętnie dzielili się swoim doświadczeniem i przemyśleniami. Na grupie pojawiały

---

<sup>3</sup> [https://www.facebook.com/groups/1692746264276975/?locale=pl\\_PL](https://www.facebook.com/groups/1692746264276975/?locale=pl_PL)

się ciekawe informacje, uwagi, a nawet oferty kupna, czy sprzedaży różnych psich akcesoriów. Dowiedziałem się wtedy bardzo wielu ważnych rzeczy. Dzięki nim mogłem później lepiej komunikować się z Trenerką mojego Przewodnika, wiedziałem, jakie zadawać pytania oraz na co zwracać uwagę w trakcie przejmowania psa, znałem specjalistyczne słownictwo. Klimat wsparcia na grupie był tak duży, że niektórzy Opiekunowie nawet oferowali zainteresowanym osobom możliwość zobaczenia ich Przewodników w trakcie pracy – dosłownie nigdy ani jedno moje pytanie nie pozostało bez odpowiedzi.

Otwarty charakter grupy gwarantował również możliwość zapoznania się z jej archiwum. Dzięki temu mniej śmiałe osoby, korzystając z wyszukiwarki, znaleźć mogły odpowiedzi na nurtujące je pytania. Na grupie, oprócz aktualnych, są również byli Opiekunowie Przewodników, Trenerzy psów, a nawet weterynarze. Dlatego uważam, że jeśli ktoś rozważa przyszłą współpracę z psem, to warto się tam zapisać.

To właśnie przeglądając archiwum grupy, kilka dni po spotkaniu preselekcyjnym, natrafiłem na link do prywatnego profilu jednej z Trenerek. A tam, jakby tylko na mnie czekało zdjęcie szczeniaczka labradora o imieniu Bright. I jak dla mnie to był jasny znak: czekam na ciebie!

Niestety ten „jasny” znak stanowił dość duży problem. Okazało się bowiem, że Alicja absolutnie nie zgadza się na posiadanie przeze mnie czarnego labradora. Na spotkaniu informacyjno-kwalifikacyjnym naogłądała się słodziutkich, biszkoptowych labusi i teraz nawet nie chciała słyszeć o innym umaszczeniu psa. Według niej czarne labradory są gorzej postrzegane i słabiej akceptowane w przestrzeni publicznej, bywają też mylone z czarnymi przedstawicielami ras uznawanych za groźne. Tymczasem moja fixacja była już całkowita. Zastanawiałem się wtedy już tylko nad jednym: czy wcześniej w ogóle wspominałem Alicji, że Bright jest czarny? Wydawało mi się, że nie, a na pewno go nie widziała. Więc gdyby przyszło co do czego, to po przywiezieniu go do domu, mógłbym się tłumaczyć, że byłem absolutnie pewien, iż Bright jest jasny! W końcu nie mogłem tego stwierdzić na własne oczy, a przecież nazwa psa rozumie się sama przez się.<sup>4</sup> Dlatego, na wszelki wypadek, aż do momentu przekazania Przewodnika w moje ręce, postanowiłem przy Alicji nie poruszać tematu jego umaszczenia.

Tymczasem Bright niepostrzeżenie zagarnął moje myśli do tego stopnia, że zacząłem nie tylko wyobrażać sobie nas w najróżniejszych miejscach

---

<sup>4</sup> Bright – ang. Jasny

i sytuacjach, ale także używać w myślach zdrobnień, które z biegiem czasu zwykle zakradają się do naszego języka. A ponieważ czytałem wtedy „Nakręcaną Pomarańczę” Anthony Burgessa, Bright, między innymi został Brajdaszkiem, z którym w moich fantazjach razem przemierzaliśmy świat.

Dni mijały powoli. W naszych rozmowach dosłownie codziennie pojawiał się Bright, co do zasady mający pogodzić nasze wspólne oczekiwania, a jednocześnie stanowiący na horyzoncie dosłownie czarną chmurę, mogącą sprowadzić do naszego domu potężną zawieruchę. Wraz z upływającym czasem moja niecierpliwość gwałtownie rosła. Oczekiwanie na informację z Fundacji było niezwykle irytujące. Zupełnie nie rozumiałem, co może zajmować aż tyle czasu. Wymiana informacji? Ocena zachowań przyszłych Opiekunów? Ta ciągła niepewność sprawiała, że nie mogłem o niczym innym myśleć i trudno mi się było skupić na innych, na przykład zawodowych rzeczach. W końcu wcześniej półtora roku czekałem na jakiś znak, a tu znowu cisza i dezorientacja.

I wreszcie, niemal półtora miesiąca od spotkania preselekcyjnego, zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszałem głos koordynatorki programu przekazywania psów – Joanny Witkowskiej – mówiący: „Dzień dobry. Dzwonię poinformować, że mamy dla ciebie Przewodnika”. Moją pierwszą myślą było wtedy: „Dobrze, że siedzę”. Zdałem sobie sprawę, że dosłownie kręci mi się w głowie. Po chwili zrozumiałem, że odbierając połączenie z Fundacji, wstrzymałem oddech i do tej pory go jeszcze nie wypuściłem. Gdy to sobie uzmysłowiłem, wraz ze wstrzymywanym powietrzem, uwolniłem z siebie eksplozję radości. Zalała mnie taka fala endorfin, że nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Nie potrafiłem usiedzieć w miejscu. Poderwałem się z krzesła i zacząłem chaotycznie wypytywać moją rozmówczynię o szczegóły. Pani Joanna przeczekała ten wybuch ekscytacji i zaczęła od pogratulowania wytrwałości, po czym w kolejnym zdaniu zrzuciła na mnie następną bombę. Okazało się bowiem, że nie trafi do mnie tak wymarzony i wyczekiwany Bright, co więcej, nie będzie to nawet żaden z trzech Przewodników, których poznałem na spotkaniu preselekcyjnym. Poinformowała mnie, że po analizie mojego sposobu poruszania się, warunków fizycznych i oczekiwań względem psa, Fundacja podjęła decyzję, że najlepszym dla mnie Przewodnikiem będzie czekoladowy chesapeake bay retriever imieniem Zako. Dowiedziałem się także, że Trenerką psa była Monika Marcelewicz, do której od razu otrzymałem bezpośredni kontakt. Kończąc rozmowę, wylewnie podziękowałem koordynatorce i – porywając Alicję w ramiona – odtańczyłem szaleńczy taniec radości.

Gdy już chwilę odetchnąłem, a emocje nieco opadły, myśląc o niespodziance w postaci zupełnie nieznanego psa, z naprawdę mieszanymi uczuciami wybrałem numer telefonu Pani Moniki. I jak się od razu okazało, oczywiście spodziewała się mojego telefonu. Pewnie każdy w podobnej sytuacji próbuje jak najszybciej skontaktować się z Trenerem swojego nowego Przewodnika. Mnie do działania popychało jeszcze jedno, a mianowicie chęć ustalenia, co to w ogóle jest za pies!

Już po kilku zdaniach dowiedziałem się, że to właśnie Pani Monika stała za zmianą typowanego dla mnie pieska. Obserwując w kwietniu moją pracę z psami, podejście do nich oraz oczekiwania, jakie względem nich miałem, uzmysłowiła sobie, że ma dla mnie idealnego Przewodnika. Ponieważ nie spotkaliśmy się w trakcie pierwszego szkolenia informacyjno-kwalifikacyjnego, nie miała okazji mnie poznać, zobaczyć jak chodzę z psem, więc wcześniej w ogóle nie brała pod uwagę czwartego z aktualnie szkolonych Przewodników. Tymczasem, według jej słów, zarówno pod względem charakteru, jak i fizycznym, powinniśmy bardzo dobrze do siebie pasować. Przyznam, że w trakcie rozmowy niespecjalnie mnie przekonała do tej koncepcji, ale na pewno nieco uspokoiła, głównie tym, że przypisany do mnie pies miał być naprawdę duży (około 65 cm w kłębie), spokojny i bez wątpienia nie był czarny.

Ja oczywiście najchętniej już nazajutrz jechałbym do Warszawy zobaczyć nowego Przewodnika, ale gdy oboje zerknęliśmy do kalendarzy, pojawił się problem. W moim najpierw był dwutygodniowy, wakacyjny wyjazd do Grecji, a później czterodniowy, służbowy, na Islandię. W tym samym czasie Pani Monika miała przekazywać Dobrego Duszka nowemu Opiekunowi. Wstępnie umówiliśmy się więc na kolejny kontakt za miesiąc, żeby dopiero wtedy ustalić dokładną datę spotkania. Moja rozmówczyni obiecała jeszcze przesłać komplet zdjęć psiaka, tak, abym mógł go zawczasu przedstawić Alicji. Na koniec wylewnie podziękowałem za przemiły kontakt i obiecałem odezwać się zgodnie z ustaleniami.

Jak tylko się rozłączyłem, natychmiast rzuciłem się do komputera sprawdzić, co to w ogóle jest za rasa Chesapeake Bay Retriever. Przyznam, że gdy przeczytałem opis rasy w serwisie Purina.pl,<sup>5</sup> to zrobił on na mnie ogromne wrażenie.

---

<sup>5</sup> Purina.pl (11.02.2023) <https://www.purina.pl/psy/rasy-psow/biblioteka/chesapeake-bay-retriever>



## Chesapeake Bay Retriever

Duży, muskularny i silny pies, mający błony pławne oraz wodoodporną sierść, która jest krótka i gęsta, z szorstką, tłustą sierścią okrywową i delikatnym, wełnianym podszerstkiem. Opisywana jest jako kolor suchej trawy, czyli pomiędzy słomą a paprocią. Psy tej rasy mogą być również czerwono-złote i brązowe. Dorosłe psy mierzą 58-66 cm i ważą 29,5-36,4 kg. Suki mierzą 53-61 cm i ważą 25-31 kg.

## Cechy

Pies odpowiedni dla niedoświadczonych właścicieli

Lubi energiczne spacerowanie

Może spacerować ponad dwie godziny dziennie

Duży pies

Mało się ślini

Wymaga czesania raz na tydzień

Rasa normalnie alergizująca

Cichy pies

Pies niestróżujący

Świetnie odnajduje się wśród innych zwierząt domowych

Pies rodzinny

## Pochodzenie

Chesapeake bay retriever to amerykańska rasa powstała z brytyjskich ras, stworzona przez osadników do pracy w wodzie, aportowania kaczek i innego ptactwa wodnego. Podobno w 1807 roku na brzegu Maryland rozbił się statek z dwoma szczeniakami nowofundlandów. Szczeniaki oddano w podzięcie ratownikom. Oba psy skojarzono z tamtejszymi psami, a szczenięta skrzyżowano z flat coated retrieverem i curly coated retrieverem, irlandzkim spanielem dowodnym i coonhoundem. Powstała rasa Chesapeake bay dog, którą znamy współcześnie.

## Osobowość

Psy tej rasy są niezależne i jednocześnie kochające. Kochają dzieci, choć czasem bawią się prymitywnie. Chesapeake bay retriever jest z natury obronny i ma

pogodny, radosny i czujny pogląd na życie. Lubi towarzystwo innych psów i ludzi. Nie jest to najlepsza rasa psów dla początkujących właścicieli psów.

## Ćwiczenia

Chesapeake bay retriever potrzebuje dużo ruchu i jeśli ma go za mało może się źle zachowywać. Psy te kochają wodę, pływanie i aportowanie. Potrzebują co najmniej dwóch godzin ruchu dziennie. Nie jest to idealna rasa dla miastowych czy leniuchów.

## Czesanie

Sierść Chesapeake'ów jest bujna i krótka z gęstym wełnianym podszerstkiem. Może falować, ale nie jest kręcona, w dotyku tłusta. Nie zaleca się kąpania tych psów, by uniknąć uszkodzenia wodoodpornej sierści. Należy też uważać z czesaniem, które jest konieczne tylko w okresie linienia. Szczotkowanie usunie martwe i zrzucone włosy. Kąpiele i nadmierne szczotkowanie może zniszczyć teksturę sierści".

Oczywiście Internet to nie wszystko, dlatego też zaraz potem sięgnąłem do naszej biblioteczki elektronicznej, w której – jeszcze od czasów Hamleta – mieliśmy cały zestaw publikacji poświęconych różnym rasom psów. I tak na przykład w książce Evy-Marii Kramer pt. „Rasy psów” przeczytałem, że „W 1807 roku pewien statek angielski rozbił się na brzegu Marylandu. Wśród rozbitków znajdowały się dwa szczeniaki nowofundlanda, brązowy i czarny. W podzięcie za ratunek rozbitkowie obydwaj psy pozostawili w Ameryce. Okazały się one wspaniałymi, lubiącymi wodę aporterami, aby więc zachować te zalety, skrzyżowano je z miejscowymi psami myśliwskimi. Do tej mieszanki prawdopodobnie dołożono jeszcze spaniela wodnego i retrievera lokowatego. Chesapeake bay retriever doskonale płoszy ptactwo i aportuje. Niezmordowanie pracuje w lodowatej wodzie na polowaniach na kaczki, ponieważ charakterystyczna, lekko natłuszczona szata chroni go przed wilgocią i zimnem. Jest to żywy, odważny, opanowany pies, który potrzebuje dobrego prowadzenia. Przyjacielski, wierny i bardzo czujny, potrzebuje kontaktu z rodziną, zajęcia i ruchu. Nie wymaga specjalnej pielęgnacji”.<sup>6</sup>

Z kolei Rino Falappi w swojej publikacji pt. „Czworonożni przyjaciele – rasy, pielęgnacja i hodowla psów” pisał, że chesapeake bay: „To jedyny retriever

---

<sup>6</sup> Kramer e.M. (1996) Rasy psów, Oficyna Wydawnicza, Warszawa, s. 250

pochodzący z USA. Ten mocny pies (60 cm wysokości w kłębie przy wadze 30 kg) kocha wodę. Wprawdzie nie jest zbyt towarzyski, ale wiernie oddany swemu panu.

Szata: na gęstym podszerstku leży krótka, raczej gruba okrywa, której maść sięga od ognia czerwonego do płowego”.<sup>7</sup>

I znowu miałem mętlik w głowie – w tym samym opisie pojawiła się informacja, że CBR to pies odpowiedni dla niedoświadczonych właścicieli oraz że nie jest to najlepsza rasa psów dla początkujących właścicieli. Jedna publikacja zawierała informację, że trzeba go czesać co tydzień, a druga, że czesania wymaga tylko w okresie linienia. Jedni kynolodzy pisali, że pies przyjazny, a inni, że nie jest towarzyski. Po chwili zastanowienia doszedłem jednak do wniosku, że każdy pies i tak posiada swój indywidualny charakter, więc nie ma co się sugerować opiniami innych. W swoim czasie sam się przekonam, jaki jest Zako, a z punktu widzenia Przewodnika, brak zacięcia towarzyskiego może być nawet pożądaną cechą.

Zaraz potem sprawdziłem pocztę elektroniczną, a tam na skrzynce czekało już na mnie kilkanaście zdjęć, ukazujących Zako od małego szczeniaka, aż po dorosłego psa. Jak tylko je znalazłem, od razu zawołałem Alicję, aby mogła zobaczyć mojego przyszłego Przewodnika. I myślę, że w jej przypadku, to właśnie był ten moment, kiedy po raz pierwszy zachwyciła się Zako, jeszcze nie wiedząc, jaki psiak ma charakter i temperament; jedynie na podstawie oglądanych fotografii z zachwytem stwierdziła: „On jest słodziutki!”.

Pewnie z uwagi na wyjazd wakacyjny, a także odwiedzane w tym czasie niezwykle miejsca, kolejny miesiąc minął mi bardzo szybko. Gdy tylko wróciłem do kraju z zimnej i mokrej Islandii, od razu odezwałem się do Pani Moniki. Tym razem możliwości w naszych terminarzach były znacznie lepsze, więc od razu mogliśmy się umówić na pierwsze spotkanie zapoznawcze z psem. Pani Monika zapowiedziała, że będzie ono trwało od 4 do 5 godzin, w tym czasie ona i my będziemy mogli ostatecznie ocenić, czy obaj pasujemy do siebie.

---

<sup>7</sup> Falappi R. (2001) Czworonożni przyjaciele – rasy, pielęgnacja i hodowla psów, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa, s. 157



# Jestem Zako, niechaj Państwo mi wybaczą

Jak zdążyłem się przekonać na przestrzeni lat, ja i pociągi nie stanowimy najlepszego – nomen omen – połączenia. Większości moich podróży koleją towarzyszą jakieś dziwne przygody – i niestety, zazwyczaj nie są one miłe. Dlatego też wcale nie byłem zaskoczony, że gdy akurat miałem wybrać się na pierwsze spotkanie z moim Przewodnikiem, PKP właśnie rozpoczęło remont Centralnej Magistrali Kolejowej. Dzięki temu podróż, trwająca dotychczas w jedną stronę około dwóch i pół godziny, wydłużyła się do czterech. W sumie więc tego dnia w samych tylko ekspresach PKP spędziłem aż osiem godzin.

I właśnie za sprawą prowadzonych remontów do Warszawy dotarłem dopiero na godzinę 11:30. Na szczęście, Pani Monika była tak miła, że wraz z psem przyszła po mnie na peron. Po krótkim przywitaniu całą trójką zeszliśmy do dworcowej kawiarni, gdzie mogliśmy chwilę porozmawiać i ustalić dalszy plan działania. Był to też ten moment, gdy po raz pierwszy mogłem przywitać się z Zako i osobiście przekonać się, co to za psisko.

Okazało się ono wzorcowym przedstawicielem rasy Chesapeake Bay Retriever, o dość krótkim futrze w kolorze mlecznej czekolady, dokładnie takiej samej barwie nosa i uszu oraz oczach koloru ciemnego bursztynu. Na większości ciała sierść była gładka, ale od karku do ogona układała się w szeroki pas małych loczków, schodzących na uda i bardzo długi, puszysty ogon. Same uszy były bardzo duże, mięsiste i swobodnie zwisały po bokach głowy. Gdy łapałem je dłońmi, w dotyku przypominały grubą, pluszową kotarę. W przeciwieństwie

do typowych labradorów pies posiadał wydłużoną kufę, czyli pysk. Gdy tylko go dotknąłem, natychmiast skojarzył mi się z lisim pyszczkiem. Ku mojemu prawdziwemu zachwytowi, okazał się naprawdę dość dużym psem, przy czym nie tyle masywnym, ile wysokim. Posiadał bowiem bardzo długie łapy. W kłębie miał ponad 60 cm i ważył ponad 30 kg, jego dokładne wymiary miałem dopiero poznać po wizycie u weterynarza. Widząc mój zachwyt nad gabarytami Przewodnika, Pani Monika lojalnie uprzedziła, że pies nadal będzie jeszcze rósł i nabierał masy mięśniowej – i była to dosłownie muzyka, nie tylko dla moich uszu, ale przede wszystkim dla moich oczekiwania.

Dowiedziałem się, że Zako w tym momencie miał 17 miesięcy. Od pierwszego spotkania był bardzo kontaktowy. Bez wahania przytulał się do mnie i dawał się głaskać. Od razu było widać, że lubi pieszczoły. Porównując jego zachowanie do innych znanych mi Przewodników, bardzo pozytywnie zaskoczyła mnie jego aktywność. Był bardzo energicznym i radosnym psem. Podejrzywałem, że wynikało to właśnie z jego młodego wieku.

Ale Zako? Co to w ogóle za imię? Pani Monika zapytana o tę tajemnicę, szybko mi ją wyjaśniła.

Okazało się, że Przewodnik pierwotnie miał na imię Kodi. Zmieniono je, aby w ten sposób uhonorować sponsora, który ufundował zakup szczeniaka – a że darczyńcą była krakowska Galeria Handlowa Zakopianka, to piesek otrzymał imię Zako. W ten symboliczny sposób Fundacja Vis Maior odwdzięcza się sponsorom. Dokładnie na tej samej zasadzie wspomniany wcześniej Przewodnik, zakupiony przez logistyczną firmę SAP, nazwany został Saperem.

Pani Monika przedstawiła mi plan naszego spotkania i zapytała, czy teraz ja mam jakieś pytania do niej. Udało mi się ją rozbawić stwierdzeniem, że czekając prawie dwa lata na Przewodnika, miałem dość czasu, aby rozpytać o wszystkie interesujące mnie rzeczy oraz że ewentualne pytania będę zgłaszał na bieżąco. Przedstawiłem za to część własnych potrzeb i oczekiwań względem psa. Trenerka, znając nasz tryb życia, pracy oraz sposoby spędzania wolnego czasu, mogła pod naszym kątem odpowiednio przygotować Przewodnika. Przykładowo, Pani Monika, wiedząc wcześniej, że zdarza mi się kilka razy do roku latać samolotami, odbyła z Zako kilka sesji treningowych na lotnisku Chopina. Zwracała również szczególną uwagę na wyszkolenie umiejętności wsiadania i wysiadania z pociągu wiedząc, że pies często będzie pracował w takim środowisku. Chyba jedyną

rzeczą, o jaką wtedy zapytałem, było: „Dlaczego właśnie ja?”. Ciekaw byłem, dlaczego to ja zostałem przyporządkowany do Zako albo, patrząc z drugiej strony, Zako do mnie. Wtedy też dowiedziałem się o zasadach, jakimi Trenerzy kierują się przy parowaniu duetów Opiekun – Przewodnik. I okazało się, że to naprawdę ma sens, przy czym nie bierze się pod uwagę tylko temperamentu, przyporządkowując wrażliwe psy do wrażliwych osób albo dynamiczne do ludzi, którzy będą w stanie nad nimi zapanować itd. Zdziwiło mnie, że wcale nie jest regułą łączenie w pary partnerów odpowiadających sobie gabarytami, a przykład dużego Przewodnika z dużym Opiekunem. Okazuje się, że czasem bardzo wysokie osoby świetnie poruszają się z malutkim pieskiem i w ich przypadku akurat rozmiar nie ma żadnego znaczenia. Pani Monika wypunktowała zaobserwowane przez nią cechy Zako i ponownie stwierdziła, że według jej wiedzy oraz doświadczenia, powinniśmy do siebie świetnie pasować. Nie pozostało nam zatem nic innego, jak przekonać się o tym w praktyce. Na koniec naszej rozmowy złożyłem składaną laskę i schowałem ją do plecaka. Był to dla mnie prawdziwy znak nadchodzących zmian.

W trójkę wyszliśmy przed budynek dworca. Na wstępie, jako niezbędny rekwizyt, otrzymałem od Pani Moniki saszetkę z suchą karmą do skarmiania Przewodnika w trakcie pracy. Była to prosta sakiewka, mocowana do paska spodni za pomocą plastikowego zaczepu w formie haczyka. Zgodnie z instrukcją Trenerki, zawiesiłem ją po lewej stronie ciała.

Następna w kolejności była pierwsza komenda, jaką poznaje Opiekun pracującego psa, czyli: „Równaj!”. Po jej usłyszeniu Przewodnik powinien ustawić się po lewej stronie Opiekuna w taki sposób, aby prawą łopatką dotykać jego lewej nogi. Czasem, gdy Opiekun jest leworęczny i miałby trudności z klasycznym poruszaniem się z psem, przygotowany jest dla niego Przewodnik idący po prawej stronie ciała. Osobiście chyba jednak nigdy nie spotkałem podobnego duetu. Dzięki takiemu ułożeniu osoba niewidoma zawsze wie, gdzie się znajduje oraz jak ustawiony jest Przewodnik. Taki układ sprawia, że nawet nie widząc, wystarczy wyciągnąć rękę w bok, aby natrafić na psią głowę. W ten sposób, bez pomocy wzroku, bardzo łatwo można również założyć Przewodnikowi specjalistyczną uprząż, zapiąć obrożę czy też odpiąć smycz.

Uprząż pracującego psa zasługuje na osobny akapit – choć na pierwszy rzut oka wszystkie one wyglądają podobnie, to każdy tryb wykonywanej pracy wymaga nieco innej uprząży. Przykładowo, ta wykorzystywana przez psy pociągowe

posiada specjalne mocowanie na grzbiecie, wzmocnienia i dodatkowe wypełnienia od strony klatki piersiowej psa, ponieważ w trakcie ciągnięcia sań czy wózków, największy nacisk wywierany jest właśnie na tę część ciała. Psy ratownicze posiadają uprząże ze specjalnymi, dodatkowymi uchwytami umożliwiającymi ich opuszczanie z wysokości, na przykład ze skał lub helikoptera. Są one odblaskowe, często wyposażone w zielone światło do pracy w nocy, a czasem nawet dzwonki do poszukiwań w lesie. Psy myśliwskie posiadają różne oznaczenia świetlne po lewej i prawej stronie uprzęży, tak aby polujący nocą wiedzieli, w którym kierunku pies wystawia im zwierzynę. Z kolei „umundurowanie” psów wojskowych lub policyjnych, stanowią specjalne uprząże taktyczne, wyposażone w dodatkowy uchwyt umożliwiający lepsze trzymanie i kontrolowanie psa oraz cały szereg mocowań pozwalających przypiąć do nich najróżniejsze wyposażenie, od racji żywnościowych, po ładownice z amunicją. Często zamiennie używane są określenia „uprząż” i „szelki” lub „szorki” – w moim odczuciu całkiem niesłusznie. Szelki to konstrukcja umożliwiająca jedynie bezpieczniejsze i zdrowsze prowadzenie psa na smyczy, ponieważ, szczególnie u młodych psiaków, dzięki harce ze smyczą przypiętą do obroży mogą zakończyć się podduszeniem lub urazem kręgosłupa. Co więcej, szorki umożliwiają odpowiednie oznakowanie psa, na przykład „Policja” czy „Dogoterapeuta” – pewnie z tego właśnie powodu, często są one mylone z uprzężą.

W przypadku Przewodników, ich uprząż może być wykonana z różnych materiałów i – w zależności od producenta – różni się konstrukcją oraz innymi dodatkami. Jednak, co do zasady, ich podstawowy kształt, wynikający z przeznaczenia, zawsze jest taki sam. Uprząż, jaką wręczyła mi Pani Monika, była wykonana z grubej, sztywnej skóry. Po założeniu na psa wygląda ona mniej więcej tak, jakbyśmy opasali Przewodnika na wysokości klatki piersiowej skórzanym paskiem. W połowie uprzęży, na jednym boku psa, odchodzi od niej drugi skórzany pas, otaczający klatkę piersiową Przewodnika, łączący się z uprzężą po drugiej stronie psa. Najczęściej jest on odblaskowy. Każda uprząż dobierana jest indywidualnie, tak aby nie była ani za mała, ani za duża na Przewodnika. Powinna ona posiadać również odpowiednią regulację, tak abyśmy na bieżąco mogli ją dopasowywać do aktualnych, fizycznych gabarytów psa. Nie może ona też być zapięta zbyt luźno, ponieważ nie będzie wtedy przekazywała osobie niewidomej potrzebnych informacji.

W górnej części uprzęży, od strony grzbietu Przewodnika, przymocowany jest uchwyt lub inaczej „pałak”, za który w trakcie pracy trzyma osoba



prowadzona przez psa. Pałaki najczęściej są wykonane z różnych rodzajów metali. Mogą one być proste lub wyprofilowane w stronę prowadzonej osoby, w zależności od producenta mogą różnić się rączką, za którą łapiemy pałak oraz mocowaniem do uprzęży. Ich długość zawsze powinna być dobierana pod kątem wzrostu Przewodnika i jego Opiekuna. Każda taka uprzęż jest dodatkowo oznakowywana – na mojej pierwszej uprzęży informacja znajdowała się na pałaku. Umieszczone na nim zostały dwie duże etykiety – na jednej był napis: „Pies Przewodnik”, a na drugiej: „Nie przeszkadzać! Pracuję”. Dzięki temu nikt nie powinien mieć problemów z identyfikacją psa pracującego oraz określeniem jego profilu.

Aby założyć uprzęż Przewodnikowi, należy ją rozpiąć. Zapięcie znajduje się na boku psa. Nasza pierwsza uprzęż posiadała klamrę przypominającą zapięcie skórzanej aktówki. Rozpiętą uprzęż przekładamy Przewodnikowi przez głowę w taki sposób, aby pałak trafił na grzbiet, a poprzeczny pas, na klatkę piersiową. Po ułożeniu uprzęży równo na psie już na sam koniec, przekładając pod Przewodnikiem luźny pasek uprzęży, wpinamy jego klamrę w zapięcie na boku psa. Przytoczony opis, podobnie jak sama czynność, są dość proste. Jednak za pierwszym razem miałem wrażenie, że próbuję na Zako założyć wijącą się ośmiornicę. Wydawało mi się, że uprzęż jakoś dodatkowo się rozpięła i że zaraz zostanie mi w ręku kilka pasków, z którymi już nic nie będę w stanie zrobić. Na szczęście Pani Monika w ogóle mnie nie poganiała, a gdy w końcu zasapany zapiąłem uprzęż na Przewodniku, zaproponowała, abym dla wprawy spróbował ją zdjąć i założyć raz jeszcze. I jak się okazało, za drugim razem cała procedura przebiegła o wiele sprawniej.

W momencie, gdy Zako posiadał już pełne umundurowanie, Pani Monika wręczyła mi krótką smycz, abym przypiął ją do obroży. Wiedziałem, że Fundacja preferuje poruszanie się z Przewodnikiem na smyczy, ale zaskoczyła mnie jej niewielka długość. Zapytana o to Trenerka wyjaśniła, że na początek muszę używać tak krótkiej smyczy, aby dobrze odbierać wszystkie sygnały przekazywane przez psa. Było to dla mnie swoiste odkrycie. Osoby, które w ten sposób poruszały się z Przewodnikiem, a z którymi wcześniej rozmawiałem na ten temat, w ogóle nie łączyły smyczy z przekazywaniem dodatkowych informacji. Co więcej, dość szybko starały się wypracować indywidualny sposób poruszania się z psem, polegający na trzymaniu w jednej i tej samej dłoni smyczy i pałaka. Tymczasem, jak się szybko przekonałem, dodatkowe dane przekazywane przez smycz ogromnie ułatwiają współpracę i komunikację z Przewodnikiem.

Gdy już obaj byliśmy gotowi, Zako stał przy nodze, ja trzymałem pałąk w lewej dłoni i smycz w prawej, z prawdziwą radością mogłem w końcu wymówić drugą, magiczną komendę: „Naprzód!”. Tego dnia nauczyliśmy się między innymi równoczesnego ruszania z miejsca i zatrzymywania się, chodzenia równo z psem, bez jego wyprzedzania oraz bez pozostawiania w tyle, trzymania się blisko Przewodnika, zatrzymywania się przed ulicą i po jej przejściu, jak też odnajdywania przejść dla pieszych, drzwi oraz schodów prowadzących w górę i w dół.

Cały czas uczyłem się wyczuwania ruchów psa, wyłapywania momentu, w którym Przewodnik sygnalizuje dostrzeżenie poszukiwanego obiektu, wskazuje na przykład boczny korytarz lub chodnik albo anonsuje zbliżanie się do celu. Dużej uwagi wymagało ode mnie wyczuwanie momentu, w którym pies nieznacznie zmieniał kierunek, aby na przykład ominąć przeszkodę lub skręcał w łagodnie odchodzącą alejkę – zwykle reagowałem wtedy z dużym opóźnieniem. Cały czas bałem się również, że chodząc blisko niego, będę mu deptał po łapach. I faktycznie, przydarzyło mi się to kilkakrotnie, za każdym razem w identycznej sytuacji, gdy nie dość szybko reagowałem na sygnalizowane przez niego zmiany kierunku; dlatego też ta obawa i ostrożność pozostały ze mną na dłużej. Początkowo miałem również problemy z interpretacją sygnałów odbieranych za pośrednictwem smyczy, a to z nich miałem się w końcu dowiadywać czy Przewodnik wskazuje mi obiekty po prawej, czy lewej stronie.

Po kilku początkowych falstartach, w trakcie których zamiast na przykład, zatrzymać się, pędem mijałem stojącego psa lub ruszałem z kopyta, a zdziwiony Przewodnik zostawał w tyle, zaczęliśmy się pomalutku ze sobą dogadywać. Oczywiście wydatnie pomagały nam w tym wypowiedzi Trenerki, cały czas korygującej i kontrolującej nasze zachowanie, między innymi regularnie poprawiającej mój sposób komunikowania się z psem. Demonstrowała, jak powinienem wymawiać komendy, w jakich momentach oraz jak często. Pokazała, jak należy skarmiać Przewodnika i kiedy należy to robić, kiedy smaczki stanowią jedynie nagrodę, a kiedy stymulują go do pracy. Okazało się, że nie tylko komendy i nagrody służą do komunikacji – czasem należało psa również skarcić. Jak tego dokonać, także dowiedziałem się od Pani Moniki, jest to bowiem istotny, aczkolwiek bardzo delikatny element współpracy z Przewodnikiem. Interwencja z mojej strony musi odbyć się dokładnie wtedy, gdy dochodzi do sytuacji wymagającej reakcji lub korekty zachowania Przewodnika. Gdyby pojawiła się ona później, pies nie wiedziałaby, czego dotyczy dana reprimenda

i nieprawidłowe zachowanie powtórzyłby w przyszłości. Jeszcze w czasach, gdy czekałem na własnego Przewodnika, obawiałem się sytuacji, w której otrzymałbym krnąbrnego psa, niereagującego na moje polecenia. Nie byłem w stanie sobie wyobrazić, jak miałbym wtedy wymusić na nim wykonanie jakiejś komendy. Niestety, sam byłem kiedyś świadkiem sceny, w której osoba niewidoma próbowała zmusić swojego Przewodnika do zrobienia czegoś, czego on nie chciał lub nie mógł wykonać. Ponieważ próbowała ona do tego użyć siły, było to bardzo nieprzyjemne doświadczenie, nie tylko dla samego psa, ale także otaczających nas ludzi. Na szczęście, Zako okazał się nie tylko bardzo chętnie pracującym Przewodnikiem, ale także niezwykle łatwo komunikującym swoje zamiary i oczekiwania psem.

W końcu zacząłem zauważać i lepiej interpretować przekazywane mi przez Zako sygnały. Gdy podchodziliśmy do poszukiwanego obiektu, na przykład przejścia dla pieszych, to już ze znacznej odległości bardzo ładnie wyłapywałem akcentowane zbliżanie się do niego, w tym charakterystyczne zwalnianie tuż przed samym celem. Przechodząc przez ulicę, pies interpretował wysokość krawężników – jeśli wejście na chodnik było niskie i nie groziło moim potknięciem, Przewodnik całym ciałem wchodził na chodnik, jeśli jednak krawężnik był wysoki, wtedy jedynie stawał na nim przednimi łapami; w ten sposób pies sygnalizował, że w tym miejscu powinienem wyżej podnieść nogę. W takiej sytuacji, zrównując się z psem, stopę stawiałem na chodniku i jednocześnie wydawałem komendę: „Chodź, chodź!”, aby wraz ze mną do końca wszedł na chodnik.

Tego dnia wyzbyłem się mojej największej obawy, związanej z korzystaniem z pomocy Przewodnika. Do tej pory, najbardziej bałem się tego, że nie będę w stanie zaufać prowadzącemu mnie psu – bo przecież zupełnie czym innym jest możliwość osobistego sprawdzenia i przekonania się, co znajduje się przede mną, nawet jeśli to sprawdzanie odbywa się za pomocą białej laski. Mogę nią sprawdzić, gdzie kończy się peron, zaczyna krawężnik albo stoi żelazny słupek znaku drogowego. A jak tu zaufać zwierzęciu? Co zrobię, gdy nagle pobiegnie za kotem? Co w sytuacji, gdy zagapi się na mijający go samochód? Każda osoba niewidoma ma takie doświadczenia, bycia prowadzonym przez widzącą osobę, która przez roztargnienie czy z innych powodów przestała zwracać na nas uwagę. To wtedy jesteśmy wprowadzani na słupki, płotki, spadamy ze schodów, rozbijamy czoła, nosy, okulary o wystające tablice, gałęzie czy też otwarte na oścież okna. Więc jak tu zaufać Przewodnikowi na czterech łapach? I dziś już wiem, że jeśli ktoś, tak jak ja, ma wątpliwości, to przekona się dopiero wtedy, gdy sam kilka godzin pochodzi

z psem. Moich obaw nie rozwiały żadne argumenty ani opowieści Opiekunów Przewodników – dopiero tego letniego dnia w pełni zrozumiałem wszystkie peany wygłaszane przez osoby niewidome poruszające się z psami. Chodząc z Zako ani przez chwilę nie miałem wrażenia, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo. I tak jak na początku naszej pracy w całym ciele czułem napięcie oraz obawę, że zaraz na coś wpadnę, tak po mniej więcej godzinie do mnie dotarło, że nawet nie wiem kiedy, w pełni zaufałem Przewodnikowi. Bez wahania szedłem drogą, którą mi wskazywał i natychmiast stawałem w miejscu, gdy sygnalizował, że mam się zatrzymać. Przewodnik bezbłędnie zaznaczał początki schodów, ostrzegał przed wyższymi krawężnikami i odciągał od przeszkód na drodze – tak więc jeśli na spotkanie jechałem jeszcze z jakimiś tłącymi się wątpliwościami, to czekoladowy psiak skutecznie je wszystkie rozwiązał.

W sumie, w trakcie całego, trwającego około czterech i pół godziny naszego pierwszego spotkania, pracowaliśmy z Zako w trzech cyklach: raz około jednej godziny i dwukrotnie po około 45 minut. Pozostały czas to przerwy dla Przewodnika, niezbędne do odpoczynku i zregenerowania sił. Między pierwszym a drugim przejściem, psiak zdrzemnął się przez około pół godziny. W tym czasie omawialiśmy z Panią Moniką dotychczasowe wrażenia i problemy. Na spokojnie mogłem zadawać pytania, nie martwiąc się o jednoczesne kontrolowanie Przewodnika, otoczenia, komendy, skarmianie itd. Takie omawianie, „na świeżo”, dopiero co zauważonych problemów pomogło mi skutecznie rozwiązać wiele wątpliwości. Po drugim przejściu pojechaliśmy na obiad, a Zako w tym czasie mógł sobie dłużej odpocząć, to znaczy – jeszcze więcej i dłużej pospać. Przy tej okazji od razu nauczyłem się, jak wsiadać i wysiadać z psem do i z samochodu. Po obiedzie wstępnie umówiłem się z Panią Moniką na nasze kolejne spotkanie. Planowałem zabrać wtedy ze sobą Alicję, która tak jak ja wcześniej, już nie mogła się doczekać spotkania z Zako.

Pomimo odpoczynku, już w trakcie drugiego przejścia zauważyłem, że Przewodnik jest odrobinę zmęczony – tempo marszu spadło i wolniej reagował na wydawane komendy. Mimo dłuższego odpoczynku w trakcie drugiej przerwy oraz relaksu podczas spaceru fizjologicznego, przy trzecim przejściu już bardzo wyraźnie było widać, że jest zmęczony. Na szczęście cały czas mieliśmy idealne warunki do pracy – tego dnia temperatura oscylowała około 20°C i nie świeciło słońce. Dzięki temu pies się nie przegrzewał, a trotuary nie parzyły go w łapy. Jak się wtedy dowiedziałem, niektóre chodniki w słoneczne dni mogą rozgrzewać się nawet do temperatury 70°C.

W trakcie chodzenia z Przewodnikiem oczywiście mogłem zadawać pytania Pani Monice. Nie zawsze było to możliwe albo wygodne, ale zawsze mogłem liczyć na jej odpowiedź. Miałem też świadomość, że w tym samym czasie byłem gruntownie oceniany przez Trenerkę czy ja sam w ogóle nadaję się na Opiekuna Zako i czy akurat ten konkretny pies do mnie pasuje. Pani Monika nieustannie też zwracała uwagę na to, co należy poprawić lub zmodyfikować w kontekście naszego duetu. Przykładowo, ponieważ jestem znacznie szerszy w ramionach od Trenerki, stwierdziła, że będzie musiała nauczyć Zako, aby prowadził mnie nieco dalej od przeszkód znajdujących się po jego prawej stronie, niż był przyzwyczajony dotychczas.

W trakcie pierwszego spotkania poznałem takie komendy jak:

- „Równaj!” – aby pies ustawił się po lewej stronie;
- „Siad!” – aby usiadł;
- „Waruj!” – aby się położył;
- „Naprzód!” – wydawana na rozpoczęcie pracy lub aby pies utrzymywał kierunek;
- „Stój!” – aby się zatrzymał;
- „Powoli!” – aby zwolnił;
- „Szybciej, szybciej!” – aby przyśpieszył;
- „Lewa!” – aby skręcił w lewo;
- „Prawo, prawo!” – aby skręcił w prawo;
- „Chodnik!” – aby wskazał chodnik lub wejście na chodnik po drugiej stronie ulicy;
- „Chodź, chodź!” – aby do końca wszedł na chodnik;
- „Cofaj!” – aby się cofnął, na przykład od drzwi;
- „W tył zwrot!” – aby zawrócił w miejscu;
- „Omiń!” – aby ominął (na przykład wolniej idącą osobę);
- „Przejdź!” – aby odnalazł przejście dla pieszych;
- „Drzwi!” – aby wskazał drzwi;
- „Schody góra!” – aby wskazał ciąg schodów w górę;
- „Schody dół!” – aby wskazał ciąg schodów w dół;
- „Hopla!” – aby wskoczył do wskazanego miejsca, samochodu, pociągu itp.

Co ciekawe, poszczególne komendy, podobnie jak ma to miejsce w językach programowania, można łączyć ze sobą, tworząc w ten sposób funkcjonalne sekwencje. Przykładowo, wypowiadając do Przewodnika: „Prawo, prawo, przejście!”, mówimy mu, że chcemy, aby odnalazł przejście dla pieszych znajdujące się po prawej stronie. Z kolei, mówiąc na przykład: „Lewa, drzwi!”, prosimy go, aby odnalazł drzwi zlokalizowane po lewej stronie.

Jednak nawet w sytuacji, gdy idziemy z psem prostą drogą, powinniśmy od czasu do czasu odzywać się do niego w taki sposób, aby wiedział, że dobrze wykonuje swoją pracę. Na przykład: „Dobry pies!”, „Super!”, „Bardzo dobrze!” itp. Identyczne rzeczy mówimy, jak tylko Przewodnik prawidłowo wykona powierzone mu zadanie w rodzaju odnalezienia drzwi, przejścia dla pieszych itd. Co więcej, werbalne komunikaty każdorazowo wzmacniane są nagrodą w formie drobnego przysmaku. I właśnie z tym ostatnim elementem początkowo miałem spory problem. Tego dnia zdziwiło mnie, że Pani Monika poprosiła, abym woreczek z przysmakami umieścił na swoim lewym boku. Było to niezwykle niewygodne, gdy, na przykład, podchodząc do przejścia dla pieszych, musiałem najpierw wypuścić pałąk z lewej dłoni, sięgnąć do saszetki, skarmić Przewodnika, potem odszukać pałąk i ponownie złapać za jego rączkę. Początkowo nic nie mówiłem, ale ta sekwencja ruchów była na tyle irytująca, że w końcu zapytałem, dlaczego mam postępować w ten sposób. I oczywiście odpowiedź okazała się trywialna – takie umieszczenie woreczka sprawiało, że każdorazowo, po prostu, chcąc nie chcąc, musiałem się zatrzymać, aby skarmić psa. Nie mogłem tego zrobić szybko, niedbale, w tak zwanym biegu. W ten sposób i ja i Przewodnik mieliśmy się nauczyć, gdzie oraz kiedy powinniśmy się zatrzymywać. W tym kontekście zdziwiła mnie jeszcze ilość pochłanianych przez Zako przysmaków – w pewnym momencie zacząłem się nawet zastanawiać, gdzie one mu się wszystkie mieszczą. Zapytana o to Trenerka stwierdziła, że na tym etapie szkolenia i zgrywania się z psem duża ilość przysmaków jest niezbędna. Dodała także, nieco mnie uspokajając, że na późniejszym etapie naszej współpracy częstotliwość skarmiania znacznie spadnie. Podkreśliła jednak wyraźnie, że Przewodnik, aby dobrze pracował, zawsze będzie musiał otrzymywać przysmaki. Ich jedną część zastąpią pochwały słowne, inną pieśczoć w rodzaju pogłaskania po głowie czy poklepania po karku, ale smaczki będą towarzyszyć nam już zawsze.

Poszczególne komendy oraz sposób ich wymawiania są bardzo dobrze przemyślane. Przykładowo, aby psu nie myliły się w gruncie rzeczy podobnie brzmiące kierunki, zamiast poleceń: „Lewo!” i „Prawo!”, używa się komend „Lewa!”

oraz „Prawo, prawo!”. Co więcej, pierwszą z nich wypowiada się przeciągle, co brzmi trochę jak: „Leeeewa!”, a drugą szybko i dynamicznie. Podobnie jest, gdy wypowiadam komendy: „Schody góra!” oraz „Schody dół!” – mimo że w tym wypadku kierunki brzmią inaczej, to warto zaakcentować tę pierwszą komendę, poprzez jej dłuższe wymawianie, co brzmi jak „górrrra”. Dzięki temu, w hałasie, na przykład w pobliżu ruchliwej ulicy, Przewodnik nie będzie miał wątpliwości gdzie nas prowadzić, a my obaw, że chcąc iść w górę, spadniemy ze schodów.

Pani Monika podpowiedziała mi również, jak oprócz komend głosowych mogę korzystać z samych gestów do kierowania psem. W tym celu powinienem zacząć jednocześnie wymawiać komendy i wykonywać gesty dłońmi, tak, aby Przewodnik jednoznacznie interpretował, kiedy i na jaki gest powinien zareagować.

Po pewnym czasie powinienem zacząć poszczególne komendy wydawać tylko za pomocą gestów dłoni, na przykład, co kilkanaście komend kierunkowych wplatać jedną jedynie w formie gestu. Taka komunikacja z Przewodnikiem jest niezwykle przydatna, szczególnie w sytuacjach, gdy nie można lub nie chcemy użyć głosu do wydawania komend. Dotyczy to zarówno cichych miejsc, takich jak na przykład kościoł, ale także miejsc bardzo głośnych, na przykład w pobliżu prowadzonych robót drogowych. Od razu przyswoiłem sobie kilka gestów, m.in. na wskazanie kierunków, „Równaj!”, „Siad!”, „Waruj!” czy „Hopla!”.

W ten sam sposób możemy wykorzystywać trzymaną w prawej dłoni smycz. Odpowiedni jej ruch sygnalizuje nakaz skrętu we wskazywanym kierunku, ruszenie z miejsca i marsz do przodu, zatrzymanie się lub zaprzestanie wykonywania aktualnego manewru. I przyznam szczerze, że te ostatnie gesty natychmiast weszły mi w ręce – na początku nie bardzo rozumiałem, jak to się stało, jednak dość szybko przypomniałem sobie, jak będąc jeszcze bardzo małym chłopcem, w trakcie wakacji spędzanych na Podlasiu, wujek uczył mnie powożenia wozem konnym. Komendy oczywiście były inne, ale używanie smyczy przy chodzeniu z psem do złudzenia przypominało korzystanie z lejcy przy powodowaniu koniem.

Wracając na dworzec, miałem jeszcze okazję pochodzić z Zako po peronach i poćwiczyć odnajdowanie drzwi pociągu. Zaskoczył mnie umiejętnością odnajdywania i wskazywania nie tylko otwartych, ale także zamkniętych drzwi. Konduktorka, obserwująca z zaciekawieniem nasz trening pytała, czy piesek jedzie z nami – niestety z żalem musiałem odpowiedzieć, że tym razem jeszcze nie. Gdy oczekiwaliśmy na mój pociąg, Pani Monika zauważyła, że odbyty tego dnia trening chodzenia kosztował mnie mnóstwo energii. Mówiła, że to normalne

i że zawsze tak jest za pierwszym razem. Pokiwałem głową, a w duchu stwierdziłem, że chyba trochę przesadza, w końcu aż tyle nie chodziliśmy. Jednak, gdy tylko usiadłem w pociągu, zdążyłem tylko zamówić taksówkę na katowicki dworzec, zadzwonić do Alicji, że już wracam i nagle, prawie bez ostrzeżenia, zasnąłem na ponad dwie i pół godziny. Gdyby nie remont Centralnej Magistrali Kolejowej, to przejechałbym docelową stację – tak więc nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wtedy też, dopiero po obudzeniu, gdy sam zrozumiałem, jak bardzo byłem zmęczony, dotarło do mnie, ile wysiłku i energii kosztować musi Przewodnika takie prowadzenie osoby niewidomej, szczególnie w sytuacji, gdy jeszcze dany duet się nie zna i nie wie, czego może się po sobie nawzajem spodziewać.

Na dworcu w Katowicach czekał na mnie kierowca z zaprzyjaźnionej korporacji. Ku mojemu zdumieniu, gdy tylko dowiedział się, w jakim celu podróżowałem do stolicy, ogromnie się zaciekawiał i stwierdził, że już nie może się doczekać sytuacji, gdy będzie mógł mnie wieść z psem. Zazwyczaj, gdy zamawiam transport, to kierowcy wyświetla się informacja, że podróżować z nim będzie osoba niewidoma i że mogę potrzebować pomocy w rodzaju przywołania do samochodu. Kierowca zapewnił mnie, że gdy tylko zacznę podróżować z Przewodnikiem, to przy moim numerze telefonu automatycznie pojawiać się będzie informacja, że wraz ze mną jedzie pies, a zlecenie to również automatycznie trafiać będzie tylko do tych kierowców, którzy w korporacji wyrazili zgodę na przewóz zwierząt. Jak dla mnie jest to bardzo wygodne dla obu stron rozwiązanie. Przy okazji dowiedziałem się również, że moja korporacja dolicza 3 zł do każdego kursu, w trakcie którego przewożony jest psiak – jak się okazało, jest to po prostu koszt użycia odkurzacza na myjni samochodowej, z którego będzie musiał skorzystać kierowca. Głośno stwierdziłem, że na szczęście nie są to wygórowane stawki, ale w myślach dorzuciłem kolejną kwotę do puli, wcześniej w ogóle nieprzewidywanych, wydatków, doszedłem też do wniosku, że ta pula zaczyna niepokojąco szybko rosnąć. Umęczony całym dniem, treningiem i podróżą uznałem, że na te zmartwienia jeszcze przyjdzie czas i z niecierpliwością czekałem na powrót do domu oraz możliwość opowiedzenia Alicji o każdym szczególe powoli kończącego się dnia.



# Spotkanie drugie

Od razu, po powrocie z pierwszego spotkania, kupiłem bilety kolejowe i zarezerwowałem nocleg na kolejne. Tym razem miało ono trwać dwa dni. Po krótkim rozeznaniu mój wybór padł na hotel Atos – po pierwsze dlatego, że już go znałem i wiedziałem, że przyjmuje gości z psami (to tam, między innymi, odbywało się spotkanie informacyjno-kwalifikacyjne dla przyszłych Opiekunów Przewodników). Po drugie, dookoła niego znajduje się odrobina terenów zielonych, gdzie można wyprowadzić psa na spacer fizjologiczny, a obsługa nie ma nic przeciwko pobytom ze zwierzętami, jedynie do ceny noclegu doliczając niewielką opłatę, mającą pokryć koszty dokładniejszego sprzątnięcia pokoju.

Tym razem, do Warszawy miała pojechać ze mną Alicja. Czas mijał nieubłaganie, a moje powtarzane w kółko opowieści o treningu z Zako wywarły na niej odpowiednie wrażenie. Jej najczęściej zadawanym pytaniem było: „Ale jaki on jest?“, a moją stałą odpowiedzią: „On po prostu jest przemiły!“. I w ten oto sposób udało mi się zaostrzyć jej – i tak dość duży – apetyt na poznanie czekoladowego Przewodnika. Jak to jednak w życiu bywa, jeśli tylko na coś czekamy i nie możemy się tego doczekać, to na pewno przydarzy się coś, co sprawi, że nasze oczekiwanie zostanie dodatkowo wydłużone. I tak też się stało w naszej sytuacji – z uwagi na remont tej nieszczęsnej Centralnej Magistrali Kolejowej nie mogliśmy pojechać do Warszawy już w piątek, gdyż po pracy nie zdążylibyśmy na pociąg o godz. 16:00, a kolejnym (po 18:00) dotarlibyśmy do stolicy dopiero po godzinie 22:00. Dlatego też ostatecznie nasze spotkanie musieliśmy skrócić o jeden dzień i do Warszawy wybrać się dopiero w sobotę rano.

Tak więc zgodnie z nowym planem, dwa tygodnie po pierwszym spotkaniu, na katowickim dworcu kolejowym ponownie wsiedliśmy do Pendolino i wyruszyliśmy do Warszawy, na drugie, tym razem wspólne, spotkanie z Przewodnikiem. Całą drogą zastanawiałem się, jakie będzie pierwsze wrażenie Alicji, gdy zobaczy Zako – i jak się szybko okazało, wcale nie musiałem długo czekać na odpowiedź, a to dzięki temu, że Pani Monika ponownie przyszła po nas na peron. Wtedy też, pomimo mojego zaangażowania w entuzjastyczne witanie się z psiakiem, bez trudu zauważyłem, że Alicja nie wygląda na szczególnie zachwyconą. Co więcej, wydawała się mocno zmieszana i zaskoczona wyglądem Przewodnika. Jednak, w tamtej chwili, nie miałem możliwości dopytania jej o powody tej reakcji. Po powitaniach i wzajemnych prezentacjach przeszliśmy do hali dworca, gdzie czasowo porzuciłem Alicję w ogródku kawiarnianym i poszedłem na mój pierwszy tego dnia trening z psem.

Jadąc do Warszawy, bałem się, że podczas naszego spotkania panować będą bardzo wysokie temperatury. Na szczęście, tego dnia termometry w stolicy pokazywały jedynie 26°C, co było wynikiem i tak o 10 „kresek” niższym, niż jeszcze kilka dni wcześniej.

Tego dnia trening zacząłem od przechodzenia przez niezliczoną liczbę przejść dla pieszych. Opanowanie zatrzymywania się na sygnał psa jest podstawową umiejętnością, jaką musi nabyć osoba niewidoma, zanim przejdzie do treningu odnajdywania i bezpiecznego pokonywania schodów. I szczerze muszę przyznać, że nie było to najbardziej ekscytujące zajęcie, gdy w upale, chodząc dookoła pętli autobusowej, nabierałem automatycznego odruchu natychmiastowego zatrzymywania się w miejscu na najmniejszy sygnał Przewodnika. Aby utrzymać motywację, cały czas wyobrażałem sobie siebie w sytuacji, gdy – po podejściu do stromych schodów w dół – nie zatrzymam się na sygnał psa. Wizja mojego bezwładnego lotu koszącego, bynajmniej nie zakończony efektownym lądowaniem telemarkiem, była na tyle plastyczna i realna, że na szczęście motywacji wystarczyło mi na całe to ćwiczenie.

Pani Monika zauważyła, że dość szybko zacząłem prawidłowo interpretować sygnały przekazywane przez Zako, więc zaproponowała, abyśmy przeszli do kolejnych ćwiczeń i wykorzystali do tego zaparkowane na pętli autobusy. Celem tych ćwiczeń było oczywiście opanowanie wsiadania do pojazdów komunikacji miejskiej oraz odnajdywania w ich wnętrzu wolnych miejsc.

Jak się okazało, podchodząc do pojazdu, w naszym wypadku autobusu, powinienem Przewodnikowi zacząć wydawać komendę: „Naprzód, drzwi!”. W ten sposób pies wskaże mi wejście do pojazdu. Oprócz odnalezienia drzwi, Przewodnik przednimi łapami staje na podłodze autobusu lub pierwszym stopniu schodów, a kiedy tak zaznaczy wejście, ja podaję mu przysmak i stawiam stopę na zaznaczonej w ten sposób podłodze pojazdu lub pierwszym stopniu schodów. W następnym kroku powinienem wydać komendę: „Naprzód ławka!”, a pies po wejściu do pojazdu powinien wskazać pierwsze wolne miejsce. Z kolei, chcąc opuścić pojazd, powinienem wydać komendę: „Wyjście, drzwi!”, co więcej, jak wyjaśniła mi Trenerka, „Wyjście!” jest uniwersalną komendą używaną w celu opuszczenia jakiegoś obiektu, pokoju, budynku czy środka transportu. Gdy Przewodnik ją usłyszy, powinien po prostu skierować się do wyjścia i opuścić dane miejsce.

Początkowo największe trudności sprawiało mi zsynchronizowanie nagradzania psa i odnajdywania stopą krawędzi podłogi autobusu. Jednak dość szybko nauczyłem się, że najpierw powinienem dłonią trzymającą smycz odnajdywać prawą krawędź otwartych drzwi, potem stawiać stopę w pojeździe i dopiero na sam koniec myśleć o skarmianiu Przewodnika. Jest to o tyle istotne, że w grupie wysiadających i wsiadających osób, nie możemy sobie pozwolić na tarasowanie przejścia. Na tym etapie, gdy do dyspozycji miałem pusty, zaparkowany autobus, wszystko działało jak w zegarku: Zako na komendę odnajdywał wejście, wskazywał podłogę, a następnie bez trudu lokalizował niezajęte siedzisko. Widząc, z jaką łatwością pies wykonuje wszystkie komendy, miałem jedynie nadzieję, że w przyszłości, w tłumie ludzi śpieszących się do pracy, pójdzie nam równie łatwo.

Tymczasem, po kilkukrotnym pokonaniu tej samej trasy, obejściu pętli autobusowej, przejściu pod dworcem kolejowym i z powrotem, ruszyliśmy na prawdziwy trening do miasta. I tak naprawdę dopiero wtedy, po raz pierwszy, mogłem w pełni docenić sposób poruszania się z Przewodnikiem. To właśnie na dłuższych trasach pies okazuje się nieocenioną pomocą w przemieszczaniu się dla osoby niewidomej. Proste odcinki pokonuje się nieporównanie szybciej i bezstresowo. Przewodnik płynnie omija napotykaną ludzi, przedmioty stojące lub leżące na chodniku, zaparkowane samochody czy obiekty małej architektury. Ponieważ nie znałem wtedy mijanej trasy, Pani Monika podpowiadała mi, w którą stronę powinienem iść dalej. Jak się szybko przekonałem, Zako od razu próbował reagować na te podpowiedzi. Przykładowo, gdy podpowiedź brzmiała: „Za

20 metrów w prawo”, pies, rozpoznając ostatnie słowo, próbował natychmiast skręcać w prawo, w akurat mijany chodnik. Musiałem wtedy natychmiast go zatrzymać, wyrównać do lewej nogi i ponownie wydawać własne komendy, aby powoli zaczął się przyzwyczajać, nie tylko do mojego głosu, ale także do zmiany osoby u steru.

Przyznać muszę, że również kwestia samego głosu początkowo mocno mnie stresowała. Trenerka, wydając komendy, wyraźnie je intonowała, momentami przypominało mi to nawet lapoński zaśpiew. Przewodnik zdecydowanie lepiej reagował na taki sposób komunikacji. Nie wiem, czy to kwestia wysokości głosu, melodii komunikatu czy zwykłego przyzwyczajenia psa, ale Zako znacznie lepiej interpretował polecenia wydawane w takiej formie. Niektóre komendy również próbowałem intonować, lecz przy moim dość niskim głosie wcale nie było to takie proste. Przyznam też, że do dziś jestem wdzięczny Pani Monice, nie tylko za to, że nie pokładała się ze śmiechu przy moich nieśmiałych próbach, ale że ani razu nawet nie zasugerowała, żebym tak jak ona śpiewał do Przewodnika.

Również tego dnia po raz pierwszy spotkałem się z poidłkami dla psów, wystawianymi przed różnymi obiektami typu sklepy czy restauracje. Nigdy wcześniej, nie musząc chodzić z psem po mieście, nie potrzebowałem podobnego rozwiązania ani się za takim nie rozglądałem. Tymczasem, tak upalnego dnia, poidłka okazały się wyjątkowo przydatne. Gdy Zako po raz pierwszy zboczył z trasy, aby ugasić pragnienie, mocno się zdziwiłem. Początkowo w ogóle nie wiedziałem, co się dzieje i co mam robić. Idziemy prosto, a tu nagle Przewodnik skręca w bok, zatrzymuje się i zaczyna chłeptać. Widząc moją konsternację, Trenerka wyjaśniła mi za pierwszym razem, co się stało. Dzięki temu, gdy sytuacja się powtórzyła, nie szarpałem już smyczą w przerażeniu, myśląc, że mój pies właśnie znieacka opróżnia na chwilę odstawiony kufel, szklanekę czy talerz z chłodnikiem.

Po intensywnych dwóch godzinach pracy zakończyliśmy pierwszy tego dnia trening i wróciliśmy do czekającej na dworcu Alicji. Chwilowo pożegnaliśmy Panią Monikę i Zako, uprzednio umówiwszy się z nimi na popołudnie, a potem udaliśmy się na obiad i spotkanie ze znajomymi. Ostatecznie, trzy godziny później, dotarliśmy do zarezerwowanego wcześniej hotelu. Był to czas, w którym Przewodnik miał szansę odpocząć i zregenerować nadwątlone siły. Po zameldowaniu się w recepcji i ulokowaniu w pokoju zgłosiłem Pani Monice swoją gotowość, a ona dosłownie w przeciągu kwadransa przyjechała do nas

wraz Zako i jego wyprawką. Przyniosła psie poślanie, zabawki, karmę oraz automatyczną smycz Flexi, a żeby rozgonić ewentualne psie smutki, w ramach przysmaku dostarczyła również aromatyczne świńskie ucho. Po obejrzeniu wszystkich akcesoriów ruszyłem z Trenerką i Przewodnikiem na kolejny trening, tym razem po Warszawskiej Sadybie.

Oprócz pokonywania główniejszych ulic i osiedlowych uliczek tym razem ćwiczyłem odnajdywanie i pokonywanie schodów w różnych ich konfiguracjach, co okazało się nie być tak łatwe, jak mi się wcześniej wydawało. I tu znowu objawił się mój brak zaufania – początkowo bałem się zbliżyć z psem do krawędzi schodów. Ogromnie obawiałem się tego, że wystarczy mój jeden niewłaściwy krok, abym dosłownie sturlał się w dół. Oczywiście, całą sytuację próbowałem sobie logicznie wytłumaczyć – co do zasady wiedziałem, że Przewodnik został tak wyszkolony, żeby zatrzymywał się przed schodami. Jednak to, co siedziało mi w głowie, nie było logiczne – oczami duszy widziałem siebie, stojącego na krawędzi i tylko krok dzielił mnie od upadku. Zauważywszy, jak w trakcie podchodzenia do schodów cały się spinam, Pani Monika oswoiła mnie z problemem, zaczynając od dwóch czy trzech stopni znajdujących się na alejce parkowej. Gdy, po paru podejściach, zacząłem za każdym razem prawidłowo wyczuwać, kiedy Przewodnik zwalnia, aby się zatrzymać, dalej poszło już – nomen omen – z górki. Jak tylko Trenerka zauważyła zmianę w moim zachowaniu, przekierowała mnie na przerzuconą nad ulicą estakadę, gdzie już na pełnowymiarowych schodach mogłem ćwiczyć wchodzenie oraz schodzenie wraz z zakręcaniem w lewo i prawo. I oczywiście nadal się bałem, lecz nie tego, że to pies coś zawali, lecz że ja się rozproszę i źle odczytam przekazywane przez niego sygnały. W ten sposób zaczęliśmy z Zako ugruntowywać nasze wzajemne zaufanie.

Wieczorem temperatura była już znacznie przyjemniejsza. Popołudniowy upał zastąpił rześki chłód. W efekcie nawet nie zauważyłem, kiedy minęły kolejne dwie godziny. Kończąc trening, pieszo wróciliśmy do hotelu. Pani Monika pożegnała się ze mną, umówiła na poranny trening i oddała Zako pod moją opiekę. A żeby psiak nie tęsknił za dotychczasowym Opiekunem, jego uwagę od razu przekierowałem na świńskie ucho, którym delectował się przez dłuższy czas. Z kolei my, nie chcąc zostawiać go samego w pokoju, zamówiliśmy pizzę do hotelu. Nieco później, po zasłużonym odpoczynku i kolacji, po raz pierwszy mogliśmy zabrać Zako na nasz wieczorny, wspólny spacer. Po wcześniejszym treningu psiak ewidentnie był zmęczony, więc załatwił swoje potrzeby i czym prędzej wróciliśmy do hotelu.

To była też dopiero ta pora, gdy mogliśmy z Alicją usiąść i na spokojnie porozmawiać o całym minionym dniu, w szczególności o naszych wrażeniach. Dla Alicji tak naprawdę była to też pierwsza możliwość dokładnego obejrzenia Zako i ocenienia jego zachowania. Po jej wcześniejszej reakcji, którą zauważyłem jeszcze na peronie, trochę się obawiałem tej opinii. Tymczasem, Alicja potwierdziła moje pierwsze spostrzeżenie, że piesek jest przemiły. Trochę skonfundowany zapytałem ją w końcu o tę reakcję na dworcu. Okazało się, że Alicja, przyzwyczajona do gabarytów i puchatego wyglądu naszego poprzedniego psa, po prostu była zaskoczona, że Przewodnik może być tak chudy i posiadać tak niewiele futra. Tym razem Zako miał na sobie znacznie mniej sierści i linał o wiele słabiej niż w trakcie poprzedniego spotkania. Dzięki temu o wiele łatwiej, dłonią przesuwaną po grzbiecie, można było wyczuć fale na jego futrze – wcześniej przypominał nieco szczotkę ze sterzącymi we wszystkie strony włosami, a do tego tak linał, że na udach miał łyse placki. Gdy wróciłem do domu z poprzedniego spotkania, Alicja, wkładając moje rzeczy do pralki, jeszcze nie widząc Przewodnika, już mogła ocenić kolor jego okrywy.

Byliśmy ciekawi, jak Zako będzie zachowywał się w trakcie nocy. W końcu był to nocleg poza jego stałym miejscem zamieszkania, z nieznanymi ludźmi, po których nie wiadomo, czego można się było spodziewać. Zastanawialiśmy się, czy będzie próbował wchodzić do łóżka, chrapać, popiskiwać czy w jakiś inny sposób budzić nas w nocy. Gdy kładliśmy się spać, zwinął się w kłębek obok łóżka i zapadł w kamienny sen. Odkąd sam zamknąłem oczy, do samego obudzenia się rano, w ogóle nie dawał o sobie znać. Objawił się nam dopiero w chwili, gdy któreś z nas nad ranem poszło do toalety, a wtedy i on pofatygował się do łazienki napić się wody. W ten sposób dowiedziałem się, że nikt nam w nocy psiaka nie ukradł.

Z samego rana wybraliśmy się na kolejny, wspólny spacer fizjologiczny. Zako był wyspany, wypoczęty, pełen nowej, niespożytej energii – i jak się bardzo szybko okazało, niestety nie potrafił chodzić na smyczy. Gwałtownie przebiegał z jednego trawnika na drugi, błyskawicznie rozciągając nadchodzącym ludziom automatyczną smycz pod nogami, chwilę później, dosłownie startując z miejsca, w trzech susach rozwijał smycz na całą jej długość, zmuszając nas albo do wspólnego skakania, albo – po odpowiednim zaparciu się nogami – do gwałtownego zatrzymywania tego rozpędu i przyduszania psa obrożą. Było to dla mnie wręcz zdumiewające zachowanie. Zaskoczony byłem przede wszystkim dlatego, że na zwykłej, krótkiej smyczy Zako chodził i zachowywał się

całkiem zwyczajnie. Zanotowałem sobie w pamięci, aby poprosić Panią Monikę, żeby przed naszym następnym spotkaniem popracowała z nim nad prawidłowym chodzeniem na automatycznej smyczy.

Po powrocie z tego jakże emocjonującego, spaceru postanowiliśmy z Alicją udać się na śniadanie do hotelowej restauracji. Stwierdziłem również, że przy tej okazji warto sprawdzić, jak psiak będzie się zachowywał w nowej sytuacji, gdy zostanie sam w pokoju. Wychodząc, zamknęliśmy za sobą drzwi. Odeszliśmy kawałek w stronę wind i w ciszy nasłuchiwalismy czy nie zacznie hałasować. Jednak Zako był cichutko. Tak samo było, gdy po nieco ponad pół godziny wróciliśmy ze śniadania.

Tego poranka ponownie trenowaliśmy na Sadybie. Nie znałem wcześniej tej części Warszawy, miałem okazję jedynie poczytać o jej charakterystycznej architekturze, odbiegającej od innych dzielnic stolicy. I rzeczywiście jest tam dość spokojnie i zielono, są idealne warunki do powtarzania poznanych dzień wcześniej komend oraz ćwiczeń z psem. Widząc, że radzimy już sobie całkiem nieźle, Trenerka w pewnym momencie zaproponowała, abyśmy spróbowali przejść przez mijane właśnie centrum handlowe. Początkowo się zgodziłem, a zaraz potem przeraziłem: okazało się bowiem, że aby wejść do galerii, musimy przejść przez obrotowe drzwi.

Pani Monika poinstruowała mnie, że w podobnej sytuacji należy po prostu wydać taką samą komendę, jak przy próbie sforsowania zwykłych drzwi, to jest: „Naprzód, drzwi!”. Z duszą na ramieniu wydałem komendę i ruszyłem prowadzony przez czworonożnego Przewodnika. Ku mojemu zdumieniu, Zako bez trudu, a nawet najmniejszego zawahania i zwolnienia tempa, wraz ze mną pokonał obracające się drzwi. Trenerka oczywiście od razu zarządziła powtórkę i poprosiła, abyśmy wyszli na zewnątrz. Tym razem, gdy wychodziliśmy z galerii, byłem tak skupiony na wydawaniu komend i zachowaniu psa, że nawet nie zauważyłem, kiedy opuściłem budynek. Zdumiony, dopiero po chwili zorientowałem się, że już jestem przed galerią. Panią Monikę ewidentnie rozbawiło zdziwienie na mojej twarzy. Ta umiejętność Zako była dla mnie tak niesamowita, że jeszcze kilkakrotnie pokonałem obrotowe drzwi.

W trakcie dalszego treningu Pani Monika starała się „skalibrować” Przewodnika pod kątem omijania wysoko zawieszonych przeszkód, takich jak znaki drogowe, parasole ogródków kawiarnianych, gałęzie mijanych drzew itd. Sama, będąc niższego wzrostu niż ja, wcześniej przyzwyczała psa do reagowania na zagrożenia zlokalizowane

niedużej. Teraz po prostu podnosiliśmy poprzeczkę, na którą powinien reagować Przewodnik. I tak powtarzając i utrwalając dotychczas poznane komendy, przemierzaliśmy Sadybę, wyszukując co niżej zawieszony gałęzie.

Po treningu, trwającym około dwóch godzin, wróciliśmy do hotelu, gdzie rozstaliśmy się z Trenerką i wreszcie obaj mogliśmy odpocząć. Po południu wspólnie z Alicją zabraliśmy Zako na dłuższy spacer fizjologiczny, a później już razem z Panią Moniką pojechaliśmy na Dworzec Wschodni. To oczywiście była kolejna okazja na następny trening – ponownie ćwiczyliśmy wchodzenie do autobusu, odnajdywanie i zajmowanie wolnego miejsca oraz opuszczanie pojazdu. Pokonaliśmy kilkanaście najróżniejszych skrzyżowań oraz przejść dla pieszych i – już na sam koniec – wielokrotnie schody na dworcu. Okazało się także – ku zdziwieniu Trenerki – że z pokonywaniem tych ostatnich nie mam już żadnych problemów. Ja sam jednak nie czułem się jeszcze całkiem pewnie. Już się nie bałem podchodzenia do samych schodów, nie usztywniałem się odruchowo, jednak nadal towarzyszyła mi obawa, że – szczególnie w tłumie czy hałasie – czegoś nie zauważę, umknie mi jakiś sygnał przekazywany przez Przewodnika, co skończy się nieprzyjemnym upadkiem.

Po treningu wspólnie przysiedliśmy w kawiarnianym ogródku, aby porozmawiać o naszych dotychczasowych postępach. Pani Monika mogła odpowiedzieć na cały kolejny zestaw moich pytań i prośb, na przykład o przyzwyczajenie psa do chodzenia na automatycznej smyczy. Mieliśmy też okazję umówić się na kolejne spotkanie weekendowe, mające się odbyć za następne dwa tygodnie. W końcu jednak musieliśmy się pożegnać – na koniec oboje z Alicją wyściskaliśmy i wygłaskaliśmy już mocno zmęczonego Zako. Czekając na nasz pociąg, zdążyliśmy jeszcze zjeść w McDonald's bardzo późny i bardzo niezdrowy obiad, a gdy wreszcie wsiedliśmy do pociągu, uzmysłowiłem sobie, jaki sam jestem zmęczony. Ponowne dwa treningi z Przewodnikiem sprawiły, że musiałem przeprosić Alicję i po prostu zdrzemnąć się odrobinę.

Tym razem do grona wcześniejszych komend dołączyły:

- „Wyjście!” – aby pies odnalazł drzwi prowadzące na zewnątrz budynku, pojazdu itp.;
- „Ławka!” – aby odnalazł wolną ławkę przy chodniku czy w parku, ale także wolne miejsce w pojeździe czy pomieszczeniu;
- „Kasa!” – aby wskazał kasę, punkt obsługi, recepcję itp.;



- „Winda!” – aby wskazał drzwi windy;
- „Góra!” – aby odnalazł drogę prowadzącą w górę, nie tylko schody, ale również rampy, pochylnie itp.;
- „Dół!” – aby wskazał drogę prowadzącą w dół;
- „Nie, nie!” – aby zaprzestał tego, co akurat robi;
- „Fe, fe!” – aby nie wachał albo nie brał do pyska tego, co akurat go zainteresowało.

Gdy jeszcze byliśmy na dworcu, Pani Monika zrobiła nam wspólne zdjęcie z Zako. Nazajutrz, Alicja wrzuciła je do naszych mediów społecznościowych z informacją, że już niedługo spodziewamy się powitać nowego domownika. I – jak to bywa ze „sweet fociami” różnych piesków i kotków, odzew był bardziej niż pozytywny. Wiele pytań, życzeń powodzenia i wyprostowanych kciuków. Choć może jeszcze nie był u nas ciałem, to duchem i naszymi wspólnymi rozmowami, Zako całkowicie zdominował nasze życie.



# Spotkanie trzecie

Na trzecie spotkanie stawiałem się już bez Alicji. Jak tylko w Warszawie wysiadłem z pociągu, troskliwą opieką otoczyła mnie ochrona dworca. Jest to specjalna usługa asysty dla osób z różnego typu niepełnosprawnościami. Wystarczy przed podróżą zgłosić taką potrzebę, aby na wszystkich odwiedzanych przez nas dworcach towarzyszyła nam asysta, ułatwiająca dotarcie do pociągu, ewentualną przesiadkę czy opuszczenie budynku dworca. Ja zwykle zgłaszam tego typu potrzebę, ponieważ taka pomoc może okazać się bezcenna w jakichś nieprzewidzianych okolicznościach. Tymczasem, tego dnia, na docelowym dworcu pomoc asysty ewidentnie nie była mi potrzebna, jednak pomimo moich zapewnień, kierowanych do asysty, że umówiony jestem właśnie na peronie, wyjaśnienia, że informowałem o tym wcześniej oraz że niepotrzebnie tracą na mnie czas, przemiła para ochroniarzy mimo wszystko postanowiła poczekać ze mną na Panią Monikę.

A gdy tylko ochroniarze zobaczyli Zako w uprząży i zrozumieli, że czekam również na Przewodnika, pytaniom nie było końca. Na szczęście, w czasie gdy ja radośnie witałem się z psiakiem, Trenerka wcieliła się w rolę edukatora i sumiennie odpowiadała na wszystkie pytania z gatunku: „A skąd piesek wie, że akurat świeci się zielone światło?” itd. Gdy w końcu udało nam się uwolnić od nadopiekuńczej asysty, opuściliśmy budynek dworca i wtedy ze zdziwieniem stwierdziłem, że tego dnia Warszawa skąpana jest w pełnym, letnim słońcu. Zaskoczyło mnie to o tyle, że wybierając się na spotkanie, jak zwykle sprawdziłem prognozy pogody i – I z uwagi na zapowiadane burze oraz gwałtowne opady – zaopatrzyłem się w kurtkę przeciwdeszczową. Zdziwiony odważyłem się nawet zapytać Pani Moniki

czy aura nie pokrzyżuje nam planów treningowych. W odpowiedzi usłyszałem, że na pewno nie oraz że moja towarzyszka jest doskonale przygotowana na warunki kanikuły, ubrana w odpowiednio zwiewną bluzeczkę i lekkie sandały. Gdy kwadrans później, w ulewnym deszczu, poganiani gromkimi grzmotami, pośpiesznie wracaliśmy do budynku dworca, przyznała mi, że prognozy jednak nie zawsze się sprawdzają.

Niestety, podobna aura towarzyszyła nam przez cały pierwszy tego dnia trening, dlatego najpierw poruszaliśmy się w okolicach dworca oraz Galerii Wileńskiej, wykorzystując wszystkie opcje architektoniczne, aby schronić się przed deszczem. Dzięki temu, tym razem Zako zademonstrował mi, jak pracuje w metrze, bardzo sprytnie odnajdując bramki wejściowe i wyjściowe na nową komendę: „Bramma!”.

Okazuje się bowiem, że Przewodnikom jest zupełnie obojętne, jakich słów do komend używa ich Opiekun. Może on mówić po chińsku, fińsku czy aramejsku – dla psa istotna jest melodia i wyraźna różnica między komendami, aby ich nie mylić. Dlatego, skręcając w lewo, przeciągle wymawiamy słowo: „Leeeeeewa!”, a chcąc skręcić w przeciwnym kierunku, szybko powtarzamy: „Prawo, prawo!”. W ten sposób sprawiamy, że Przewodnikowi nie pomylą się, podobnie brzmiące, słowa „lewo” i „prawo”.

Słowa to jednak za mało. Jak zauważyła Pani Monika, Trenerzy w trakcie szkolenia przygotowują specjalne melodyjki dla psów. Polega to na tym, że jeśli jakiś Przewodnik gorzej radzi sobie z rozpoznawaniem słów, należy mu bardziej zaakcentować komendy, odpowiednio zmieniając ich brzmienie. W takiej sytuacji istotne jest nie tylko słowo, ale również to, w jaki sposób jest ono wypowiedane. Na przykład, w komendzie: „Naprzód!”, kadencja jest rosnąca, a ostatnią sylabę należy dodatkowo przeciągnąć – z boku przypomina to nieco podśpiewywanie do psa. Już wcześniej wspominałem, że przy moim niskim głosie bardzo się obawiałem takiego jodłowania na ulicy. Zwracam na to uwagę, ponieważ większość Przewodników szkolonych jest przez kobiety, a to sprawia, że psy jeszcze na etapie samej tresury, przyzwyczajają się do rozumienia komend wydawanych wyższymi głosami. Na szczęście Zako nigdy nie miał z tym problemu i od samego początku bezbłędnie interpretował komendy wyśpiewywane basem.

Oczywiście, aby ułatwić Przewodnikowi pracę i poprawić komunikację na linii pies – Opiekun, w poszczególnych komendach dodatkowo można umieszczać wyraźne akcenty. Stąd podwójne „m” w komendzie „Bramma!” czy podwójne „r”

w komendzie „Górra!”. Słyszając takie słowo, Przewodnik nie pomylił go z żadnym innym i bez trudu zrozumie, czego od niego oczekujemy.

Po nieco ponad dwóch godzinach, jakby na to nie patrzeć, burzliwego treningu, Pani Monika zawiozła nas wraz z Zako do hotelu Atos. Wyglądało na to, że z uwagi na bezproblemowe przyjmowanie psów, najprawdopodobniej stanie się on moją stałą, warszawską bazą noclegową. Z Trenerką umówiliśmy się na kolejną, tym razem popołudniową sesję. Jak tylko się rozgościłem w pokoju, osuszyłem siebie i Przewodnika, przygotowałem dla niego posiłek i napoje po intensywnym treningu, to sam postanowiłem wybrać się na lunch.

Jednak w tym aspekcie kategorycznie przyznałem przed sobą, że jeszcze nie jestem gotów iść sam z psem do hotelowej restauracji, zwłaszcza że dopóki nie otrzymam certyfikatu upoważniającego Zako do chodzenia jako Przewodnik, nie mam prawa samodzielnie poruszać się z psem w uprzęży i przedstawiać go jako psa asystującego. Oznaczałoby to, że w pomieszczeniu gęsto pozostawianym stolikami i krzesłami, musiałbym uważać nie tylko na siebie, ale również na Przewodnika trzymanego na samej tylko smyczy. W takiej sytuacji stwierdziłem, że chcąc nie chcąc, Zako musi zostać sam w pokoju.

Gdy wcześniej z Panią Moniką rozmawialiśmy o takiej hipotetycznej sytuacji, stwierdziła, że w podobnym wypadku zawsze warto przygotować dla psa jakąś atrakcję. Po pierwsze, odwróci ona jego uwagę od świadomości, że został sam w nowym miejscu, a po drugie, w trakcie naszej nieobecności, przynajmniej przez jakiś czas będzie miał co robić. Tym razem wspomnianą atrakcją okazał się kong wypełniony smaczną zawartością. Kongi mają różne kształty, akurat ten przypominał bałwanka. Najczęściej jest to pusta w środku gumowa zabawka, dzięki czemu możemy ją wypełnić różnymi przysmakami, skutecznie przyciągającymi psią uwagę. Można do nich wrzucać karmę, pasztet czy inne smakołyki. Aby utrudnić zwierzakowi natychmiastowe opróżnienie zabawki, można ją wcześniej umieścić w zamrażalniku, tak aby, po zamrożeniu zawartości kong, dłużej trwało jej wylizywanie. Wychodząc na lunch, zostawiłem Przewodnikowi taki właśnie gadżet, a zamykając za sobą drzwi, widziałem, że w 100% skupiał się na wylizywaniu pasztetu z wnętrza zabawki.

Po powrocie z posiłku Zako witał mnie już w samych drzwiach. Bardzo się ucieszył, że nie musi już być sam. Podawał mi łapę, próbował nawet na mnie skakać, aż w końcu przyniósł mi kong, abym się z nim pobawił. Pierwszy raz widziałem

go tak otwarcie stęsknionego i spragnionego mojej uwagi. Gdy dwa tygodnie wcześniej wraz z Alicją spędzaliśmy z nim czas w hotelu, był o wiele spokojniejszy i bardziej wycofany. Nie wiedziałem, czy to kwestia nowego miejsca, samotności czy może pierwszy przejaw nawiązywanej relacji. Zamiast rozstrzygać takie wątpliwości, wolałem pobawić się z psiakiem, tarmosząc go za pluszowe uszy oraz rzucając zabawkę do aportowania.

Około godziny 18:00 przyjechała po nas Pani Monika i mogliśmy rozpocząć drugi tego dnia trening, tym razem na Sadybie. W jego trakcie skupialiśmy się na odczytywaniu bocznych ruchów psa, kiedy skręca w lewo, a kiedy w prawo, kiedy jedynie sygnalizuje możliwość odejścia w bok, a kiedy faktycznie wykonuje skręt. Pokonywaliśmy trasę najeżoną różnymi przeszkodami, zmuszającą Zako do lawirowania między nimi, a mnie do skupienia i koncentracji na jego ruchach. Poruszaliśmy się slalomem pomiędzy latarniami, kosztami i ławkami, ciasnymi przesmykami pomiędzy ścianą budynku, a blisko zaparkowanymi samochodami, wąskimi chodnikami, na których bujnie wkraczająca roślinność skutecznie ograniczała możliwości wygodnego przejścia, a także pomiędzy – przynajmniej z mojego punktu widzenia – całkowicie losowo ustawionymi na chodniku słupkami, mającymi za zadanie uniemożliwić parkowanie pojazdów.

Początkowo radziłem sobie całkiem nieźle, jednak dość szybko zdałem sobie sprawę, że strasznie mocno koncentruję się na sygnałach przekazywanych przez Przewodnika. Gdy zwróciłem na to uwagę Trenerce, poradziła mi, abym po prostu bardziej zaufał psu, nie tylko świadomie reagował na przekazywane przez niego sygnały, ale żebym po prostu dał mu się prowadzić. Chciała, abym spróbował podążać za nim instynktownie, bez analizowania, co w danej sytuacji Przewodnik miał na myśli. I znowu, przez chwilę, dała o sobie znać moja nieufność, jednak stwierdziłem, że najprawdopodobniej nigdy nie będę miał lepszej sytuacji, aby spróbować takiego swobodnego przejścia; w końcu tuż za mną podążał swoisty anioł stróż w postaci Pani Moniki. Tak więc po chwilowym wahaniu pozwoliłem Zako wybierać kierunek, a sam bez zastanowienia ruszyłem za nim krok w krok – i przyznać muszę, że było to dla mnie najbardziej ożywcze doświadczenie. Gdy całkowicie zdałem się na psa, przestałem kurczowo trzymać się pałaka uprząży, a jedynie zacząłem instynktownie podążać w stronę, w którą mnie ciągnął, nagle wszystko okazało się niezwykle proste. Przyrównać to mogę jedynie do różnicy pomiędzy przedzieraniem, przeciskaniem się przez tłum, a swobodnym marszem na otwartej przestrzeni. Wcześniej starałem się dosłownie uważać na wszystko: na to, co słyszę, czuję pod butami, co przekazuje mi Przewodnik przez pałak,

czy ktoś się zbliża, czy ja coś właśnie mijam, czy to było małe, czy duże itd. Gdy tylko spróbowałem odciąć się od tych wszystkich analiz, wystarczyło, abym jedynie płynnie balansował ciałem, podążając za psem. Różnica była tak wielka, że nawet nie zauważyłem, jak od razu przyspieszyliśmy. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy Trenerka zaczęła nas wołać, abyśmy zwolnili tempo. Od tamtej pory, gdy tylko w trakcie pracy z Przewodnikiem zauważałem u siebie jakieś napięcie, w pełni świadomie starałem się rozluźnić i po prostu dać się prowadzić psu.

Drugą część popołudniowego treningu stanowiła nauka korygowania zachowań psa. Składały się na to m.in. komendy: „Nie, nie!”, używane w sytuacji, gdy Przewodnik, na przykład, wykazuje nadmierne zainteresowanie innym psem, człowiekiem, obiektem itd. Nieco inną komendą jest: „Ej! Ej!”, używana w sytuacji, gdy informujemy Przewodnika, że przykładowo wziął zbyt małą poprawkę na naszą szerokość, a my ramieniem otarliśmy o jakiś obiekt. W takiej sytuacji komendzie: „Ej! Ej!” towarzyszy lekkie odepchnięcie psa w kierunku przeciwnym do przeszkody, tak, aby Przewodnik zrozumiał, że powinien zapewnić nam więcej przestrzeni.

Dużo czasu poświęciliśmy także komendzie: „Powoli!”, którą również wymawiamy powoli. Brzmi to mniej więcej tak: „Pooowoooliiii!”. Towarzyszą jej dodatkowo dwa energiczne pociągnięcia smyczą ku górze oraz zaciśnięcie dłoni na pałku uprzęży. Gdy pies zwalnia, my nadal idziemy naprzód w takim tempie, jakie chcemy, aby przyjął Przewodnik. Obserwując nas przez chwilę, pies dopasuje swój chód do naszego tempa. Jeśli ponownie próbował będzie przyspieszać, my znowu musimy go spowolnić. I tak aż do skutku. Nie możemy pozwolić, aby to Przewodnik narzucał tempo poruszania się, szczególnie w sytuacji, gdy jeszcze sami w pełni nie czujemy wszystkich sygnałów przekazywanych nam przez psa.

Oczywiście nie byłbym sobą, gdybym czegoś nie „zmalował”. Gdy po zakończonym treningu wracaliśmy do hotelu, Zako po raz kolejny udowodnił, że posiada znakomitą pamięć do miejsc. Będąc w tej lokalizacji dopiero drugi raz, sam doskonale wiedział, dokąd ma iść i w którą stronę skręcać. Również, sam z siebie, bez wydawania komendy, podprowadził mnie pod schody wejściowe do hotelu. Oczywiście otrzymał za to nagrodę i chwilę później zaczęliśmy wchodzić na górę. Niestety, dokładnie w połowie schodów, nagle potknąłem się i upadłem. Aby nie pociągnąć psa za sobą, przewracając się, wypuściłem z rąk pałak oraz smycz – jednak Zako i tak się bardzo wystraszył. Natychmiast do mnie doskoczył

i popiskując oraz liżąc mnie po twarzy, zaczął sprawdzać, czy nadal jestem w jednym kawałku. Aby w jego psychice nie pozostała jakaś skaza lub inna szkoda, leżąc jeszcze na ziemi, natychmiast go objąłem, przytuliłem i głaszcząc po pysku, zapewniłem, że jest najlepszym Przewodnikiem na świecie oraz że ta awaria to nie była jego wina. Podobnie reagujemy w sytuacji, gdy przez przypadek potrącimy lub przydepniemy pracującego psa. Natychmiast musimy go zapewnić, że jest doskonałym Przewodnikiem oraz że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Pies oczywiście nie rozumie naszych słów, ale doskonale odczyta nasze emocje i intencje. Będzie wiedział, że to nie on zawinił i że nie jesteśmy na niego źli.

Naturalnie w całym tym zamieszaniu towarzyszyła nam dość pokaźna widownia, składająca się z gości hotelowych, którzy – czego jestem absolutnie pewien – na pewno zachodzili w głowę, jak taki pijak może chodzić z tak przemiłym futrzastym stworzeniem. Lekko poobijany, podnosząc się ze schodów, niechcący dodatkowo zwiększyłem całe zamieszanie: gdy wstawałem, z zawieszonej na pasku szaszetki, skacząc jak gromada rozbawionych pcheł, po całych schodach rozsypały się psie przysmaki. Zako oczywiście po żaden z nich nie sięgnął, ale ja zawstydzony, obawiając się obywatelskiego zatrzymania i telefonu do TOZ,<sup>8</sup> chyłkiem uciekłem „z podwiniętym ogonem”.

Dopiero w pokoju hotelowym okazało się, że w trakcie popołudniowego treningu lekko rozwarstwił się gumowany fragment podeszwy jednego z moich butów – i to właśnie on odpowiadał za moją nieoczekiwaną wywrotkę. Wchodząc po schodach, po prostu zahaczyłem tym elementem o stopień, a cała reszta – nomen omen – już była z górki. Gdy nazajutrz przyszła po nas Pani Monika, wykazała się zdolnościami manualnymi, scyzorykiem wycinając fragment podeszwy dybiący na moje życie, dzięki czemu kolejne treningi mogły już się odbyć bez dalszych niespodzianek.

Jeszcze później, tego samego dnia, wybraliśmy się z Zako na wieczorny spacer fizjologiczny. Bez problemu odnalazł trawniki, jakie niespełna dwa tygodnie wcześniej pokazywaliśmy mu wraz z Alicją; dzięki temu bez stresu mogłem komfortowo pospacerować z psem. Również w drodze powrotnej, bez najmniejszego problemu i zawahania, wskazał mi wejście oraz schody do hotelu.

Tego wieczoru w pokoju hotelowym zauważyłem, że Zako zaczął szukać mojego towarzystwa. Co ciekawe, nie był przy tym natrętny. Jeśli z mojej strony widział

---

<sup>8</sup> Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami



gotowość na pieszczoty, to sam się przytulał i nadstawiał grzbiet do drapania, jeśli jednak widział, że, na przykład, zajęłem się komputerem, to po prostu kładł się obok i zasypiał.

Osobiście uważam, że zabawy z psem stanowią idealną okazję dla osoby niewidomej, aby mogła się ona dokładnie przyjrzeć swojemu zwierzakowi. Ktoś niemający problemów ze wzrokiem z daleka zauważy, że, na przykład, pies kuleje czy liże się w konkretnym miejscu. Osoba niewidoma powinna regularnie dotykać swojego pupila miejsce po miejscu, aby w porę wykryć ewentualne nieprawidłowości. Dzięki takiemu podejściu mogłem odnaleźć i później zapytać Trenerkę o charakterystyczne zmiany skórne u Zako, które okazały się zaczątkami modzeli. Gdybyśmy zaczęli palpacyjnie, dokładnie oglądać psa, to wyda mu się to nienaturalne, a przez to niepokojące – dlatego też uważam, że najlepiej robić to w trakcie pieszczot i wspólnej zabawy.

Tego wieczoru, bawiąc się z Zako, z zadowoleniem stwierdziłem, że ponownie posiadał on znacznie więcej futra, niż miało to miejsce przy naszym poprzednim spotkaniu. Obecnie futro było zdecydowanie bardziej gęste, a przesuwając dłonią po psim karku i grzbiecie, można było wyczuć charakterystyczne dla Chesapeake Bay Retrieverów fale oraz loczki.

Na noc Zako spokojnie ułożył się na dostarczonym przez Panią Monikę pościeliu i zasnął głęboko. Jedynie, gdy na chwilę obudziłem się w środku nocy, on też się obudził i podszedł do mnie z zaciekawionym – wystarczyło jednak tylko go pogłaskać i poprosić, żeby się położył, aby ułożył się obok łóżka i natychmiast zasnął. Za to rano, gdy tylko wstałem, ucieszony, że już nie śpię, natychmiast przyszedł do mnie się przywitać. Co prawda, miałem jeszcze wątpliwości, czy cieszył się na mnie, czy na poranny spacer, ale na razie wolałem tego nie rozstrzygać. Po mojej szybkiej toalecie wybraliśmy się na zewnątrz, aby psiak mógł podnieść łapkę.

Co ciekawe, Zako, jako jeden z niewielu Przewodników, podnosi łapę przy załatwianiu swej mniejszej potrzeby fizjologicznej. Większość psów, w tym również samców, kuca do sikania – wynika to z faktu, że psy stosunkowo wcześniej poddawane są kastracji, a to sprawia, że zamiast podnosić łapkę, kucają.

W trakcie powrotu z porannego spaceru Zako roztoczył cały swój urok. Jadąca ze mną windą obywatelka Niemiec, zachwycając się Przewodnikiem, dopytywała, czy to pies serwisowy. Z kolei, już na naszym piętrze, kilka oczarowanych urokiem Zako przemiłych Ukrainek, postanowiło wskazać nam drogę do pokoju.

Oczywiście, na każdy ze spacerów fizjologicznych, pies wychodzi bez uprzęży, a ja, w tym wypadku jego Przewodnik, posiadam ze sobą białą laskę. Co istotne, Zako doskonale wie, kiedy jest w pracy, a kiedy nie. Dlatego, gdy idzie bez uprzęży, skrętnie z tego korzysta, ciekawie zaglądając we wszystkie kąty. Jeśli wskazuje mi jakąś drogę, na przykład wejście do hotelu, to robi to, ponieważ zapewne spodziewa się, że po powrocie do pokoju otrzyma kolację. Dlatego w trakcie spacerów fizjologicznych to ja muszę wykazywać się większą czujnością, a dla psa jest to czas swawolenia i – w miarę swobodnej – eksploracji otaczającego go świata.

Na pierwszy niedzielny trening udaliśmy się w okolice siedziby Fundacji Vis Maior. Tam również pojawiła się sposobność przećwiczenia moich reakcji na boczne ruchy psa. Tego dnia Zako chodził znacznie wolniej i ostrożniej. Pani Monika zakładała, iż jest to spowodowane moim upadkiem z poprzedniego wieczora. Przewodnik pamiętał, że doszło do jakiejś awarii i na wszelki wypadek o wiele ostrożniej podchodził do wszystkich przeszkód. Oczywiście na samym początku treningu należało go w ogóle obudzić – po porannym spacerze fizjologicznym oraz wylizywaniu konga w trakcie mojego śniadania, Zako najchętniej poszedłby spać. Nam jednak zależało na utrwaleniu rzeczy wyćwiczonych poprzedniego dnia, dlatego sumiennie wracaliśmy do wąskich przejść, nieoczywistych przeszkód i slalomu na chodniku.

Po jakichś dwóch godzinach wstąpiliśmy do Fundacji Vis Maior, gdzie spotkaliśmy się z jej Prezeską, Jolantą Kramarz. Zako miał również okazję przywitać się z Majorem, biskoptowym labradorem będącym jej aktualnym Przewodnikiem, a my w tym czasie mogliśmy chwilę porozmawiać. Dowiedziałem się wtedy, ze szczegółami, skąd się wzięło imię mojego psa. Za informacje odwdziczyłem się, opowiadając anegdotę o znajomych z Niemiec, którzy odwiedzili nas w poprzedni weekend. Gdy usłyszeli, że mój Przewodnik będzie nazywał się Zako, wybuchnęli gromkim śmiechem. Okazało się bowiem, że w języku niemieckim słowo pisane jako „Sakko”, a wymawiane jako „Zako”, oznacza marynarkę, krótką kurtkę noszoną w eleganckiej stylizacji lub na co dzień.

W miniony weekend, oprócz znajomych z zachodu, odwiedził nas również kolega ze wschodu, a dokładnie z Kraśnika. Nie gościł u nas sam. Towarzyszyła mu Misia, biskoptowa labradorka, od półtora roku będąca jego Przewodnikiem. Co ciekawe, Misia również była trenowana nie tylko przez Fundację Vis Maior, ale także przez Panią Monikę. Dzięki temu mogłem w praktyce przyjrzeć się, jak funkcjonuje wyszkolony przez nią Przewodnik – i muszę przyznać, że to, co widziałem, bardzo mi się spodobało.

Misia doskonale radziła sobie w dużych, zatłoczonych miejscach, takich jak Katowicka Galeria Handlowa. Perfekcyjnie wskakiwała i wyskakiwała z pociągu, nie miała żadnych problemów z jazdą samochodem, idealnie prowadziła swojego Opiekuna, także w zupełnie jej nieznannej okolicy.

Dzięki Misi mogłem również zawczasu poznać stosunek restauratorów oraz taksówkarzy w moim rodzinnym mieście do goszczenia i przewożenia psów asystujących. Przyznam, że bardzo się tego obawiałem, spodziewając się różnych problemów i niechęci na widok Przewodnika. Na szczęście wszystkie moje obawy okazały się być płonne. Wszędzie pies pracujący witany był z życzliwością, pełnym zrozumieniem, a czasem nawet fascynacją.

Wraz ze znajomymi postanowiliśmy wybrać się do restauracji na obiad. Aby uniknąć niepotrzebnych nieprzyjemności, telefonicznie rezerwując wcześniej stolik, zapytaliśmy o możliwość przyścia z psem. W pierwszej chwili kelnerka przyjmująca rezerwację zdecydowanie odmówiła, ale gdy dowiedziała się, że chodzi o Przewodnika, obiecała zapytać właściciela lokalu i oddzwonić z odpowiedzią. Po kilku minutach telefon zadzwonił i dowiedzieliśmy się, że nie ma żadnych przeszkód, abyśmy przyszli z psem. Co więcej, gdy już na sali sama właścicielka przyjmowała od nas zamówienie, dowiedzieliśmy się, że ona również posiada dwa labradory w bardzo podeszłym wieku. Ponieważ sama kocha psy, ze schroniska zwykła zabierać stare labradory, aby zapewnić im godny schyłek życia. Z identyczną otwartością reagowali taksówkarze, którzy podobno słyną z niechęci do przewożenia psów – więc albo w moim mieście żyją inni ludzie, albo jest to niezasażona opinia, ponieważ żaden z kierowców, z którymi jechaliśmy, nie miał jakichkolwiek obiekcji, aby wpuścić Przewodnika do swojego samochodu.

A że świat naprawdę jest mały, to w Fundacji Vis Maior spotkałem moją koleżankę, jeszcze z czasów licealnych, od kilku lat pracującą w siedzibie Fundacji. Powspominaliśmy stare dzieje, lecz gdy tylko Zako odpoczął, wraz z Trenerką ruszyliśmy w stronę Dworca Wschodniego, na drugą część treningu.

Miałem wtedy okazję zobaczyć, jak bardzo Zako jest skoczny i zwinny. W furgonetce, jaką jeździła Pani Monika, znajdowała się specjalna, plastikowa klatka do przewozu psów. Była ocieniona, chroniąc zwierzaki przed promieniami słońca oraz wyłożona miękkim posłaniem, zapewniającym im wygodną podróż. Co jednak ciekawe, wymiary otworu tej klatki to mniej więcej czterdzieści na czterdzieści centymetrów. Ponieważ klatka znajdowała się na pace furgonetki, to sam otwór był dość wysoko

nad ziemią. Dla Zako nie stanowiło to jednak żadnego problemu: z miejsca, jednym susem wskakiwał do klatki, w ogóle nie dotykając brzegów otworu.

Tego dnia pogoda była bardzo przyjemna do chodzenia z psem, jeśli nawet padał deszcz, to albo akurat byliśmy w Fundacji, albo jedliśmy obiad w barze mlecznym. Tak więc, korzystając ze sprzyjającej aury, w trakcie drugiego treningu utrwaląłem umiejętności zdobyte poprzedniego dnia. Po jakichś dwóch godzinach, na koniec naszego spotkania, Pani Monika pokazała mi jeszcze dokładną strukturę dworca Warszawa Wschodnia. Dotychczas wiedziałem jedynie, że jest on kopią katowickiego dworca, ale czym innym jest teoretyczna wiedza, a czym innym przekonanie się o tym w praktyce. Ostatecznie, po umówieniu się na kolejne spotkanie, z Trenerką i Zako pożegnałem się w dworcowym McDonald's. Czas, jaki pozostał mi do odjazdu pociągu, miałem nadzieję spędzić na popijaniu kawy i kilku zaległych połączeniach telefonicznych, ale jak to u mnie bywa, znowu musiało wydarzyć się coś, co – jak mawia Alicja – przydarzyć się może tylko mnie.

Gdy, siedząc przy restauracyjnym stoliku, zakończyłem kolejną rozmowę telefoniczną, za swoimi plecami usłyszałem rozmowę, która wprawiła mnie w zrozumiąłą konsternację. A usłyszałem mniej więcej coś takiego:

- Ty, on jest ślepy.
- No co ty, skąd wiesz?
- Widziałem go już tu wcześniej.
- No, ale to przecież nie oznacza, że jest ślepy.
- Jest, jest. Widziałem, jak się zataczał, gdy podchodził do stolika.
- Ale ślepy? Hmm, niby jakiś taki wymięty i brudny jest. Co nie?

Przyznam, że moja konsternacja sięgnęła zenitu. Nie wiedziałem, czy mam jakoś zareagować, czy puścić to mimo uszu – w końcu jak osoba niewidoma z laską szuka wolnego stolika w restauracji, nie zawsze robi to w sposób płynny i nigdy nie idzie od razu prosto do celu. Ale żeby zaraz brudny? Zdaję sobie sprawę, że Zako jak każdy pies linieje, ale nie zauważyłem, aby robił to jakoś w nadmierny sposób, a już na pewno nie na tyle, aby móc o mnie powiedzieć, że jestem brudny. Na szczęście, zanim zdążyłem się odwrócić i zareagować, usłyszałem jeszcze:

- Tak, tak, mówię ci, że on jest ślepy. Dlatego jest taki brudny. Widuję tego gołębia regularnie. Lata o wiele mniej niż reszta i przez to brudzi się od nieczystości na podłodze.

# Spotkanie czwarte

Na czwarte spotkanie z Zako ponownie jechałem z Alicją. Tak się akurat złożyło, że najwygodniej było nam odwiedzić Stolicę w trakcie powrotu z wakacji nad polskim morzem; to „polskie” może być nieco dyskusyjne, ponieważ cały tydzień spędziliśmy w Świnoujściu. Znajomy, który zaprosił nas do siebie, mieszka dosłownie kilkaset metrów nie tylko od pięknej, szerokiej i piaszczystej plaży, ale również od zachodniej granicy Polski. Tak więc często uprawialiśmy „plażing” na niemieckim wybrzeżu, na którym poza skate surferami prawie w ogóle nie było ludzi.

Dotychczas ani ja, ani Alicja, nie byliśmy w Świnoujściu. Łście skandynawski klimat tego miasteczka zachwyił nas oboje. Czyste, wręcz niewiarygodnie szerokie plaże, turyści z różnych stron Europy, nowoczesna infrastruktura, pyszne jedzenie, a przede wszystkim świetna pogoda towarzysząca nam na przełomie sierpnia i września sprawiły, że wspólnie z Alicją uznaliśmy, iż na pewno nie była to nasza ostatnia wizyta na wyspie Uznam.

Niestety, w dniu wyjazdu, zajmowaną miejscówkę musieliśmy opuścić stosunkowo wcześnie – w efekcie nasza podróż do Stolicy trwała ponad piętnaście godzin. Finalnie, tuż po godzinie siódmej rano, z warszawskiego Dworca Wschodniego, odebrała nas Pani Monika, a ponieważ w hotelu mogliśmy się zameldować dopiero od godziny czternastej, to zaoferowała nam swoją gościnę. Dzięki temu mogliśmy się nieco odświeżyć i odpocząć po podróży – naprawdę musieliśmy wyglądać nie za dobrze. Przy okazji mieliśmy przyjemność poznać rodzinę Pani Moniki oraz jej przesympatyczną kotkę Rachelę.

Po prysznicu, przebraniu się w świeże rzeczy i krótkiej drzemce, przysłała pora na pierwszy trening. Tego dnia nie miałem jeszcze okazji zobaczyć Zako, dlatego,

po wejściu do samochodu, ogromnie ucieszyła mnie jego reakcja. Gdy tylko usłyszał mój głos, zaczął się cieszyć, popiskiwać i próbował przedostać się na przód auta. Przy naszych wcześniejszych spotkaniach reagował znacznie mniej spontanicznie. Może działo się tak z uwagi na fakt, że wcześniej miał na sobie uprząż? A może to były właśnie początki naszej nowej relacji? W każdym razie od tej pory z prawdziwą przyjemnością mogłem myśleć, że nie tylko ja się cieszę na nasze spotkania.

Chwilę później spotkała mnie kolejna miła niespodzianka – okazało się, że Pani Monika miała dla nas prezent w postaci czerwonej obroży i własnoręcznie robionej smyczy, która powstała z czerwonej, plecionej liny – o średnicy mojego kciuka – i została dopasowana specjalnie do naszych gabarytów. Zapiętej w klasyczny sposób mogłem używać przy zwykłej pracy z Przewodnikiem, a po jej sprytnym skróceniu o połowę, była idealna do prowadzenia psa jedną ręką. Co więcej, przy obroży znajdował się mosiężny karabińczyk, wyraźnie masywniejszy od tych klasycznych, dzięki czemu sygnały przekazywane psu smyczą były dla niego znacznie bardziej czytelne.

Tego dnia trening rozpoczęliśmy od podjechania na stację kolejową Warszawa Wesoła, gdzie pierwszy raz przyszło mi wsiadać z Przewodnikiem do pociągu. Bałem się tego momentu, ale tym razem to Szybka Kolej Miejska pozytywnie mnie zaskoczyła. Okazało się bowiem, że podłoga wagonów w tych składach poziomem zbliżona jest do poziomu peronów, dzieli je jedynie kilka centymetrów w górę, dół lub odstęp od krawędzi platformy peronowej. W praktyce dla mnie i Zako oznaczało to swobodny krok naprzód, aby wygodnie wejść do wnętrza wagonu lub aby go opuścić na innej stacji. Zapewne tak idealnych warunków nie ma na wszystkich mazowieckich dworcach, ale mnie trafiały się tylko takie.

Akurat w tego typu pociągach pies nie wyszukuje wolnych miejsc – głównie dlatego, że takowych nie ma. W wagonach SKM, którymi podróżowaliśmy, puste siedzenia, trochę tak jak w kinie, składają się do pionu, a taka konstrukcja Przewodnikowi w żaden sposób nie przypomina wolnego krzeselka; za to samą podróż koleją Zako bardzo lubi. Za pierwszym razem najpierw usiadł obok mnie, a gdy stwierdził, że od razu nie wysiadamy, położył się wygodnie. Musiałem tylko uważać, aby nie leżał w przejściu i nie blokował dojścia do drzwi.

W Śródmieściu przesiedliśmy się do metra – i tu również Przewodnik wsiadał do wagonów tak swobodnie, jakby przechadzał się po własnym ogródku.

Po zatrzymaniu składu metra, na komendę: „Naprzód, Drzwi!”, przednimi łapami stawał przed otwartymi drzwiami na krawędzi peronu i – na komendę: „Naprzód!” – po prostu wchodziliśmy do środka. Ten sam poziom podłóg wagonów i peronów sprawia, że dla psów metro nie stanowi żadnego wyzwania. Jedyna różnica między nim a innymi środkami komunikacji polega na tym, że w metrze musimy szybko wchodzić do wagonu. Niestety, drzwi zamykają się błyskawicznie, a maszynista niewiele jest w stanie dostrzec przez tłum, kłębiący się na peronach.

Przewodniki uczone są, aby do wagonów metra wsiadać, wchodząc dokładnie środkiem drzwi. Niestety, każdy, kto „z marszu” próbował tej sztuki, wie, że wiąże się to z licznymi potrąceniami przez wysiadających pasażerów. Dlatego bardzo spodobał mi się sposób, jakim posługiwał się Zako: na komendę: „Naprzód, drzwi” odchodził z boku, od prawej krawędzi otwartego wejścia do wagonu – i czekał, aż wszyscy wyjdą; w tym samym czasie ja dłonią namierzałem prawą krawędź wejścia. W momencie, gdy już wszyscy ludzie opuścili wagon, Zako, zaznaczając krawędź peronu, stawał w świetle drzwi, a gdy tylko to zrobił, ja od razu mogłem wydać komendę: „Naprzód!”. Dzięki temu żaden z nas nie został poturbowany, a do wagonów metra wchodziliśmy szybko i bezpiecznie.

Tego dnia dowiedziałem się, że do pociągu można wsiadać z psem na kilka sposobów. W przypadku metra lub kolei typu SKM nie ma żadnych problemów. Kłopoty zaczynają się w momencie, gdy nie wiem jaki wagon podjedzie oraz na jakim poziomie będzie jego podłoga. Oczywiście, Przewodnik na komendę: „Naprzód, drzwi!” najpierw odnajdzie, potem podejdzie i w końcu zatrzyma się przed wejściem do wagonu. Wtedy ja powinienem białą laską sprawdzić rodzaj oraz umiejscowienie drzwi, a jeśli będą się one znajdować na innej wysokości niż poziom peronu, powinienem puścić pałąk uprząży, wydać psu komendę: „Zostań!” i luźno trzymając smycz w dłoni, samemu wsiąść do pociągu. Dopiero gdy sam będę bezpieczny w środku, odsuwam się na bok, robiąc miejsce Przewodnikowi i wydając komendę: „Hopla!” każę mu wskoczyć do wagonu. Analogicznie, tyle że w odwrotnym kierunku, powinno wyglądać wysiadanie z pociągu. Trzymając w ręku luźną smycz, najpierw ja opuszczam wagon, sprawdzając białą laską, jak daleko od wyjścia znajduje się krawędź peronu; dopiero gdy sam się na nim znajdę, odsuwam się na bok i każę psu wskoczyć z wagonu.

Brzmi to może skomplikowanie, ale ta technika ma swoją logikę i sens: w tym wypadku to człowiek powinien osobiście sprawdzić, czy Przewodnik może bezpiecznie wskoczyć do pociągu, czy tuż przy wejściu nie stoją ludzie, nie

znajdują się bagaże lub inne przeszkody i ograniczenia uniemożliwiające psu wykonanie „czystego” skoku. Analogicznie, przy wysiadaniu, zazwyczaj osoby chcące wsiąść do wagonu tłoczą się tuż przy wejściu, nie pozostawiając wolnej przestrzeni dla wyskakującego Przewodnika, dlatego też to człowiek powinien wyjść pierwszy i przygotować swemu psu odpowiednio puste i bezpieczne „ładowisko”. Przewodniki bardzo różnie znoszą tę sytuację. Jest ona dla nich nietypowa, bo jako jedna z nielicznych uwzględnia wyjście niewidomego Opiekuna przed psa. U czworonożców stres budzi sam pociąg, będący ogromnym, śmierdzącym, hałasującym i groźnie posapującym potworem, jednak najgorsze dla Przewodników są odstępki pomiędzy wagonem a peronem – im taki odstęp jest większy, tym większy stres psa. Z wysokością nie mają takich problemów: potrafią wskoczyć do wysokiego wagonu i opuścić go jednym susem. Boją się jednak ciemnej, śmierdzącej „przepaści” pod łapami.

Niektórzy przed wsiadaniem do wagonu zalecają zdejmowanie uprząży Przewodnikowi, głównie po to, aby nie ograniczała ona jego ruchów przy wskakiwaniu i wyskakiwaniu z pociągu. A dlaczego to skakanie na peron i bezpośrednio na podłogę wagonu jest takie ważne? Głównie z jednego powodu: większość wagonów posiada schody o stalowej, ażurowej konstrukcji, na których psy bardzo łatwo doznają najróżniejszych kontuzji, z wyrwaniem pazurów włącznie. A to nie tylko jest bardzo bolesne dla Przewodnika, ale bardzo często sprawia, że po takim wypadku pies konsekwentnie odmawia wsiadania i wysiadania z pociągów.

Metro to jednak nie tylko wagony – na stację trzeba wejść, a potem ją opuścić. W takiej sytuacji za każdym razem musimy pokonać bramki; w sytuacji, gdy są one zwykłymi plastikowymi lub szklanymi drzwiami, nie mamy z tym żadnego problemu. Trudności mogą pojawić się w momencie, gdy musimy przejść z Przewodnikiem przez tzw. kołowrotek. Niestety, ich konstrukcja jest na tyle nietypowa, że obracając się, mogą one zrobić krzywdę naszemu psu.

Jak zatem sobie z tym poradzić? W przypadku drzwi nie ma to znaczenia. Możemy iść pierwsi albo Przewodnika puścić przodem. Zarówno pies, jak i Opiekun będą bezpieczni. Jeśli jednak do czynienia mamy z kołowrotkiem, powinniśmy najpierw odblokować go biletami, następnie jedynie luźno trzymając smycz, samemu przejść przez niego tyłem, jednocześnie kontrolując, aby Przewodnik nie podążał tuż za nami. Gdy kołowrotek bezpiecznie się obróci, po prostu przekładamy pod nim lub z jego boku smycz i pozwalamy psu do nas



dołączyć. Z opisu może to brzmieć nieco skomplikowanie, ale po kilku przejściach przez takie bramki robi się to zupełnie odruchowo. Oczywiście warto pamiętać, aby, samemu idąc tyłem, nie przesuwając się za daleko: z Paryża pamiętam takie bramki, za którymi w odległości jednego kroku od kołowrotka zaczynały się schody w dół.

A skoro mowa o schodach, to zawsze byłem ciekaw, jak Przewodniki radzą sobie na ich ruchomej odmianie oraz ruchomych chodnikach, pełniących na lotniskach, dworcach i w niektórych budynkach rolę szybkich ścieżek komunikacyjnych. Tego dnia dowiedziałem się jednak, że jeśli to tylko możliwe, psy pracujące nie powinny jeździć ruchomymi schodami. Jeśli Przewodnik lub jego Opiekun nie będą ostrożni, szczególnie przy końcu takich schodów i ruchomych taśm, bardzo łatwo o kontuzję psiej łapy. Dlatego też znacznie bezpieczniej jest korzystać z klasycznych schodów lub wind oraz poruszać się zwykłymi, a nie ruchomymi, chodnikami.

Tak się jednak złożyło, że tego dnia zapędziliśmy się na jedną ze stacji metra, z której jedyne wyjście stanowiły ruchome schody. I właśnie dzięki temu miałem okazję pod czujnym okiem Trenerki przećwiczyć z Zako jazdę tym wynalazkiem. I jak się okazało, przynajmniej dla mojego psa, ruchome schody nie stanowiły żadnego wyzwania. Gdy na komendę: „Górra!” podprowadził mnie do nich, puściłem trzymaną w ręku pałkę i do lewej ręki przełożyłem smycz. Następnie położyłem prawą dłoń na ruchomej poręczy i podszedłem do wysuwających się schodów. W momencie, gdy na nie wstępowałem, lekko pociągnąłem za smycz ku przodowi i wydałem Przewodnikowi komendę: „Chodź, chodź!”, a Zako po prostu wszedł na schody. Analogicznie przy końcu naszej przejażdżki, gdy tylko pod stopą poczułem koniec schodów, krawędź, pod którą one znikają, lekko pociągając psa do góry, wymówiłem komendę: „Hopla!”, a on po prostu przeskoczył niebezpieczny fragment. Miałem nadzieję, że chodząc z Przewodnikiem, nie będę musiał korzystać z ruchomych schodów, jednak po tych ćwiczeniach już wiedziałem, że gdybym ponownie znalazł się w podobnej sytuacji, to będziemy z Zako potrafili poradzić sobie w bezpieczny sposób.

Od momentu, gdy przechodziłem opisywany powyżej trening, minęło ponad sześć lat. W tym czasie w Polsce wprowadzony został nowy standard szkolenia psów Przewodników. Jednym z jego wymaganych elementów jest uczenie psów poruszania się po ruchomych schodach i odpowiedniego informowania o ich występowaniu osób niewidomych. Dziś żaden Opiekun Przewodnika nie powinien

mieć problemów z korzystaniem z takich schodów czy chodników. Pomimo tego, że zgodnie z moimi przewidywaniami Zako do dziś nie ma żadnych kłopotów z pokonywaniem ruchomych schodów, nadal uważam, że dla bezpieczeństwa samego psa, jeśli to tylko możliwe, zawsze lepiej, a przede wszystkim bezpieczniej jest skorzystać z windy lub tradycyjnej klatki schodowej.

Tamtego dnia chodziło mi się z Zako wręcz idealnie. Perfekcyjnie wyłapywałem wszystkie jego sygnały, gdy wskazywał mi alternatywne drogi w lewo lub prawo, sygnalizował boczne korytarze, a nawet zwykłe kręcenie głową. Gdy podzieliłem się swoim zachwytem z Panią Moniką, oświeciła mnie, że akurat tego dnia Zako ma na sobie nową, specjalnie dla niego robioną uprzęż. Idealnie dopasowana sprawiła, że o wiele lepiej i wyraźniej czułem psa. Przypomniałem sobie wtedy, że podobne wrażenia miałem na pierwszym spotkaniu z Przewodnikiem. Chwilę później moje przypuszczenia zostały potwierdzone. To właśnie wtedy Zako miał na sobie tę samą uprzęż, która później wróciła do rymarza, aby wprowadził do niej ostatnie poprawki. Na późniejszych zajęciach korzystałem ze starszego zestawu, który nie dość dobrze leżał na psie. Już się nawet zaczynałem martwić, że moje pierwsze wrażenia i optymizm były złudne i przedwczesne, na szczęście od tej pory Zako miał używać tylko tej jednej, swojej własnej, dopasowanej uprzęży.

Z tą uprzężą oraz rymarzem wiąże się jeszcze jedna, zabawna historia. Jedna z Trenerek pracujących dla Fundacji doszła do wniosku, że bardzo fajnym rozwiązaniem będzie wyposażenie osób trenujących wieczorową porą w specjalne, odblaskowe opaski. W tym celu zakupiła i wraz z innymi przedmiotami dostarczyła do zakładu rymarskiego odblaskowe taśmy. Jednak albo nie dość dobrze wytłumaczyła, o co jej chodzi, albo też w ogóle zapomniała o nich wspomnieć rzemieślnikowi, gdyż doszedł on do wniosku, że powinien je przyczepić do uprzęży, nad którą właśnie pracował i której nadawał ostateczny szlif. I w ten oto sposób do dziś Zako pyszni się elegancką, skórzaną uprzężą, prawie na całej powierzchni pokrytą zielonymi, odblaskowymi pasami. Jest to oczywiście tylko jedna, jedyna uprzęż, tak kompleksowo przygotowana do pracy po zmroku, do tego oczywiście swoim kolorem doskonale pasuje do czekoladowego futra Zako.

Po porannym treningu pociągami wróciliśmy do stacji Warszawa Wesoła, a stamtąd, już samochodem, pojechaliśmy do domu Pani Moniki, gdzie czekała na nas Alicja. Gdy dotarliśmy na miejsce, nasza gospodyni zaprosiła nas

na przygotowany przez siebie przepyszny obiad. Bardzo miłe wspominał ten moment, gdzie w prawdziwie domowej atmosferze omawialiśmy nasze poranne ćwiczenia. Niestety, po wspaniałym rosolu i baraninie z ryżem, musieliśmy się w końcu zameldować w hotelu. Pani Monika podrzuciła nas do niego i umówiliśmy się na późniejszy trening. Tymczasem dla Alicji była to dopiero pierwsza okazja do ponownego spotkania z Zako. Gdy tylko go zobaczyła, była wręcz oczarowana: odkąd widziała go ostatnim razem, prawie całkowicie zmienił swą okrywą. Aktualnie posiadał mleczno-czekoladowe, gęste i grube futro, układające się na karku i grzbiecie w charakterystyczne dla chesapeakeów loczki. Oczywiście, natychmiast zażądała wspólnego spaceru fizjologicznego, tak aby ona również mogła nacieszyć się psim towarzystwem.

Po dłuższym odpoczynku wyruszyliśmy na kolejny trening, tym razem w komplecie, ponieważ pojechała z nami Alicja. Zaczęliśmy od wizyty w kawiarni, gdzie porzuciliśmy Alę, a zabraliśmy Olę, „świeżo upieczoną” Trenerkę, chcącą poobserwować naszą pracę w terenie. W takim trzyosobowym składzie przemierzaliśmy okoliczne ulice, trenując klasyczne sytuacje w rodzaju przejść dla pieszych, slalomu między przeszkodami na chodniku itp. itd. Po niespełna półtorej godzinie, po Przewodniku wyraźnie zaczęło być widać, że jest już zmęczony. Pani Monika zaordynowała więc powrót do kawiarni – tam Zako mógł się wygodnie wyciągnąć na podłodze, a my usiąść i przy kawie omówić nasz popołudniowy trening.

To jednak nie był koniec atrakcji tego dnia. Czekają nas jeszcze spotkanie z przesympatycznymi ludźmi, którym po raz kolejny muszę podziękować za to, jaki wspaniałym psem Zako jest do dziś.

Historia zaczęła się w czasie, gdy Zako miał nieco ponad dwa miesiące. Do Fundacji zgłosiła się Pani Roksana, poszukująca informacji na temat godnych polecenia hodowli labradorów. Pani była świadoma, że obecnie bardzo łatwo można trafić na hodowlę, gdzie przywiązuje się wagę jedynie do wyglądu psa, pomijając dbałość o charakterystyczne cechy danej rasy. Całkiem słusznie wywnioskowała, że organizacja szkoląca psy będzie dysponować wiedzą o godnych zaufania hodowcach. Jednak, ku jej zaskoczeniu, zamiast informacji kontaktowych, od Fundacji otrzymała pytanie, czy nie chciałaby stworzyć tymczasowego domu dla szczeniaka – przyszłego Przewodnika. Po namyśle, Pani Roksana stwierdziła, że może to być świetna okazja, aby się przekonać

czy wcześniejsza decyzja o posiadaniu psa nie była zbyt pochopna. Po dyskusji z domownikami cała pięcioosobowa rodzina zdecydowała się podjąć to wyzwanie.

W ten oto sposób Zako trafił do przesympatycznego domu, w którym – jak się okazało przy naszym spotkaniu – każdy kochał go za coś innego. Pan domu za wspiane wspólne spacerowanie po Kampinosie. Pani domu za czułość i delikatność. Córka za oddanie i przywiązanie. Starszy syn za ciągłą gotowość do zabawy, a młodszy po prostu za to, że Zako z nimi jest. I tak jak na początku tej historii, cała rodzina podjęła wspólną decyzję o przyjęciu szczeniaka pod swój dach, tak w momencie, gdy Fundacja ogłosiła termin rozpoczęcia szkolenia na Przewodnika, jednogłośnie stwierdziła, że nie oddadzą psa.

Nie skutkowały żadne oficjalne prośby i groźby. Gdy w końcu pracownicy Fundacji, zmuszeni do ostateczności, blefując, zażądali od rodziny zapłaty za niewyszkolonego szczeniaka w kwocie znacznie przewyższającej koszt wyszkolonego Przewodnika, ci bez wahania byli gotowi sięgnąć do portfela. Nawet gdyby w tym momencie sama Fundacja chciała się na to zgodzić, uniemożliwiłaby jej to forma pozyskiwania i rozliczania środków publicznych, więc blef upadł. Ostatecznym argumentem, który jednak przekonał rodzinę do zmiany zdania, była historia niewidomego, czekającego już drugi rok na psa. Koniec końców, oddając Zako na dalsze szkolenie, mieli tylko jedną prośbę: chcieli poznać osobę, do której trafi ich ukochany pies. Gdy jakiś czas później opowiedziano mi tę historię i zapytano, czy mógłbym się z Nimi spotkać, natychmiast się zgodziłem.

Gdy tego dnia wieczorem dotarliśmy do ich domu, cała rodzina zrobiła na mnie i Alicji ogromne wrażenie. Niezwykle mili, uprzejmi i sympatyczni ludzie, byli zachwyceni możliwością ponownego spotkania się z Zako. Mogłem się od nich bezpośrednio dowiedzieć, jaki Zako był za swych szczenięcych czasów – co lubił, jak się bawił, jak spędzał czas. Jestem absolutnie pewien, że cały charakter Zako ukształtowany został właśnie tam, przy tej cichej Warszawskiej uliczce, w ciepłym i bezpiecznym domu z ogrodem. Nasze spotkanie było również okazją do przepytania nas na okoliczność przyszłego życia i losu Zako. Mogliśmy opowiedzieć o naszym stosunku do psów, zaangażowaniu, jakie planujemy dla Zako, naszym miejscu zamieszkania w bezpośredniej bliskości lasu i wielu innych rzeczach, o które byliśmy wypytywani z wielką delikatnością.

Co ciekawe, rodzina Zako, bo tak ją sobie pozwałam nazywać, poniekąd dopięła swego – za pośrednictwem Fundacji, udało jej się bowiem w końcu zakupić

młodsze bractwo Zako. Myślę sobie również, że to nie przypadek, że nazwali go Pako – i stąd właśnie, siedząc przy ich stole, raz mogłem głaskać Zako, a raz Pako, które polubiły bawić się ze sobą i wspólnie szaleć w ogrodzie. Niestety, mieszkając ponad 250 km od Warszawy, nie mogłem obiecać zbyt częstego podtrzymywania „więzi rodzinnych”, czego szczerze obaj z Zako żałujemy. Sądząc po wilgoci w oczach wszystkich domowników, o której już po wyjściu poinformowała nas Pani Monika, myślę, że i pierwsza rodzina Zako jest podobnego zdania.

W tym miejscu po prostu jeszcze muszę wspomnieć o sytuacji, jaka nam się przydarzyła nieopodal pierwszego domu Zako. Zbliżając się do niego, nagle w stronę prowadzącego mnie psa ruszył jakiś mężczyzna, głośno wołając: „Zako! To jest Zako!”. Nagły ruch, okrzyk oraz imię Przewodnika sprawiły, że ten ostatni gwałtownie się obrócił, wpychając mnie na zderzak i maskę zaparkowanego samochodu. Na szczęście zdążyłem złapać równowagę i nie upadłem, za to całą nogawkę spodni miałem mokrą i brudną.

Mówiąc, że reakcja Pani Moniki była głośna i gwałtowna, to nic nie powiedzieć. Myślę, że omawiane w trakcie szkolenia hipotetyczne scenki konfrontacyjne powinny być poprzedzane nagraniem Pani Moniki w akcji. Niestety, sytuację dodatkowo eskalował sam przechodzień, który, co przyznam, z jakimś rozbawieniem, będąc mocno oszołomionym formą i ekspresją wykładu, był w stanie jedynie powtarzać: „Ale przecież to jest Zako...”. W trakcie rozmowy z naszymi gospodarzami okazało się, że feralnym przechodniem był ich sąsiad z naprzeciwka; sam posiadał labradora imieniem Toffi i znał Zako od szczeniaka.

To jednak nie był koniec niespodzianek na ten dzień. W drodze powrotnej natknąłem się na technologiczną nowinkę, a moje spotkanie z nią mogło zakończyć się tragicznie. W pewnym momencie podszedłem i zatrzymałem się z psem przed – kolejnym na naszej drodze – przejściem dla pieszych. W tym samym czasie, jak się później okazało, podjechał do niego samochód, wyraźnie zwalniając. Nie słysząc żadnego jadącego pojazdu, miałem świadomość wolnej i bezpiecznej drogi, więc wydałem Przewodnikowi komendę: „Naprzód!” i wszedłem na pasy. W tym momencie ów samochód gwałtownie przyśpieszył – I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że był to samochód elektryczny, którego w ogóle nie słyszałem i nie miałem świadomości, że on tam jest. Tylko szybkiej reakcji Pani Moniki, która złapała mnie za ramię i wciągnęła naszą dwójkę z powrotem na chodnik, zawdzięczam, że nic się wtedy nie stało.

Przypomnę tylko, że był to rok 2017, gdy samochody elektryczne stanowiły jeszcze rzadkość w naszym kraju oraz że dopiero 5 lat później wprowadzono w Polsce przepisy, dające pieszemu pierwszeństwo na przejściu dla pieszych. Na szczęście, sama Pani Monika, będąca świetnym kierowcą stwierdziła, że kierowcom w ogóle nie można ufać i w trakcie treningów bardzo uważnie ich obserwuje. No, po prostu, drżycie kierowcy!

Wraz z Alicją późnym wieczorem zabraliśmy Zako na spacer – i to było trochę jak powrót do przeszłości, gdy razem z Hamletem wychodziliśmy na nocne spacery. Po psiaku jednak było widać trudy i emocje mijającego dnia. Tylko w trakcie samych treningów pokonaliśmy tego dnia ponad 10 km – jak dla Przewodnika, był to spory dystans, szczególnie w sytuacji, gdy nadal się siebie uczymy i każdemu naszemu krokowi towarzyszy wzmożona uwaga i koncentracja. Tak więc, w ogóle nas nie zdziwiło, że po spacerze oraz kolacji, Zako wystarczyła dosłownie tylko chwila, aby wygodnie umościć się w spokojnym kącie i przenieść się na łono psiego Morfeusza.

Poranek następnego dnia przywitał nas na mokro. Gdy z samego rana wybrałem się z psiakiem na fizjologiczny spacer, mocno skropił nas deszcz, ale gdy po śniadaniu wyruszyliśmy z Panią Moniką na Saską Kempę, to deszcz jedynie nas postraszył i w końcu dał za wygraną, pozwalając przeprowadzić pełnowymiarowy trening. Co ciekawe, jedną z rzeczy, o jakiej dowiedzieliśmy się od rodziny socjalizującej Zako, była informacja, że gdy zmoknie, uwielbia być wycierany, a po deszczu sam dopomina się o ręcznik, traktując całą operację jako dodatkową pieśczętę. Przyznam, że dopóki sam się o tym nie przekonałem, to nie bardzo chciało mi się wierzyć w tę informację. Tymczasem, o czym mogłem przekonać się już tego dnia, gdy Zako ma mokrą głowę, to nie daje mi spokoju, dopóki mu jej nie wytrę, a jeśli się będę od tego uchylał, to weźmie sprawy w swoje łapy i sam się wytrze. Prosto w moje spodnie.

Po kilku – już standardowych – ćwiczeniach, wsiedliśmy do komunikacji miejskiej i trenowaliśmy poruszanie się z wykorzystaniem transportu publicznego, tramwajów i autobusów – i tu Zako po raz kolejny udowodnił, że nie stanowi on dla niego żadnego problemu. W efekcie trening był ewidentnie jednostronny i to głównie ja ćwiczyłem komendy, podchodzenie do drzwi, wsiadanie, odnajdywanie miejsca wewnątrz i w końcu wysiadanie na właściwym przystanku.

W pewnym momencie Zako bardzo mocno zainteresował się pijanym człowiekiem, śpiącym na podłodze autobusu. Dowiedziałem się wtedy, dlaczego psy szczególnie nie lubią takich „mocno sponiewieranych” pijaków. Okazuje się bowiem, że problem stanowi zapach nie tyle alkoholu, ile moczu, którym często mają oni przesiąknięte ubranie; ponieważ psy w podobny sposób (moczem) oznaczają własne terytorium, taki śmierdzący pijak jest dla nich jak wściekle krzyżący drapieżnik, oznajmiający, że to jest jego teren. Dlatego też psy albo starają się szerokim łukiem omijać takich osobników, albo próbują ich atakować, wydzielany przez nich zapach traktując jako wyzwanie. Dobrze wyszkolony Przewodnik oczywiście będzie takim ludziom schodził z drogi, odciągając w ten sposób swojego Opiekuna od potencjalnego zagrożenia.

Tego dnia trenowałem również wchodzenie i schodzenie z psem po schodach, trzymanie odpowiedniego dystansu pomiędzy sobą a Przewodnikiem oraz szybkie i bezpieczne odnajdywanie krawędzi schodów prowadzących do przejść podziemnych. W Żółtych Tarasach ćwiczyliśmy efektywne poruszanie się w tłumie, odnajdywanie wind oraz coś, co mnie i Zako sprawia chyba porównywalnie dużą frajdę – przechodzenie przez obrotowe drzwi. Zdumienie i konsternacja przypadkowych ludzi, którzy nagle orientują się, że w ciasnej przestrzeni obrotowych drzwi nieoczekiwanie znaleźli się wraz z dużym psem bez kagańca, są po prostu bezcenne.

Niestety, chodzenie w tłumie może być niebezpieczne i to nie tylko dla nas, dla naszego psa, ale również innych osób. Ludzie na ogół zakładają, że ktoś ich ominie, więc idąc przed siebie, bez opamiętania wpatrują się w ekrany smartfonów, nie zwracając uwagi na to, gdzie idą, co mają pod nogami i co się dzieje dookoła. Aby uniknąć takich nieprzyjemnych spotkań, w trakcie których ktoś z całym impetem wpada na nas z boku, warto jest, w tłumie, wydawać Przewodnikowi głośne komendy, na przykład powtarzając co kilka sekund: „Naprzód!”. Dzięki temu, w tłumie kłębiącym się na dworcach, centrach handlowych i często przejściach dla pieszych, unikniemy niepotrzebnych szturchnięć i potrażeń. W takiej sytuacji warto również prawą ręką trzymać smycz przed sobą, na wysokości pępka – dzięki temu zmniejszyliśmy naszą szerokość i nikt ręką, torbą czy kierownicą roweru, za nią nie zahaczy i nie szarpnie psa w niekontrolowany sposób.

Zako jest bardzo ciekawskim i towarzyskim czworonożcem. Oczywiście, na jego liście zainteresowań najwyżej uplasowały się wszystkie restauracje, bary i inne jadłodajnie. Za każdym razem bardzo wyraźnie zaznacza do nich drzwi, jakby

pytając, czy aby przypadkiem nie mieliśmy właśnie tu zajrzeć? Czasem zdarza mu się również odwracać wzrok za „kumulacją” jedzenia znajdującą się w pobliżu. Gdy tego dnia mijaliśmy nadchodzącą z naprzeciwka parę rodziców z wózkiem spacerowym, zatrzymał się nagle i odprowadził ich tęsknym spojrzeniem. Pewnie nie byłoby w tej rodzinie nic nadzwyczajnego, gdyby nie kebab w ręce ojca, idącej obok matki i siedzącej jeszcze w wózku, może dwuletniej, dziewczynki. Ten widok aż tak pochłonął Zako, że zupełnie nie zauważył przechodzącego tuż obok innego psa; w ten oto sposób, bez jakichkolwiek wątpliwości, poznałem priorytety mojego Przewodnika.

Czasem jednak ciekawość musi stoczyć ostrą walkę z psimi obawami. Dzieje się tak zwykle w sytuacjach, gdy Przewodnik spotyka na ulicy coś, czego nigdy wcześniej nie widział. Tego popołudnia był to wielki kangur, spokojnie stojący pod jednym z mijanych sklepów. Zako przyjrzał mu się z dużą dozą ostrożności, ale ominął go bardzo spokojnie. Dopiero w momencie, gdy kangur, robiąc susa w przód, gwałtownie się poruszył, pies się bardzo wystraszył. W takich sytuacjach należy dać Przewodnikowi szansę zapoznania się z nowymi okolicznościami – w tym wypadku był to akurat przebrany człowiek, reklamujący jakieś produkty. Gdy Zako zdał sobie sprawę, że ten potwór pachnie człowiekiem, już spokojnie i bez obaw ruszył w dalszą drogę.

Regularnie zaskakiwało mnie, jak dobrym wzrokiem dysponował mój Przewodnik. Szukane obiekty dostrzegał z bardzo dużej odległości, dzięki czemu miał czas im się dokładnie przyjrzeć, zanim podeszliśmy do nich bliżej. Część psów, pomimo zdrowego wzroku, reaguje na różne obiekty dopiero z niewielkiej odległości, na przykład 3 do 5 metrów. Ma to oczywiście swoje plusy i minusy. Przykładowo, Zako, poproszony o wskazanie przystanku, zamiast pójść prosto i zatrzymać się na przystanku znajdującym się, na przykład, 50 metrów dalej, wskaże mi przystanek po drugiej stronie ulicy – bo go doskonale widzi. A skoro ten jest bliżej, to po co iść dalej? W końcu, żeby nie było żadnych wątpliwości i niejasności w naszej komunikacji, musiałem nauczyć się wskazywać Przewodnikowi ręką, o który kierunek mi chodzi. Jak się szybko okazało, ta dalekowzorność jest bardzo przydatna szczególnie w sytuacji, gdy wydaję psu komendę, aby coś znalazł. Wtedy on, zamiast krążyć w poszukiwaniu danego obiektu, jedynie rozgląda się dookoła, a gdy dostrzeże swój cel, rusza prosto do niego. W ten sam sposób zaczęły przydawać nam się również wskazania ręką: gdy docieramy do miejsca, w którym Przewodnik nie jest pewien, na przykład, w który



z odchodzących promieniście chodników powinien skrócić, wystarczy, abym ręką wskazał mu ogólny kierunek, żeby bez wahania ruszył w tamtą stronę.

Tego popołudnia, w trakcie oczekiwania na pociąg do domu, Pani Monika miała dla mnie niespodziankę. Oznajmiła mi, że spotkamy się jeszcze tylko jeden raz na cały weekend oraz że nasze kolejne spotkanie będzie już tym ostatnim, w trakcie którego oficjalnie będę odbierał psa. Z jednej strony bardzo się ucieszyłem, bo sam już nie mogłem się doczekać tej chwili, gdy Zako u nas zamieszka, ale pojawiła się również obawa, czy ja sam jestem do tego odpowiednio przygotowany.

Osoby przejmujące Przewodniki, zamieszkałe nieopodal stolicy lub w niej samej, w tamtym czasie posiadały znacznie lepsze wsparcie na początku swej przygody z psem. Teoretycznie, wszyscy starający się o Przewodnika mieli takie same zasady wsparcia i taką samą liczbę godzin, jaką Trenerzy mogli poświęcić na ćwiczenia z danym kandydatem; w praktyce oznaczało to jednak, że tylko osoby będące na miejscu mogły w pełni skorzystać z dostępnych możliwości, na przykład spotykając się z Trenerem po dwa razy w tygodniu przez okres nawet kilku miesięcy. Tymczasem, kandydaci, dla których każdy trening wiązał się z całą wyprawą, wybieraniem urlopu itd., najczęściej rezygnowali z podróży i – już po przekazaniu psa – sami przepracowywali ewentualne problemy, jedynie zdalnie konsultując się z Trenerami. Oczywiście w sytuacji, gdy Trener bezwzględnie musiał być na miejscu, był delegowany przez Fundację, ale przecież nikt nie będzie wysyłał Trenera przez pół kraju tylko po to, aby skonsultował najwygodniejszy sposób bezwzrokowego zbierania psich odchodów. Między innymi z uwagi na to, wspomniany wcześniej, nowy standard szkolenia Przewodników uregulował również i tę kwestię. Obecnie wszyscy kandydaci na Opiekunów psów spędzają dwa tygodnie wraz z przyszłym Przewodnikiem, w trakcie których trenują z psem, uczą się jak o niego dbać, jak go karmić i jak go pielęgnować. W tym czasie posiadają również praktycznie nieograniczony dostęp do Trenerów, których na bieżąco mogą zamęczać pytaniami – w ten sposób funkcjonują dzisiaj wszystkie organizacje szkolące Przewodniki z publicznych środków.

W tamtej chwili, ważąc wszystkie za i przeciw, radość przeważyła nad obawami – ja już po prostu nie mogłem się doczekać, żeby wraz z Zako codziennie przemierzać otaczający nas świat. Może pomogło mi też to, że gdy na dworcu udałem się do toalety, pod moją nieobecność Alicja podpytywała Panią Monikę, jak według niej radzę sobie z psem, a uzyskane odpowiedzi były bardzo

pozytywne i optymistyczne. Dlatego ja również bardzo optymistycznie patrzyłem w naszą wspólną przyszłość.

A skoro już wspomniałem o wizycie w toalecie, to od razu warto podkreślić, że do tych publicznych również udajemy się z Przewodnikiem. Niestety, wszyscy wiemy, że ich stan często jest daleki od ideału i właśnie dlatego oraz z uwagi na wygodę naszą i naszego psa, staramy się wybierać toalety dla osób niepełnosprawnych. Zawsze jest w nich więcej miejsca i prawie zawsze są one znacznie czystsze niż te ogólnodostępne. Tego dnia mogliśmy sobie jeszcze przeciwzyć korzystanie z takiej toalety, co później miało nam się wielokrotnie przydawać – i oczywiście nie chodzi tu o umiejętność używania sedesu, lecz o na przykład miejsce, w którym bezpiecznie możemy posadzić lub położyć Przewodnika. Jak pokazuje moje już ponad sześćoletnie doświadczenie, najlepszą lokalizacją dla tego celu jest przestrzeń znajdująca się na lewo lub prawo od wejścia do toalety, tuż przy samych drzwiach. Są to po prostu najczystsze miejsca w całej łazience.

# Spotkanie piąte

Podróż na odbywające się tydzień później piąte spotkanie minęła mi bardzo przyjemnie, jedynie w taksówce na dworzec musiałem ponownie tłumaczyć, że, na przejściu dla pieszych, Przewodnik wcale nie zwraca uwagi ani na zielone, ani czerwone światło, ale że po prostu czeka na komendę swojego Opiekuna. Już wtedy czułem, że to pytanie będzie do mnie wracać jak bumerang. Na samym katowickim dworcu czekała na mnie asysta, witająca mnie jak starego znajomego – to jedna z zalet podróżowania o tej samej porze i w tych samych dniach tygodnia. Powitanie z przemiłą, jak zwykle, załogą Pendolino i z prawie trzech godzin podróży nie pamiętam ponad dwóch, które smacznie przespałem.

W Warszawie byłem o czasie i – jak zwykle – po wyjściu z pociągu, wysłałem wiadomość tekstową do Pani Moniki, z informacją, na którym peronie czekam. Po zeszyt tygodniowej, żywiołowej reakcji Zako na moje pojawienie się, Trenerka postanowiła sprawdzić, jak pies zareaguje, gdy – bez żadnych znaków z jej strony – spróbuje mnie ominąć na peronie. Niestety, ku mojemu bolesnemu rozczarowaniu, Zako minął mnie bez wahania, jak każdego innego pasażera. Trochę pocieszałem się tym, że to prawidłowe zachowanie Przewodnika i że w chwili, gdy mnie mijał, stałem do niego prawie odwrócony tyłem. Mimo tych mentalnych okładów, przykładanych do mojego obolałego ego, zrozumiałem wtedy, że aby stworzyć jakąkolwiek więź z psem, nie wystarczy kilka spędzonych wspólnie dni. Dotarło do mnie, że przed nami jeszcze bardzo wiele pracy, abyśmy w ogóle mogli zacząć myśleć o jakichkolwiek relacjach.

Po przywitaniach i opuszczeniu budynku dworca zostawiliśmy mój plecak w samochodzie Pani Moniki i pieszo ruszyliśmy do miasta, po drodze ustalając

scenariusz pierwszego treningu. Ponieważ w minioną niedzielę, z uwagi na odbywające się msze, nie udało nam się wejść do kościoła, tego dnia postanowiliśmy podjąć kolejną próbę, jednak głównym celem treningów w trakcie tego weekendu miała być w pełni samodzielna praca psa. Dotychczas Trenerka wspierała Zako przy podejmowaniu decyzji: gdy nie był czegoś pewien i nie potrafił zdecydować, w którą stronę skręcić, spoglądał na Panią Monikę, a ta słowem, gestem lub spojrzeniem udzielała mu podpowiedzi. Najczęściej ograniczały się one jedynie do potwierdzenia wstępnego wyboru dokonanego przez Przewodnika, ale dzięki temu stymulowały go one do dalszej pracy. Od tej pory wszystkie dodatkowe wskazówki miały zniknąć, a cała odpowiedzialność oraz decyzyjność spocząć na psich barkach.

W praktyce wyglądało to tak, że Trenerka, zamiast obok, podążała dokładnie za mną, tak, aby Przewodnik nie mógł się sugerować nawet jej spojrzeniami. Przekazywane przez Panią Monikę wskazówki dotyczące dalszej drogi wplataliśmy w rozmowę tak, aby pies nie był w stanie wcześniej zorientować się, którądy będziemy szli, albo czego szukali. Zgodnie z ostrzeżeniami Trenerki, na efekty takiego postępowania nie musieliśmy długo czekać.

Zako, przy co bardziej oczywistych wyborach, jedynie oglądał się za swym dotychczasowym wsparciem, jednak, gdy przyszło mu wybierać jeden z dwóch rozgałęziających się chodników, obracał się cały w poszukiwaniu podpowiedzi u Pani Moniki. W tej sytuacji musiałem go skarcić i albo kazać mu samemu podejmować decyzję, albo wskazać mu oczekiwany kierunek. Przewodnik, oczywiście, nigdy nie wyzbędzie się wątpliwości, dlatego cały trening polega na tym, aby rolę źródła informacji, wsparcia i potwierdzeń przenieść z dotychczasowego Trenera na nowego Opiekuna, czyli mnie. Jak się później okazało, tego dnia Zako, może jeszcze tylko ze trzy razy zachował się w podobny sposób. Nazajutrz, już sam, bez wahania, podejmował decyzje i obierał kierunki, a – w razie wątpliwości – wsparcia i potwierdzenia szukał w mojej osobie.

Ze słów Pani Moniki wynikało, że psy bardzo różnie sobie radzą z przejmowaniem odpowiedzialności. Jest to dla nich obarczone dużym stresem, a Przewodniki bardzo chętnie rezygnują z odpowiedzialności i własnego zdania w sytuacji, gdy tylko ktoś inny może ich w tym wyręczyć. Na różnych etapach szkolenia Trenerzy sprawdzają reakcje psa, od czasu do czasu pozostawiając go bez podpowiedzi. Czasem też zdarza się tak, że już na samym początku przekazywania Przewodnika należy zacząć pracować nad jego samodzielnością. Na szczęście, co wynikało

ze słów Pani Moniki, Zako nie miał z tym większych problemów. Wystarczyło jedynie nieco pracy, aby to we mnie zobaczył on swój nowy punkt informacyjny; dzięki temu ponownie poczuł się pewnie i komfortowo.

Przy dworcu Warszawa Wschodnia udaliśmy się na przystanek, gdzie Zako bardzo ładnie wprowadził mnie do autobusu. Gdy wydałem komendę: „Ławka!”, podszedł do wolnego miejsca i mi je wskazał. Na jednym z dwuosobowych miejsc spoczywał pasażer, który, osaczony przez psa i dwójkę ludzi, natychmiast chciał uciekać. Powiedziałem mu, że nie jest to konieczne i poprosiłem Przewodnika, aby wskazał mi kolejne miejsce. Tym razem oba siedziska były wolne, ale ulokowane bardzo wysoko, tak że siedząc na nich, nogami moglibyśmy swobodnie majtać w powietrzu; dopiero trzeci wybór okazał się być optymalny. Takie spacery po pojeździe komunikacji miejskiej były możliwe, ponieważ wsiadaliśmy na pętli autobusowej – w normalnych okolicznościach powinienem skorzystać z pierwszego wolnego miejsca.

W opisanej powyżej sytuacji osaczony pasażer zdążył się odezwać, a ja zareagować, jednak od innych Opiekunów Przewodników wiem, że – chcąc nie chcąc – mimowolnie nauczyli oni swe psy przeganiać pasażerów komunikacji publicznej z już zajętych miejsc. Stało się tak, ponieważ, gdy padała komenda: „Ławka!”, a Przewodnik się odwracał w stronę najbliższego miejsca, zajmujący to siedzenie pasażer, zapewne kierując się życzliwością, bez słowa ustępował niewidomemu miejsca. Ten ostatni, nie wiedząc, co się stało, a jednocześnie zachwycony sprawnością swojego psa, nagradzał go przepyszny przysmakiem, dając tym samym znak, że wystarczy w autobusie trącić kogoś pyskiem i zgonić go z miejsca, aby otwarty został róg obfitości. Tak wytresowane Przewodniki są w stanie ominąć wolne miejsca, podejść do jednego z tych zajmowanych i trącaniem pyska przegonić siedzącego pasażera, który, nie chcąc robić trudności niewidomemu, odsunie się lub przesiądzie na inne miejsce.

Gdy, po wyjściu z autobusu, ruszyliśmy w stronę kościoła, okazało się, że kolejnym objawem braku wsparcia ze strony Trenerki jest mniejsza precyzja wykonywanych poleceń. Zako zatrzymywał się nieco za daleko od krawędzi schodów, krawężników czy niedokładnie wskazywał drzwi. W takiej sytuacji kilkakrotnie powtarzaliśmy jakiś manewr, tak, aby pies miał świadomość, że coś zrobił źle oraz aby w trakcie powtarzania skorygować jego zachowanie. Zazwyczaj wystarczy tylko jedna taka powtórka, ale w sytuacjach, gdy widzimy, że Przewodnik nadal

nieprecyzyjnie wykonuje polecenie, należy je wykonać ponownie i jeszcze raz. Nie powinniśmy jednak robić tego więcej niż trzy razy.

Tego dnia powodem gorszej pracy Zako mogła być również wysoka temperatura powietrza – po całym chłodnym tygodniu, z dnia na dzień, podskoczyła ona nagle o dziesięć stopni. To, co dla mnie stanowiło przyjemne 25°C w cieniu, bardzo męczyło psa, który nie zdążył zaadaptować się do nowych warunków atmosferycznych oraz gorąca bijącego z rozgrzanych powierzchni chodników. Nawet w czasie, gdy czekaliśmy na autobus, Zako starał się stać w moim cieniu, aby chociaż w ten sposób znaleźć chwilę wytchnienia od prażącego słońca.

Idąc w stronę kościoła, natknęliśmy się na cały szereg fontann. Bardzo zaciekały one Zako, ale – z uwagi na sporo ptaków w okolicy oraz fakt, że woda, wytryskując bezpośrednio z płyt chodnikowych, spływała po nich i wracała do obiegu – nie chciałem, aby pies podchodził bliżej i próbował się jej napić.

Ku naszemu zaskoczeniu, kościół, do którego zmierzaliśmy, okazał się zamknięty. W związku z tym odbyliśmy zwykły trening, kładąc jedynie nacisk na precyzję wykonywania komend oraz samodzielność psa. Na koniec, tym razem tramwajem, wróciliśmy w okolice Dworca Wschodniego. Tam udaliśmy się jeszcze do dyskontu kupić pasztet do konga – ciekaw też byłem, jak Zako poradzi sobie w wąskich przejściach, między półkami, wózkami i ludźmi. Na szczęście, było tak, jak zapowiadała Pani Monika – Przewodnik po prostu podążył za nią. W samym sklepie moje zadanie ograniczało się jedynie – i to tylko w momentach, gdy nie byłem prowadzony – do trzymania ręki na psiej głowie. Oczywiście po to, aby mieć pełną kontrolę nad pyskiem Zako i niepotrzebnie nie wystawiać jego samokontroli na trudną próbę.

Jeszcze krótki spacer fizjologiczny i – po zameldowaniu się w hotelu oraz dotarciu do pokoju – Zako mógł wreszcie z ulgą odetchnąć w chłodzie. Pierwszy raz widziałem, jak Przewodnik cieszy się po zdjęciu upręży. W sumie wcale mu się nie dziwię: kto z nas nie cieszy się na koniec pracy? Z uwagi na wysoką temperaturę, na popołudniowy trening umówiliśmy się dopiero na godzinę dziewiętnastą, Zako mógł więc sobie odpocząć, a ja udać się na obiad do hotelowej restauracji. Oczywiście, wcześniej nieomalże doprowadziłem psa do ekstazy, przygotowując dla niego kong z pasztetem, a następnie wręczając mu go wraz z komendą: „Zostań!”. Wyglądało na to, że wypełniony pasztetem kong będzie najbardziej wyczekiwaną rzeczą w życiu mojego Przewodnika; jeszcze długo po moim

powrocie z restauracji, ze strony wygodnie leżącego Zako dochodziły mnie pełne zachwyty odgłosy liźnięć i posapywań.

Gdy, po jakimś czasie, już wyraźnie wypoczęty Zako przyszedł do mnie, domagając się pieśzcot i zabawy, postanowiłem przeciwzyć z nim cały szereg podstawowych komend posłuszeństwa. Psiakowi bardzo się ten pomysł spodobał, pewnie dlatego, że nieodzowną częścią zabawy stały się jego smakołyki. Jak tylko zobaczył, że przypinam je do paska, zaczął po mnie skakać tak, że w duecie udało nam się nawet wykonać kilka tanecznych pas d'action, jednak, na komendę: „Równaj!”, błyskawicznie znalazł się przy moim lewym udzie. Nie zdążyło jeszcze wybrzmieć wypowiedziane przeze mnie: „Siad!”, a Przewodnik wzorcowo siedział już przy mojej nodze; ta zabawa ewidentnie mu się podobała. Po chwili pojawił się jednak mały zgrzyt: słysząc komendę: „Waruj!” lub „Połóż się!”, Zako jedynie spoglądał na mnie wzrokiem typowego studenta, jakby wszystko rozumiał, tylko nie bardzo wiedział, czego od niego oczekuję. Jak tylko wieczorem spotkałem się z Panią Moniką, to od razu podzieliłem się z nią moim odkryciem. Okazało się, że ona sama była nie mniej zdumiona niż ja. Z niewiadomych dla nas względów, Przewodnik przestał reagować na komendę, co do której sam byłem absolutnie pewien, że wcześniej wykonywał ją bez najmniejszego wahania. Korzystając z okazji, Trenerka od razu pokazała mi jak samemu zacząć uczyć psa nowych komend, które w przyszłości mogłyby okazać się potrzebne. Ustaliliśmy również, że oboje popracujemy nad uzupełnieniem utraconych umiejętności – w końcu to jedna z podstawowych komend posłuszeństwa.

Dalszy trening odbyliśmy na Sadybie. Temperatura była już znacznie niższa, co przełożyło się na dokładność i precyzję Przewodnika. Zako w wieczornym chłódzie pracował z widoczną łatwością i przyjemnością. W tym dniu słońce zachodziło już po godzinie dziewiętnastej, ale z moich obserwacji wynikało, że na psiaku nie robiło to większego wrażenia – nawet przez słabo oświetlony park prowadził pewnie i bez wahania.

Bardzo miłym i przydatnym zachowaniem Zako z mojego punktu widzenia jest chęć prowadzenia mnie również w trakcie spacerów fizjologicznych. W tym czasie oczywiście nie ma on na sobie uprząży, porusza się na luźnej, automatycznej smyczy, a mimo tego, w newralgicznych miejscach, jak krawędź schodów w dół, krawężniki itd., zaznacza mi je w taki sam sposób jak w trakcie pracy. Podobno sporo Przewodników tak robi, ale nie wszystkie, cieszę się więc, że Zako należy do tej pierwszej grupy. Oczywiście, gdy tylko razem dojdziemy do jakiegoś

trawnika, Zako hasa po nim jak typowy psiak w jego wieku. Na szczęście, udało mi się go już nauczyć, żeby w sytuacji, gdy smycz owinie nam się dookoła jakiejś przeszkody w rodzaju drzewa, latarni czy znaku drogowego, na komendę: „Cofaj!”, wrócił do mnie po własnych śladach. Na kolejnych spacerach z prawdziwą przyjemnością obserwowałem wzorowe zachowanie Zako. Całkowicie zniknęły jego niekontrolowane sprinty oraz wbieganie ludziom pod nogi, które tak nas zaskoczyły w trakcie drugiego spotkania. Ewidentnie ta kwestia została gruntownie przepracowana.

Tego wieczoru Zako zrehabilitował się w moich oczach za poranną wpadkę, z nierozpoznaniami mnie na peronie. Wieczorem, będąc w pokoju, w pewnym momencie poszedłem do łazienki i zamknąłem za sobą drzwi – gdy tylko psiak to zauważył, przybiegł pod drzwi i zaczął pod nimi pisać. Gdy się tylko do niego odzywałem, przestawał, ale wystarczyło, żebym zamilkł, a on ponownie zaczynał popiskiwać. Zdziwiło mnie to o tyle, że gdy wcześniej, w trakcie mojego obiadu, został w pokoju sam, w ogóle nie hałasował. Postanowiłem więc dokładnie się temu przyjrzeć w trakcie śniadania, gdy ponownie zostanie sam. Pomógł mi w tym bardzo uprzejmy pokojowy, przygotowujący na moim piętrze pokoje dla nowych gości. Idąc na śniadanie, poprosiłem go, aby zwrócił uwagę, czy pozostawiony samemu sobie Przewodnik będzie pisał podczas mojej nieobecności. Gdy wracałem, poinformował mnie, że Zako był cichutko. Zapewne dużą rolę odegrał w tym magiczny, pasztetowy kong, ale po otwarciu drzwi od pokoju i tak czekała na mnie eksplozja radości – zatem, pomimo małego potknięcia na dworcu, miałem nadzieję, że nawiązywanie przez nas relacji postępuje w dobrym kierunku.

Rano następnego dnia spakowałem się, „ogarnąłem” pokój i spotkałem się z Panią Moniką, która przysłała zabrać nas na kolejny trening. Po wymeldowaniu się z hotelu, w trakcie jazdy samochodem, ustalaliśmy plan zajęć na ten dzień – dla mnie najważniejszą opcją były pociągi, a dokładnie wsiadanie i wysiadanie z nich. Postanowiliśmy więc od tego zacząć i – po zaparkowaniu przy dworcu Wschodnim – udaliśmy się na perony, w poszukiwaniu odpowiedniego składu.

Dworce Wschodni i Zachodni w Warszawie stanowią idealne miejsca do przeprowadzania tego typu ćwiczeń. Bardzo często pociągi zaczynają lub kończą na nich swoje trasy, a to z kolei sprawia, że długo stoją na peronach. Oczywiście, na sam trening psa, Fundacja może u przewoźnika zamówić konkretny wagon, gdzie bez jakichkolwiek przeszkód Trenerzy mogą ćwiczyć do woli, nawet z kilkoma psami na zmianę, jednakże w sytuacji, gdy Przewodnik jest już



przekazywany przyszłemu Opiekunowi, lepszym rozwiązaniem jest prowadzenie zajęć w warunkach jak najbardziej zbliżonych do naturalnych. W ten oto sposób znaleźliśmy się na peronie, czekając na pierwszy skład kończący swój bieg lub mający przed odjazdem kilka minut w zapasie.

Zgodnie z przewidywaniami, nie musieliśmy długo czekać. Pociąg jadący z Łodzi kończył swój bieg, a jego kierowniczka, widząc, jak ćwiczymy z Zako wsiadanie i wysiadanie, sama podeszła nas poinformować, że skład postoi na Dworcu Wschodnim jeszcze czterdzieści minut i że spokojnie możemy ćwiczyć dalej.

Pierwszym pociągiem, do którego wsiadałem z Zako, był DART, posiadający wagony nowego typu. Wejścia do nich są niższe niż w klasycznych pociągach, a do tego szersze niż we włoskich Pendolino. Oczywiście cała procedura wyglądała dokładnie tak, jak uprzedzała mnie Pani Monika – najpierw proszę psa o odnalezienie drzwi, po ich wskazaniu każę psu zostać na miejscu, a sam z luźno trzymaną smyczą wsiadam do wagonu, gdy już jestem w środku i upewniłem się, że pies ma wolną drogę, każę mu wskoczyć do środka. Dokładnie tak samo wygląda opuszczanie pociągu. Najpierw ja, a potem pies.

Tyle teorii – w praktyce wyglądało to nieco inaczej. Zaczęło się od konsternacji, ponieważ gdy tylko Zako wskazał mi drzwi, okazało się, że są one zamknięte i muszę znaleźć guzik, który te drzwi otwiera. Gdy w końcu zostały one otwarte, zacząłem nogą wymacywać schody, a ręką szukać jakiejś poręczy, której mógłbym się uchwycić w trakcie wsiadania. Dobra, znalazłem jedno i drugie, zatem ostrożnie wdrapuję się do wagonu; gdy jestem już w środku i przejęty ściągam lekko dotychczas luźno wiszącą smycz, dociera do mnie, że coś poszło nie tak. Utwierdza mnie w tym Zako, trącający mnie nosem w najmniej szlachetną część pleców, sygnalizując w ten sposób, że należy mu się nagroda za tak zgrabne wejście do wagonu. Przyznam, że – z przejęcia – nawet nie zauważyłem, gdy pies najwyczajniej w świecie spokojnie wsiadł za mną do pociągu i – w trakcie moich wygibasów – ustawił się za moimi plecami. Myślę, że Pani Monika miała wtedy niezły ubaw, lecz muszę jej jednak oddać, że nie okazała tego w żaden sposób.

Oczywiście, skoro wcześniej nie kazałem Przewodnikowi zostać na peronie, to po prostu poszedł za mną i tyle. Jak się okazało po chwili, również sam wagon, wysokość podłogi, schody czy szerokość wejścia nie stanowiły dla Zako żadnego problemu – już wkrótce na komendę wsiadał i wysiadał z pociągu bez najmniejszego problemu.

Gdy doszliśmy do wniosku, że ten typ pociągów niczym psiaka nie zaskoczy, zaczęliśmy się rozglądać za jakimś innym, klasycznym składem. Niestety, ku naszej konsternacji, jeśli już się jakiś pojawiał, to natychmiast odjeżdżał i nie mieliśmy żadnych szans na poćwiczenie w innych typach wagonów. W związku z tym ustaliliśmy, że – pomimo niedzieli – spróbujemy wejść do kościoła i chwilę tam poćwiczyć.

Po opuszczeniu dworca wsiedliśmy do autobusu i – po przejechaniu kilku przystanków – przeszliśmy spory kawałek, w międzyczasie sprawdzając, jak Zako wykonuje standardowe komendy. Z przyjemnością stwierdziłem, że tego dnia pracował perfekcyjnie; dzięki temu Pani Monika pokazała mi również technikę poruszania się z psem z wykorzystaniem jednej ręki. Zwykły tryb pracy wygląda tak, że uprzęż trzymamy lewą ręką, a smycz prawą, jeśli jednak chcemy mieć wolną jedną dłoń, na przykład, aby móc nieść siatkę z zakupami lub do ciągnięcia za sobą walizki, zarówno smycz, jak i pałak uprząży, musimy trzymać lewą ręką. Przez chwilę było to dla mnie dziwne uczucie, ale dość szybko się przyzwyczaiłem. Oczywiście, zanim miałem móc swobodnie chodzić w ten sposób z Przewodnikiem, najpierw musiałem opanować podstawową technikę, jednak od tej pory już wiedziałem, jak prawidłowo przejść na prowadzenie jedną dłonią.

Zanim weszliśmy do kościoła, zabraliśmy jeszcze Zako na spacer fizjologiczny. Akurat, gdy psu zapinałem uprzęż, po skończonej mszy z kościoła zaczęli wychodzić wierni. Pomimo tego, że większość z nich rozeszła się w swoją stronę, przed świątynią i tak pozostał spory tłum. Mimo tego, Pani Monika poprosiła, abym spróbował się dostać do wnętrza świątyni. Przyznam, że z dużą dozą niepewności wydałem Przewodnikowi komendę: „Naprzód!” i – pamiętając oraz stosując się do zasad poruszania się w tłumie – powoli podążałem za psem. Był to kolejny raz, w którym Zako zaskoczył mnie swoją zwinnością i roztropnością: gdy wydałem mu komendę: „Naprzód, górrra!”, obszedł schody z boku, tak aby nie przedzierać się przez ludzi, którzy na nich stali, swobodnie wprowadził mnie bokiem i zaprowadził do drzwi świątyni. Dalej wystarczyło pójść tylko do przodu i poprosić Przewodnika, aby odnalazł ławkę; gdy tylko do niej wszedłem, puściłem pałak uprząży i usiadłem, Zako grzecznie położył się obok.

Śmiałem się później, że w kościele Zako prowadzi jak jakiś tresowany pies biskupa, pół dnia spędzający w domu Pana. Dowiedziałem się wtedy, że Przewodniki za każdym razem szkolone są do odnajdywania ławek w świątyni, jednak z zabieraniem psów do kościoła wiąże się kilka niedogodności. Przede wszystkim

należy pamiętać, że w świątyniach podłoga najczęściej jest kamienna i zimna, osoby, chodzące z Przewodnikiem do kościoła, powinny zabierać mu koc. Tu jednak pojawia się inny problem: psy są nauczone, aby gdy wstaje ich Opiekun, one również wstawały. Niestety, w trakcie mszy wierni regularnie wstają i siadają po kilka razy – gdy Przewodnik, obserwując zachowanie Opiekuna, wstaje i kładzie się na zmianę, to – choć wygląda to bardzo pobożnie – w tym czasie z kocem, na którym leżał, dzieją się prawdziwe cuda. Opiekun psa musi o tym pamiętać i za każdym razem poprawiać poślanie. Dopiero po kilku miesiącach wspólnego uczęszczania na msze, Przewodnik uczy się, że wstawanie Opiekuna niekoniecznie oznacza początek pracy.

Po wyjściu z kościoła poszliśmy na obiad do pobliskiej restauracji. Niestety, w środku było tyle ludzi, iż doszliśmy do wniosku, że szkoda nam tracić czas, który możemy poświęcić na trening, na czekanie w kolejce. Zdecydowaliśmy więc wrócić na dworzec i ponownie zapolować na interesujące mnie pociągi. Oczywiście, w drodze powrotnej Zako co chwilę pokazywał mi, że w takim upale w ogóle nie chce mu się pracować; najchętniej wróciłby do kościoła i rozciągnął się na chłodnej podłodze. Była to jednak dla mnie ostatnia szansa, aby po Warszawie pochodzić pod czujnym okiem Trenerki, więc – choć bez entuzjazmu – w drodze na Dworzec Wschodni musiał jeszcze trochę poćwiczyć.

Gdy w końcu tramwajem dotarliśmy na dworzec, okazało się, że na jednym z peronów czekał już na nas skład starego typu, któremu do odjazdu pozostało jeszcze pół godziny. Nie tracąc czasu, zabraliśmy się za trening wsiadania i wysiadania. Niestety, bardzo szybko okazało się, że mój Przewodnik, podobnie jak i ja, nie przepada za tymi wagonami. Wąskie, strome wejścia, do których prowadzą stalowe, ażurowe schody w żaden sposób nie budziły zaufania Zako. Oczywiście, bez protestu zostawał na peronie i czekał, aż ja sam wgramolę się do pociągu, gdy jednak zapraszałem go, aby poszedł w moje ślady, zaczynał tylko piszczeć. Musiałem kilka razy ponowić komendę, żeby psiak do mnie dołączył. Podobnie wyglądała sytuacja przy wysiadaniu – najpierw grzecznie czekał, następnie była chwila na krótki koncert i dopiero, ponaglany przeze mnie, jednym susem wyskakiwał na peron.

Niestety, sytuacja powtarzała się za każdym razem, gdy wsiadałem i wysiadałem z wagonu – Przewodnik ewidentnie bał się wchodzić do tego typu pociągów, ale posłusznie wskakiwał i wyskakiwał z nich, ilekroć go o to poprosiłem, po wyjściu z wagonu otrzepując się energicznie i zrzucając z siebie stres. Aby nie zachwiać

psiego zaufania we własne siły, zabraliśmy Zako jeszcze na inny peron, aby mógł tam kilka razy wejść i wyjść z dobrze znanego mu wagonu typu DART. Oczywiście, po każdej natychmiastowej reakcji na komendę, był obficie nagradzany przysmakami i całą lawiną pieszczot; obiecywałem sobie jednak, że, jeśli to tylko będzie możliwe, składy starszego typu będziemy omijać szerokim łukiem.

Takim właśnie mocnym akcentem zakończyliśmy wspólne treningi w Warszawie. Pani Monika odprowadziła mnie razem z Zako do dworcowego McDonald's, gdzie miałem coś zjeść i poczekać na swój pociąg. Ku mojemu zdziwieniu, gdy chciała zabrać Przewodnika i pójść do samochodu po moje rzeczy, psiak się do mnie przytulił i nie chciał ruszyć się z miejsca. Głaszcząc i tuląc go na pożegnanie, obiecałem mu wtedy, że za niespełna dwa tygodnie zjawię się po niego i zabiorę ze sobą do jego nowego domu.

# Przekazanie psa

Kolejne dwa tygodnie spędziliśmy bardzo aktywnie. Wraz z Alicją, podekscytowani wizją przybycia do nas nowego domownika, zaczęliśmy szeroko zakrojone przygotowania. Oczywiście, na pierwszym miejscu znalazło się jedzenie – przecież, gdy w końcu Zako do nas zawita, musi na niego czekać pełna miska, a najlepiej dwie, bo przecież druga na wodę. Gdy psina się posili, to na pewno będzie chciała gdzieś się wygodnie ułożyć, a chłodne kafelki w przedpokoju nie są do tego najlepszym miejscem.

I tak od słowa, do słowa, zaczęło się nasze zakupowe szaleństwo. Oczywiście próbowaliśmy je jakoś trzymać w ryzach, na przykład pytając o najlepsze karmy i sposoby żywienia na facebookowej grupie Pies Przewodnik. Jak to na specjalistycznych grupach dyskusyjnych bywa, zamiast otrzymać proste odpowiedzi, dowiedzieliśmy się o ogromnej liczbie wysokogatunkowych karm dla zwierząt – z istnienia których wcześniej w ogóle nie zdawaliśmy sobie sprawy. Dopóki człowiek sam nie ma własnego psa, to bombardowany reklamami wie jedynie, że są tylko trzy słuszne karmy: Chappi, Pedigree i Friskies.

Nagle okazało się również, że wybór jedzenia dla psa, w przypadku Przewodników, obarczony jest wieloma dodatkowymi warunkami. Ponieważ jest ono wykorzystywane również do skarmiania psa w trakcie pracy, groszki suchej karmy nie mogą być zbyt duże, aby zbyt szybko się nie kończyły, nie mogą być również zbyt małe, aby Przewodnik poczuł, że w ogóle otrzymał jakąś nagrodę. Najlepiej, aby były na tyle duże, aby w razie potrzeby dały się podzielić na pół – to na wypadek, gdyby nagle okazało się, że do pracy z psem pozostało nam zbyt mało groszków. Do tego karma nie może posiadać zbyt intensywnego

zapachu, ponieważ każdy zapach pozostanie na dłoniach Opiekuna, a on przecież przebywa z czworołapem w miejscach publicznych; dlatego też wszystkie karmy z dodatkiem ryb odpadają w przedbiegach. Ten sam problem dotyczy tłuszczu, jaki znajduje się w karmie: musimy wybrać taki jej rodzaj, który nie będzie zostawiał na naszych palcach cienkiej, tłustej warstwy – w końcu rękami dotykamy różnych rzeczy i nawet jeśli nam samym tłuszcz nie przeszkadza, to przecież tych samych przedmiotów będą dotykać później inne osoby.

Ostatecznie na początek zdecydowaliśmy się na karmę polecaną przez Panią Monikę, czyli Brit Care dla dużych i dorosłych psów. Powody tego wyboru były dwa: przede wszystkim Zako był już do niej przyzwyczajony, więc nie groziły nam na starcie jakieś sensacje żołądkowe, po drugie, ta karma bardzo mu służyła. A po czym to można było poznać? Sam się zdziwiłem jak prosta i banalna była odpowiedź na to pytanie. Jeśli odchody psa są małe i prawie bez zapachu, oznacza to, że jego organizm maksymalnie wykorzystuje i przyswaja wszystkie wartości znajdujące się w danej karmie. Jeśli jednak odchody są duże i śmierdzące, to należy jak najszybciej zmienić karmę na inną.

Od innych Opiekunów Przewodników dowiedzieliśmy się również, że mniej więcej co pół roku powinniśmy zmieniać rodzaj karmy. Wynika to z samego sposobu produkcji suchych karm dla zwierząt – każda z nich zawiera pewien zestaw elementów, niezbędnych do prawidłowego funkcjonowania psiego organizmu, niestety, są to zawsze te same ilości i stężenia, co nie daje czasu, na przykład wątrobie, na usunięcie z organizmu nadwyżki niektórych zbędnych substancji. Dlatego też, zgodnie z zaleceniami weterynarzy, co sześć miesięcy powinno się zmienić psu rodzaj karmy. Oczywiście, w ten sposób można naprzemiennie używać dwóch sprawdzonych rodzajów pożywienia, warto też, w momencie samej zmiany, przez kilka dni mieszać starą karmę z nową, systematycznie zmniejszając ilość pierwszej, na rzecz gramatury drugiej.

Oczywiście od karmy tylko się zaczęło. Jak już wybraliśmy rodzaj pożywienia, to trzeba było zdecydować, gdzie i w czym będziemy ją trzymać. Karmy dla dużych psów opłaca się kupować jedynie w dużych workach, po 12-15 kg. Worki te często posiadają zamknięcie, ale pełni ono jedynie formę zabezpieczenia przed przypadkowym rozsypaniem zawartości – nie powstrzymają one ani zapachu karmy przed wydostaniem się na zewnątrz, ani wilgoci przed dostaniem się do środka, a od tego już tylko krok do zjełczenia pożywienia dla naszego pupila. Tak więc bardzo rozsądnym rozwiązaniem jest zakup pojemnika

na psią karmę – i tu znów produktów jest do wyboru, do koloru. Ja z własnego doświadczenia mogę tylko podpowiedzieć, iż warto zwrócić uwagę na wielkość i kształt opakowania oraz czy posiada ono jakieś dodatkowe drzwiczki, oraz kółka u spodu. Zawsze warto zaopatrzyć się w większy pojemnik – przykładowo, jeśli kupujemy worki karmy po 15 kg, to lepiej od razu wybrać pojemnik na 20 kg, ponieważ, gdy będzie kończył się pierwszy worek, spokojnie można dokupić kolejny i w całości wsypać go do pojemnika. Również kółka mogą okazać się bezcenne, szczególnie w sytuacji, gdy mamy sposobność pojemnik łatwo wsuwać i wysuwać z jakiegoś niewidocznego miejsca, na przykład spod blatu stołu. Należy też pamiętać, że 15 kg dla drobnej Opiekunki Przewodnika, może stanowić zbyt duży ciężar do przenoszenia.

Nasz zakupowy amok, przynajmniej na chwilę, powstrzymała obietnica Pani Moniki, że gdy przyjadę po Zako do Warszawy, to razem odwiedzimy hurtownię z szerokim asortymentem psich produktów. Jeszcze tylko rzutem na taśmę kupiliśmy 3, słownie trzy, Dry Bedy, czyli takie płaskie i włochate legowiska dla Przewodnika. A dlaczego trzy? Bo nie mogliśmy się zdecydować, jaki kolor ma mieć to jedno jedyne i jaki wzór. Czy ma na nim widnieć jedna psia łapa, czy kilka mniejszych, jak po przejściu psa, czy w ogóle nie powinno ono posiadać żadnych wzorów? Oto dylematy pierwszego świata.

W końcu nadszedł ten długo wyczekiwany dzień. Po niespełna dwóch tygodniach ponownie wsiadłem do tego samego pociągu co zwykle i wyruszyłem w stronę Warszawy. W trakcie podróży miałem wrażenie, że wszyscy mi się przyglądają. Pewnie brało się to stąd, że po prostu nie mogłem przestać się radośnie szczerzyć do całego świata. Tego dnia wszystko mi sprzyjało. Okazało się również, że Fundacja Vis Maior mieści się zdecydowanie bliżej Dworca Zachodniego, niż Wschodniego, dzięki czemu z pociągu wysiadłem pół godziny wcześniej niż zwykle. Nawet ulewny deszcz, czekający na mnie na peronie, nie mógł popsuć mi humoru, a nawet gdyby w jakiś sposób mu się to udało, to radosny pisk i skamlenie Zako, które usłyszałem po wejściu do samochodu Pani Moniki, na pewno by mi go poprawiły.

Do siedziby Fundacji dojechaliśmy dosłownie w kilka minut. Na spotkanie poszedłem już razem z Zako, a tam czekały na nas Pani Prezes Fundacji – Jolanta Kramarz oraz Pani Joanna Witkowska, koordynatorka programu przekazywania psów. Obie panie przywitały się z nami serdecznie i zaprosiły do sali konferencyjnej.

Gdy już pozbyliśmy się wierzchnich okryć i każdy wybrał sobie kawę lub herbatę, rozpoczęło się coś w rodzaju wywiadu. Pytany byłem o własne odczucia co do psa, ocenę moich postępów w poruszaniu się z Przewodnikiem, jakie dostrzegam słabe i mocne strony każdego z nas oraz jakie elementy naszej międzygatunkowej współpracy uważam za dobre, a nad jakimi według mnie musimy jeszcze razem popracować. Wspomniałem o moich obawach związanych ze schodzeniem z psem ze schodów. Uważałem, że to jest nasze słabe ogniwo i że tu będziemy musieli się przyłożyć do lepszej pracy. Starłem się być jak najbardziej szczery – z jednej strony byłem to winien Fundacji, która zdecydowała się przekazać mi Zako, a z drugiej strony cały czas miałem świadomość, że Pani Monika może w każdej chwili zweryfikować moje opinie. Na szczęście, jak się okazało, nasze zdania były zbieżne i jedyną uwagą, jaką w formie dobrej rady otrzymałem od Trenerki w trakcie tego swoistego konsylium, była ta, że powinienem być bardziej stanowczy przy wydawaniu poleceń Przewodnikowi. Na szczęście, jest to typowy problem nowych Opiekunów psów i każdy, kto chce dobrze współpracować ze swoim pupilem, musi się tego nauczyć.

Po oficjalnej rozmowie przyszedł czas na sprawdzenie umiejętności samego Przewodnika. Pani Prezes jako pierwsza wybrała się z Zako na przechadzkę, a ja w tym czasie mogłem z Joanną Witkowską wyjaśnić niektóre wątpliwości związane z formalną stroną umowy, którą niebawem miałem podpisać. Oczywiście, kilka dni wcześniej otrzymałem od Fundacji umowę w wersji elektronicznej, abym mógł się z nią wcześniej zapoznać, koordynatorce zależało jednak na dokładnym wyjaśnieniu mi jednej, za to bardzo istotnej nowości, jaka pojawiła się w naszej umowie. Okazało się, że Fundacja nie przekazywała mi psa na własność, lecz jedynie w tzw. użyczenie. W kontekście korzystania z Przewodnika ta zmiana nie miała żadnego znaczenia, jednak w sytuacji, gdyby Fundacja dowiedziała się, że Opiekun zaniedbuje psa, nieprawidłowo odżywia lub w inny sposób źle go traktuje, dzięki tym zapisom będzie w stanie odebrać Przewodnika i przekazać go w inne, bardziej troskliwe lub kompetentne ręce. Organizacja dopiero po raz drugi przeprowadzała taką procedurę, więc zależało jej na dokładnym wyjaśnieniu mi wszystkich niuansów. Po pewnym czasie panie się zmieniły, dzięki czemu ja mogłem porozmawiać z Prezeską, a Zako na kolejną przechadzkę zabrać Panią Joannę. Po powrocie tej ostatniej mogliśmy wreszcie podpisać umowę użyczenia psa.



Po podpisaniu dokumentów przyszedł czas na oficjalne wręczenie certyfikatu psa Przewodnika. Oczywiście towarzyszyły temu uściski dłoni oraz błyski flesza aparatu – od obecnych na sali przyjąłem gratulacje oraz życzenia powodzenia, a sam serdecznie podziękowałem zarówno Pani Prezes, jak i Trenerce, która tak doskonale przygotowała dla mnie psa. Przyznam, że będę bardzo miło wspominał ten moment i to nie tylko z uwagi na samego Zako, próbującego znaleźć się na każdym zdjęciu, ale na szczerą i swobodną atmosferę, która na pewno wynikała stąd, iż zarówno Pani Prezes Jolanta Kramarz, jak i Pani Joanna Witkowska, są Opiekunkami własnych Przewodników.

W tym miejscu koniecznie muszę się pochwalić, że certyfikat, jaki otrzymaliśmy z Zako, był pierwszym wydanym przez Vis Maior w dwóch językach, polskim i angielskim. Fundacja, wiedząc doskonale, że bardzo chciałbym otrzymać taką wersję dokumentu, do samego końca nie pisnęła słowa, tylko po to, aby sprawić mi dodatkową niespodziankę. Ze swej strony bardzo to doceniam – zarówno fakt, że komuś chciało się wykonać dodatkową pracę i w Ministerstwie zorganizować odpowiednią zmianę wzoru certyfikatu, jak i poprzez samą niespodziankę i chęć sprawienia mi dodatkowej przyjemności.

Warto również wspomnieć, że de facto otrzymałem dwa certyfikaty. Jeden, duży, zalaminowany – to wersja dwujęzyczna. Jest on formatu A4 i na co dzień okazałby się dość nieporęczny, na szczęście dostałem również pomniejszoną wersję w języku polskim, wielkości karty kredytowej, która od razu trafiła do mojego portfela i od tamtej pory zawsze mam ją przy sobie.

Udając się na to spotkanie, spodziewałem się, że potrwa ono nie dłużej niż pół godziny. Tymczasem, w siedzibie Fundacji spędziliśmy bite dwie godziny. Niestety my mieliśmy dalsze plany i jeszcze wiele rzeczy do załatwienia tego dnia, więc w końcu, po serdecznym pożegnaniu się z obiema przedstawicielkami Vis Maior, wraz z Zako oraz Panią Moniką wybraliśmy się na te obiecane i długo wyczekiwane zakupy.

Na szczęście, wcześniej razem z Alicją przygotowaliśmy listę najbardziej, przynajmniej według nas, niezbędnych do kupienia rzeczy. Dzięki temu zakupy odbyły się w miarę szybko i sprawnie – z listą w telefonie, po kolei wybieraliśmy zapasowe obroże, smycze klasyczne i automatyczne, silikonowe miski i bidony na podróż, kilka różnych saszetek Trenerskich na psią karmę, worki na odchody, chłonne ręczniki do wycierania psa, adresówkę, błyskający czerwonym światłem flasher, mały dzwoneczek na obroże, furminator, szczotkę i rękawicę do czesania,

linę do zabawy, krople na kleszcze, przysmaki i sporo innych rzeczy, których już nie pamiętam, a na które wydałem wcale nie taki psi grosz. Pamiętam za to, że od Fundacji Vis Maior, oprócz Przewodnika, jego książeczki zdrowia i certyfikatu, dostałem również wyprawkę, na którą oprócz uprząży składały się m.in. posłanie, obroża, smycz i kaganiec dla Zako. Mnie najbardziej ucieszyła własnoręcznie zrobiona przez Panią Monikę smycz oraz kaganiec, bo oba akcesoria zostały dopasowane do mojego psa. Niosąc te wszystkie fanty do samochodu, bardzo się cieszyłem, że Pani Monika jeździ mini furgonetką.

Spod hurtowni skierowaliśmy się do lecznicy weterynaryjnej. W gabinecie prześwietlonej Pani weterynarz mogliśmy zważyć Zako, podać wszystkie dane, które chcielibyśmy przypisać do chipa umieszczonego pod skórą Przewodnika, poprosić o wystawienie zaświadczenia o szczepieniu na wściekliznę oraz o potwierdzającą je blaszaną zawieszkę na obrożę. W gabinecie dowiedziałem się również, że psy przekazywane przez Fundację Vis Maior, posiadają chipy rejestrowane w międzynarodowej bazie Safe Animal – w samej umowie przekazania Przewodnika widnieje unikalny i indywidualny numer chipa, który – po rejestracji psa – wystarczy wpisać w wyszukiwarkę na stronie [www.safe-animal.eu](http://www.safe-animal.eu), aby dowiedzieć się wszelkich szczegółów na temat danego czworonożca. W moim wypadku jest to imię psa, jego rasa i umaszczenie, informacja, że jest to Przewodnik, moje imię i nazwisko oraz dane kontaktowe. Gdyby kiedykolwiek Zako się zgubił, nie mając na sobie żadnej adresówki, wystarczy, aby weterynarz lub pracownicy schroniska odczytali numer chipa, żeby poznać wszystkie podstawowe informacje o psie i mogli się ze mną skontaktować.

Po załatwieniu wszystkich formalności, przed przychodnią weterynaryjną spotkaliśmy się z drugą Trenerką Fundacji, Panią Moniką Krzezińską. Poprosiła ona o możliwość poobserwowania naszego duetu w akcji – chciała porównać zachowania obu chesapeaków – Zako oraz szkolonej przez nią Buni. W efekcie odbyliśmy sympatyczną przechadzkę, po części po pobliskich ulicach, a po części po niewielkim parczku znajdującym się w pobliżu.

Po spacerze, ponieważ zbliżała się godzina piętnasta, doszliśmy do wniosku, że to już najwyższa pora, aby opuścić stolicę. Idealnie udało nam się uciec przed popołudniowym szczytem – za miastem zatrzymaliśmy się jedynie na tankowanie oraz szybki obiad. Niestety, przed deszczem już się uciec nie udało; towarzyszył nam bez przerwy przez kolejne cztery godziny podróży. Jeszcze w jej trakcie otrzymałem SMS z serwisu Safe Animal, że Zako został poprawnie zarejestrowany

w systemie. Co ciekawe, padać przestało dokładnie w chwili, gdy zajechaliśmy pod nasz dom. Dzięki temu ja, Przewodnik i wszystkie kupione przeze mnie gadżety, dotarliśmy na miejsce całkowicie suchą łapą.

Po ustaleniu szczegółów porannego treningu oraz moich podziękowaniach za szybkie i wygodne odstawienie nas do domu pożegnaliśmy Panią Monikę. Podekscytowany zdałem Alicji relację z wydarzeń minionego dnia. Nadal trudno było mi uwierzyć, że to już się stało i że Zako jest razem z nami. W końcu jednak dopadło mnie zmęczenie, więc przyszła pora na powiedzenie: „Dobranoc!” i pierwszą noc pod wspólnym dachem z naszym nowym domownikiem.



# Pierwsze chwile w nowym domu

Przyznam, że trochę się obawiałem pierwszego wyjścia z Zako w moim miejscu zamieszkania. Sporo się nasłuchiwałem od znajomych, posiadających Przewodniki, jak to muszą się „użerać” z ludźmi i żeby – najlepiej już na samym początku – ustalić wyraźne granice. Żadnego głaskania, cmokania czy wyciągania rąk – w teorii brzmi to dość prosto. Problem pojawia się jednak w sytuacji, gdy musimy takie podejście zastosować wobec osób, które doskonale znamy, często od wielu lat – i dla których nic nie znaczy jakiś tam napis na psiej uprzęży. Obawiałem się, że nawet bardzo stanowcze postawienie sprawy niczego nie zmieni; część Opiekunów Przewodników mówiła mi wprost, iż czasem należy być wręcz nieprzyjemnym, a nawet niegrzecznym, wobec osób okazujących zbyt duże zainteresowanie naszemu psu.

Roztrzęsając to wszystko w głowie, w piątek rano przywitałem Panią Monikę, która wpadła do nas na poranną kawę. Taki spokojny start i możliwość porozmawiania przed wyjściem z domu akurat mi bardzo pomogły – mogłem dzięki temu nurtujące mnie obawy odsunąć na bok i zaplanować pierwszy oraz kolejne treningi. Oczywiście, w głowie miałem już przygotowanych kilka różnych wariantów tras oraz miejsc, które pod czujnym okiem Trenerki chciałbym odwiedzić z Zako, jeszcze w trakcie podróży omówiliśmy te najbardziej interesujące lokalizacje. Do mnie należało tylko określenie dróg, jakimi chciałbym do nich dotrzeć.

Na pierwszy ogień poszedł Urząd Pocztowy. Trasa była mi znana doskonale, lecz czym innym jest spacer z białą laską, a czym innym przejście z psem. Starłem się sam odnajdywać sposoby, na przykład na wskazanie Przewodnikowi konkretnych

alejek, schodów czy drzwi. Dopiero gdy miałem z tym problem, Pani Monika dostrzegła jakieś inne, prostsze rozwiązanie, a także podpowiadała mi, jak należy je wdrożyć i wyegzekwować od psa.

Następny był sklep spożywczy, gdzie chciałem zakupić marchewki, za którymi Zako wprost przepada. Było to również jedno z tych miejsc, gdzie obawiałem się reakcji sprzedawczyń – jak się na szczęście okazało, zupełnie niepotrzebnie. Przewodnik, swoim wzorowym zachowaniem, w kilka sekund całkowicie je oczarował. Dalej poszło już „z górki”. Odhaczałem kolejne punkty z mojej listy: gadający bankomat, przystanki autobusowe, ulubiona piekarnia, przychodnia lekarska, gabinet weterynarza, sklep zoologiczny czy salon groomera. Wszędzie wchodziłem z Zako i nigdzie nie spotkałem się z żadną niechęcią lub chociażby zawahaniem czy Przewodnik może znajdować się w takim akurat miejscu.

Pomimo wzorowej pracy Zako, ten pierwszy przydomowy trening był dla nas bardzo ciężki. Dla psa było to zupełnie nowe miejsce. Co więcej, przez cały czas padał deszcz, zmuszając mnie do noszenia kaptura na głowie – zasłonięte uszy znacząco ograniczają osobie niewidomej możliwości percepcji bezpośredniego otoczenia, do tego odgłos kropel, uderzających o kaptur, także utrudnia wychwycenie jakichkolwiek odgłosów świadczących o zbliżaniu się innych pieszych czy nawet jadących samochodów. Dlatego też, gdy po nieco ponad dwóch godzinach w końcu dotarliśmy do domu, obaj z Przewodnikiem byliśmy zmęczeni i – w zależności od punktu widzenia – przemoczeni do suchej nitki lub też futrzanego włosa. Niestety, na ten dzień nie udało mi się uciec od zawodowych obowiązków, więc przez jakiś czas musiałem jeszcze zająć się pracą; dzięki temu mogliśmy – przynajmniej fizycznie – odpocząć i przeschnąć przed popołudniowym treningiem.

O godzinie szesnastej, w pełnej gotowości i pod czujnym okiem Pani Moniki, udaliśmy się z Zako na przystanek komunikacji miejskiej, a stamtąd autobusem pojechaliśmy do centrum miasta. Tam bez trudu dotarliśmy do Urzędu Miasta i Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Potem kolejny przystanek, następna przejażdżka i mogliśmy przećwiczyć poruszanie się po znajdującym się w moim mieście, bardzo nietypowym dworcu autobusowym. Trenerka wyprostowała kilka moich nieprawidłowych wyobrażeń – pomimo tego, że mieszkam tutaj od dziecka, że poruszałem się tymi ulicami przez kilkadziesiąt lat, to o różnych rzeczach nie miałem dotąd pojęcia. Tam, gdzie ja miałem świadomość występowania dużej, nieprzyjaznej, otwartej przestrzeni, Pani Monika pokazała mi wysepki, torowiska,

przejścia i inne punkty odniesienia, sprawiające, że dany obszar topograficznie stał się dla mnie wreszcie zrozumiały i przyjazny, a przez to o wiele bezpieczniejszy.

Wraz z Przewodnikiem odwiedziliśmy jeszcze miejski rynek, galerię handlową w centrum miasta, a także uczyliśmy się podchodzić do torowisk przecinających moje miasto wzdłuż i wszerz. Zwieńczeniem treningu była wizyta w jednej z naszych ulubionych restauracji. Na miejsce dotarłem z Zako i Panią Moniką, a po chwili dołączyła do nas Alicja, która również zdążyła już skończyć pracę i przyjechać do Centrum. W samej restauracji, zarówno pies, jak i personel lokalu, zachowali się perfekcyjnie – gdy, pierwszy wraz z Przewodnikiem, wszedłem do środka, lekko oszołomiony kelner tylko zapytał mnie, na ile osób potrzebuję stolik. Gdy dowiedział się, że na trzy, ewidentnie odetchnął z ulgą i poprosił, abyśmy poszli za nim. W ten sposób z Zako dotarliśmy do stolika, a – za nami – podeszły do niego Pani Monika z Alicją. Jak tylko kelner przyjął od nas zamówienie, przyniósł wodę dla Przewodnika – niestety, ten ostatni nie docenił gestu i po jakimś czasie pozostałą wodę rozlał na podłogę. Pomimo tego drobnego incydentu, spędziliśmy wtedy bardzo miły wieczór.

Wychodząc z restauracji, postanowiliśmy podejść na zakupy do pobliskiej galerii handlowej. W trakcie obiadu okazało się bowiem, że powinniśmy jeszcze zakupić kilka drobiazgów dla Zako, które nie przyszły nam wcześniej do głowy. W drodze do galerii, Pani Monika zademonstrowała nam technikę prowadzenia dwóch niewidomych osób przez Przewodnika. Wygląda to w ten sposób, że pies porusza się klasycznie, z lewej strony osoby niewidomej, a druga niewidoma osoba chwyta się prawego ramienia Opiekuna Przewodnika. Oczywiście, psy w trakcie podstawowego szkolenia nie są uczone tej techniki, więc otrzymaliśmy jedynie wskazówki, jak należy Przewodnika tego nauczyć – tak więc, gdy w trakcie spaceru za bardzo zbliżaliśmy się do znajdującej się po naszej prawej stronie ściany lub przeszkody, trzymająca się mojego ramienia Alicja uderzała w nią dłonią i wydawała z siebie zaniepokojone odgłosy. Wszystko po to, aby zwrócić uwagę psa na fakt, że w tej chwili powinien brać on większą „poprawkę” na prawą stronę, uwzględniającą szerokość dwóch osób. Zako dość szybko zrozumiał, o co nam chodzi i nawet wewnątrz galerii handlowej, bez większego trudu, prowadził dwie osoby. Oczywiście, należało mu jeszcze od czasu do czasu przypominać, aby nie zapominał o większym marginesie, ale generalnie radził sobie świetnie. Zrozumiałem wtedy, że gdyby kiedykolwiek podobna umiejętność Przewodnika była nam potrzebna, Zako bardzo szybko mógłby się jej nauczyć.

Niedługo później, po odwiedzeniu szeregu sklepów, galerię handlową opuściliśmy jako nowi właściciele kilku niewielkich kocyków, dużego kongra oraz twardego gryzaka dla Przewodnika. Po psie było już widać zmęczenie, więc prosto z centrum miasta, taksówką wróciliśmy do domu; jak pokazał mój zegarek, tego dnia w sumie przeszliśmy czternaście kilometrów.

Jeszcze ostatni, fizjologiczny, spacer i w końcu dotarliśmy do mieszkania – wtedy też znalazłem wreszcie czas na rozpakowanie wszystkich zakupów, dokonanych jeszcze w Warszawie. Przygotowałem sobie jedną, dużą torbę, do której po rozpakowaniu – i zaprezentowaniu Alicji moich zdobyczy – pochowałem wszystkie psie gadzety. Zapasowe smycze, miski i bidony podróżne, dodatkowe worki na odchody i rzeczy do pielęgnacji – wszystko to trafiło do torby, a zaraz potem do szafy; na zewnątrz zostały jedynie rzeczy, z których zamierzałem korzystać na co dzień; tu również przygotowałem sobie osobny plecak, na codzienne wyjścia z domu.

Sam plecak stanowi niemal oczywisty i odruchowy wybór, ponieważ, poruszając się z psem, szczególnie na samym początku, obie ręce mamy zajęte. Oczywiście, korzystać można również z przeróżnych toreb na ramię, które osobiście sam bardzo lubię, ale „na start” plecak uważam za najlepsze i najwygodniejsze rozwiązanie. Myślę też, że w tym momencie koniecznie powinienem napisać, co znajduje się w moim codziennym plecaku. Zapewne zawartość toreb i plecaków innych Opiekunów Przewodników różni się znacznie, ale uważam, że przynajmniej na początku powinny one zawierać te same, podstawowe przedmioty. Dopiero z czasem i wraz z nabywanym doświadczeniem, przekonamy się, z czego będziemy korzystać, a z czego spokojnie, bezpiecznie i świadomie możemy zrezygnować.

Zacznę więc od rzeczy podstawowej, jaką jest biała laska. Zapytacie, po co mi biała laska, gdy poruszam się z psem Przewodnikiem? Otóż oficjalnie, zgodnie z polskim prawem, obojętne jak śmiesznie by to nie zabrzmiało, biała laska stanowi swoisty znak drogowy, na który kierowcy powinni reagować w określony sposób. Chodzi tu przede wszystkim o to, aby kierowca, widząc przy przejściu dla pieszych osobę z białą laską, mógł się zatrzymać i zachować odpowiednią ostrożność – jednakże polska rzeczywistość nieco odbiega od oczekiwań w tym zakresie. Praktyka pokazuje, że kierowcy bardzo rzadko zwracają uwagę na ten atrybut osoby niewidomej, za to obecność białej laski na przejściu dla pieszych kluczowa jest dla firm ubezpieczeniowych. Jeśli osoba niewidoma jej



nie posiadała, to nie ma co liczyć na odszkodowanie w przypadku uczestnictwa w jakimkolwiek wypadku, do którego doszło na jezdni. Dlatego też zgodnie z przepisami, nawet osoba poruszająca się z Przewodnikiem, przechodząc przez ulicę, powinna w dłoni dzierżyć przynajmniej tzw. sygnalizacyjną białą laskę.

Tu jednak, na szczęście, mamy do czynienia z paradoksem – okazuje się bowiem, że polscy kierowcy o wiele chętniej i częściej zatrzymują się na pasach, widząc osobę niewidomą z psem, niż z białą laską, a gdy przypomnę jeszcze, że zaczynając chodzić z Przewodnikiem, musimy do tego wykorzystywać obie dłonie, to dla wszystkich powinno stać się jasne, że osoba niewidoma z reguły posiada przy sobie tę białą laskę, ale wygodnie schowaną w plecaku. Tak naprawdę, jest ona potrzebna tylko w trzech sytuacjach. Po pierwsze, gdy wyprowadzamy psa na spacer fizjologiczny – w takim wypadku, powinniśmy zdjąć mu uprząż i kontrolować go za pomocą zwykłej lub automatycznej smyczy; wtedy korzystamy z białej laski zgodnie z jej przeznaczeniem. Podobnie używamy jej w momencie, gdy Przewodnik sygnalizuje nam coś, czego nie jesteśmy w stanie zweryfikować w inny, niż namacalny, sposób. Przykładowo będąc w porcie, nie wysuwam nogi, aby sprawdzić, czy w ten sposób pies oznacza mi schody w dół, czy krawędź pirsu, podobnie, gdy Przewodnik, w doskonale znanym mu terenie nagle zatrzyma się w nietypowym miejscu, o wiele rozsądniej i bezpieczniej jest w takim momencie sięgnąć po białą laskę i sprawdzić, przed czym ostrzega nas pies, niż wykonać kontrolny krok i wpaść do niezabezpieczonej studzienki kanalizacyjnej. Z trzecią sytuacją mamy do czynienia w momencie, gdy – z przyczyn od nas niezależnych – Przewodnik nie jest w stanie nas prowadzić w tradycyjny sposób. Takich powodów może być wiele: zbyt gorący chodnik, zbyt wiele soli drażniącej opuszki łap lub zwykła kontuzja, która niestety przydarza się od czasu do czasu psom pracującym. W takiej sytuacji Przewodnik zostaje czasowo zwolniony ze służby, zapięty na smycz i to my białą laską sami kontrolujemy dalszą drogę; ponieważ takich wypadków nie jesteśmy w stanie przewidzieć, w każdym plecaku osoby niewidomej, na wszelki wypadek, zawsze powinna znajdować się biała laska. Ze swej strony gorąco polecam laski składane na 7 elementów – po złożeniu są one znacznie krótsze, przez co są o wiele bardziej poręczne i mieszczą się nawet do stosunkowo niewielkich, damskich torebek.

O smyczy już wspominałem – część osób do uprząży podpina krótką smycz, aby dokładniej kontrolować psa. W takiej sytuacji ich plecak powinien zawierać drugą, dłuższą, klasyczną lub automatyczną smycz – głównie po to, aby w wypadku, gdy

chcemy wyprowadzić Przewodnika na spacer fizjologiczny, zwiększyć jego zasięg. Część Opiekunów, w tym i ja, używa smyczy, które, za pomocą karabińczyków, można wygodnie skrócić lub wydłużyć o połowę; plecak takich osób będzie więc lżejszy o tę dodatkową, dłuższą smycz.

W tym miejscu warto dodać, że osoby niewidome, wybierając smycz automatyczną, powinny decydować się na model taśmowy, a nie w formie linki. Taśma jest nieco cięższa i zajmuje więcej miejsca w plecaku, jest ona jednak znacznie lepiej widoczna z większej odległości dla osób postronnych. Nie widząc, mamy ograniczoną kontrolę nad tym, kto w trakcie spaceru fizjologicznego wejdzie lub wjedzie pomiędzy nas i naszego psa. Korzystając z taśmowej smyczy, mamy większą szansę, że ktoś zauważy tę przeszkodę, zatrzyma się lub po prostu ją ominie, a jeśli jej nie zauważy, a smycz owinie mu się dookoła nóg, to pociągnięta przez nas lub naszego Przewodnika taśma, nie rozetnie skóry napotkanej osoby. Niestety, cienkie linki smyczy automatycznych bardzo łatwo rozcinają skórę czy rajstopy napotykanym spacerowiczów.

Wychodząc do pracy z psem, zawsze zabieramy ze sobą przysmaki, będące nagrodami dla Przewodnika. Zwykle staramy się odpowiednio do tego przygotować i zabrać ze sobą wystarczającą ilość smaczków. Niestety, czasem nasze plany „biorą w łeb” i czas pracy się wydłuża lub z innych względów posiadane przez nas nagrody się skończą – i właśnie na taką okoliczność, w każdym plecaku Opiekuna psa, powinna się znaleźć hermetycznie zamknięta, niewielka paczka przysmaków. Będzie ona stanowić naszą żelazną rezerwę „paliwa”. Bardzo często, przy większych zakupach w sklepach zoologicznych, otrzymujemy takie niewielkie, reklamowe paczuski w gratisie. Są idealne do wspomnianych zastosowań.

Pora pomyśleć o czystości. Zaczniemy więc od psa. Co kraj to obyczaj, a zasady dobrego wychowania zdumiewająco często pozostają takie same, dlatego w naszym plecaku koniecznie muszą znaleźć się worki na psie odchody. Obok nich, powinniśmy umieścić kilka jednorazowych, papierowych ręczników są one wręcz idealne, aby w jakiejś podbramkowej sytuacji obetrzeć całego naszego Przewodnika lub po prostu przydadzą się do wytarcia ubłoconych łap. Szczególnie jesienią i wiosną, doskonale sprawdza się również niewielki, niezwykle chłonny ręczniczek z mikrofibry – zwinięty mieści się w dłoni, a jest w stanie z sierści naszego psa zebrać nawet do litra wody. Możecie być pewni, że w deszczowy dzień, mnóstwo osób będzie wam wdzięcznych czy to w miejscu pracy, publicznym czy mieszkaniu rodziny, jeśli po wejściu prosto z deszczu, wytrzecie Przewodnika do sucha.

Pora zadbać o własną czystość. Zajmując się psem pracującym, karmiąc go, regularnie brudzimy ręce; z upływem czasu i nabraniem doświadczenia, brudzimy się coraz mniej. Nie oznacza to jednak, że nasze dłonie stale będą czyste – gdy do pracy z Przewodnikiem będziemy używać typowej, psiej karmy, to nasze ręce również będą nią pachniały, warto więc zadbać o to, aby w plecaku znalazły się nawilżane chusteczki oraz płyn antybakteryjny, które to drobiazgi mogą okazać się niezbędne w sytuacji, gdy nie będziemy mieli możliwości zwykłego umycia dłoni.

Ostatnim, obowiązkowym elementem wyposażenia codziennego plecaka powinna być książeczka zdrowia psa lub zaświadczenie od lekarza weterynarii o przeprowadzonych szczepieniach. Ze swej strony polecam jeszcze inne rozwiązanie, a mianowicie metalową blaszkę, wręczaną przez weterynarza po dokonanym szczepieniu na wściekliznę. Znajdują się na niej dane kontaktowe do gabinetu oraz seria i numer szczepionki. Stanowi ona potwierdzenie szczepienia, a zawieszona na obroży, na przykład wraz z adresówką, nie tylko zawsze będzie razem z psem, ale cichym brzęczeniem informować będzie niewidomych Opiekunów o obecności i lokalizacji Przewodnika. Oczywiście, cały czas zakładam, że Opiekun psa zawsze posiada przy sobie certyfikat poświadczający, że jego podopieczny jest prawdziwym Przewodnikiem. Piszę tutaj o „codziennym” plecaku, ponieważ ja, jak i wiele innych osób, dodatkowo używa jeszcze tzw. plecaków „wyjazdowych”. Ich zawartość poszerzana jest o dodatkowe elementy, mogące przydać się w dalszej podróży – wśród nich można wymienić składaną miskę dla psa, bidon z wodą, niewielki kocyk, dodatkową karmę podzieloną i popakowaną osobno na każdy dzień itp. itd. Rodzaj oraz ilość dodatkowych elementów uzależnione są od typu wyjazdu, jego długości i wielu innych czynników, takich jak pora roku czy prognozowana pogoda. Te ostatnie czynniki mają również wpływ na zawartość „codziennych” plecaków – przecież latem nie będziemy nosić ze sobą wazeliny lub innych preparatów do ochrony psich łap przed solą, tak szczerze rozsypywaną zimową porą po miejskich chodnikach.

Piszę o tym wszystkim, plecakach i ich zawartości, aby osoby zastanawiające się nad posiadaniem Przewodnika miały pełną świadomość, że każdorazowe wyjście z domu w towarzystwie psa pracującego, poprzedza sprawdzenie długiej listy kontrolnej i zabranie ze sobą odpowiedniego ekwipunku. Nie wystarczy gwizdnąć na Przewodnika, który sam wskoczy w uprzęż i będzie czekał na nas pod drzwiami – za każdym razem musimy wszystko sprawdzić i dobrze się zastanowić, czy o czymś nie zapomnieliśmy.

Ja znalazłem dla siebie bardzo fajny plecak, posiadający dwie boczne kieszenie. W nich umieściłem wszystkie niezbędne psie gadzety, a główna kieszeń plecaka pozostaje wolna na wszelkie inne, typowe zastosowania, w rodzaju codziennych zakupów.

W sobotę rano, po zasłużonym nocnym odpoczynku, już skoro świt byłem zwarty i gotowy na nowe wyzwania. Z Panią Moniką umówiłem się na godzinę dziewiątą, więc odpowiednio wcześniej zabrałem Zako na spacer. Było to dla mnie niezwykle uczucie, ponownie po czterech latach zacząć przemierzać wszystkie stare ścieżki; od razu zauważyłem też, że przez ten czas sporo się zmieniło. Na terenach, gdzie kiedyś psy mogły swobodnie biegać, pojawiły się ogrodzone place zabaw dla dzieci, gdzie zwierzaki nie miały wstępu. Wzdłuż chodnikowych alejek postawiono sporo nowych ławek i koszy na psie odchody. Znacznej miniaturyzacji uległy również ludzkie wybory psich ras – gdy, ponad piętnaście lat wcześniej, wraz z Hamletem zaczynaliśmy poznawać zwierzęcy świat osiedla, królowały w nim głównie yorki, które szybko traciły swą dominację na rzecz labradorów; oczywiście innych psów spotykało się również bardzo wiele, ale były to głównie osobniki większych ras. Tymczasem, na spacerze z Zako, z każdej strony natykaliśmy się głównie na różnego rodzaju miniatutki. Na szczęście dość szybko poznaliśmy dorównujące Zako wzrostem, młodziutkiego labradora i bardzo spokojną rottweilerkę.

Po powrocie do domu szybko pochłonałem śniadanie i – popijając kawę – obserwowałem krzątanicę Alicji. Tego dnia wybierała się na ślub, więc przygotowania do wyjścia trwały w najlepsze. Tym razem sama musiała nas reprezentować, ponieważ, gdy już dopijałem kawę, zadzwoniła Pani Monika i zaprosiła mnie na kolejny trening. Swoją drogą, ciekawi mnie bardzo, jaka przyszłość czeka małżeństwo, bardziej lub mniej świadomie wybierające na datę ślubu, wskazywaną przez chrześcijańskich numerologów datę końca świata. Czy traktować to jako jakiś omen? Czy jako symboliczny koniec jednego świata i początek nowego? Czas pokaże.

Tymczasem, wraz z Zako odzianym w pełen rynsztunek Przewodnika, zszedłem do Pani Moniki, gdzie wspólnie ustaliliśmy scenariusz naszego treningu. Oczywiście – na ten dzień również posiadałem całą listę kolejnych lokalizacji, które chciałbym odwiedzić wraz z psem. Po ustaleniu optymalnej kolejności zaczęliśmy, jedno po drugim, wizytować poszczególne miejsca. Najczęściej odwiedzany sklep spożywczy, grupę pawilonów handlowo-usługowych, mój ulubiony

salon fryzjerski, przystanki na żądanie itp. itd. Oczywiście wszędzie budziłyśmy ogromną ciekawość, a nawet entuzjazm. Napotykali ludzie byli wręcz zachwyceni umiejętnościami i możliwościami Zako – nie wiedziałem tylko, czy sami z siebie nie próbują obłąskawiać mojego psa, czy przed głaskaniem, cmokaniem lub innymi formami spoufalania się powstrzymywała ich obecność Trenerki ani na chwilę niespuszczającej nas z oka. Tak czy inaczej, pomimo częstych zachwytów nad moim Przewodnikiem, mogliśmy pracować bez przeszkód.

Po pokonaniu tego dnia w sumie ośmiu kilometrów przyszła pora na nagrodę i zasłużony odpoczynek. Pani Monika zasugerowała, aby dla Zako przybrał on aktywną formę – innymi słowy, zaproponowała, żebyśmy pozwolili psiakowi pohasać sobie samopas.

Wydawało mi się, że nieopodal mojego domu jest ogrodzony teren, na którym Zako mógłby sobie biegać do woli. Jak się jednak okazało, ogrodzenie – o którego istnieniu wiedziałem – nie otaczało całego terenu. Na szczęście alternatywa znajdowała się tuż obok: las, przy którym mieszkam na co dzień, może nie jest stumilowy, ale na pewno wystarczy, aby doprowadzić czekoladowego chesapeakea do istnej eksplozji radości.

Przy okazji, Pani Monika planowała nauczyć mnie przywoływania psa, ale na szczęście nie było to konieczne. Wystarczyło, abym wykrzyczał samo imię: „Zako!”, a ten już gnał do mnie na złamanie karku. Podobno część nowych Opiekunów psów żywi obawę, a co za tym idzie – również blokadę, przed głośnym wzywaniem swojego Przewodnika; na szczęście u mnie coś takiego nie występuje. Wręcz przeciwnie, Alicja często prosi mnie, abym tak nie wrzeszczał po lesie, argumentując, że przecież Zako nie jest głuchy. Aktualnie, gdy psiak spotka w lesie jakiegoś swego pobratymca, od czasu do czasu muszę użyć pełnej komendy: „Zako! Do mnie!” – zdarza się to jednak bardzo rzadko, zwykle wystarczy samo jego imię, aby, przedzierając się przez najgęstsze krzaczory i tupiąc jak cała psia sfera, przybiegł do mnie z wywalonym jęzorem.

Tego dnia nauczyłem się jeszcze jednej, bardzo ważnej rzeczy: aby nigdy więcej nie zabierać Przewodnika do lasu, jeśli tego samego dnia lub w trakcie kilku poprzednich, intensywnie padał deszcz. Myślę, że widząc, w jakim stanie znajduje się futro Zako, Pani Monika podjęła strategiczną decyzję o pożegnaniu się ze mną pod blokiem – i tu, muszę przyznać, co do tego miała nosa, niczym wytrawny posokowiec. Ja miałem tyle szczęścia, że jedynie minąłem się z Alicją śpieszącą się

do kościoła – dlatego tylko otarłem się o epicentrum burzy. Niestety, sprzątanie mieszkania z pozostałości beztroskich, leśnych, crossowych biegów przełajowych zajęło nam resztę weekendu.

Żegnając się z Trenerką, raz jeszcze podziękowałem jej za tak dobre przygotowanie Zako do pracy. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że od tej pory de facto dopiero zaczyna się nasza wspólna przygoda i spodziewałem się, że przynajmniej na początku napotykać będziemy różne nieprzewidziane trudności, dlatego umówiłem się na regularne zdawanie raportów z naszych postępów i obiecałem odzywać się natychmiast, w przypadku pojawienia się jakichkolwiek problemów.

# Pierwszy tydzień w nowym domu

I tak oto rozpocząłem moją samodzielną przygodę z Przewodnikiem – świetnie przygotowany, na doskonale znanym sobie terenie, pierwszy raz, odkąd ponad dwadzieścia lat wcześniej straciłem wzrok, w słoneczną, handlową niedzielę wyszedłem z domu bez białej laski.

Na „pierwszy ogień” postanowiłem wziąć niewielki sklep spożywczy, do którego dotychczas zachodziłem prawie codziennie. Drogę do niego przebyłem bez najmniejszych problemów. Na miejscu Zako zachowywał się perfekcyjnie. Kupiłem wszystko, czego potrzebowałem – i nawet o niczym nie zapomniałem; do domu również wróciłem bez najmniejszych trudności – dlatego zupełnie nie rozumiałem co się ze mną dzieje. Dlaczego cały byłem spocony, spięty i zestresowany? Tak naprawdę dopiero wtedy, gdy nieco ochłonąłem po krótkiej przechadzce, zrozumiałem, jaki komfort psychiczny dawała mi obecność Trenera, osoby w każdej chwili będącej gdzieś obok, mogącej zareagować na mój lub psi błąd, podpowiedzieć coś, skorygować nieprawidłowe zachowanie. Świadomość braku takiego wsparcia natychmiast zmienia postrzeganie duetu Opiekun – Przewodnik. Dopiero w tym momencie w pełni zdajemy sobie sprawę, że stanowimy jeden zespół, gdzie od jakości współpracy i komunikacji, zależy nasze wspólne bezpieczeństwo.

Doświadczenie to stanowiło dla mnie prawdziwy zimny prysznic, było również jedną z najważniejszych lekcji, która nauczyła mnie, że realną więź i zaufanie w trakcie pracy z psem możemy wypracować tylko i wyłącznie w układzie „sam na sam”. Wsparcie innych osób jest bardzo potrzebne, szczególnie gdy chcemy poznać nowe miejsca i trasy, jednak uważam, że im później osoba niewidoma rozpocznie

samodzielne poruszanie się z Przewodnikiem, tym dłużej będzie trwał proces pozyskiwania wzajemnego zaufania oraz – mówiąc kolokwialnie – „docierania się”.

Ponieważ tego pierwszego dnia moja pewność siebie bardzo ucierpiała, wieczorem poprosiłem Alicję, aby towarzyszyła nam w treningowym przejściu przez kilka strategicznych miejsc. Na szczęście Ala się zgodziła i – podążając za nami w niewielkiej odległości – przespacerowała się, między innymi, do podświetlanej nocą fontanny, a następnie do naszej ulubionej piekarni. Zako wcześniej już był w tych wszystkich miejscach, więc prowadził mnie do nich jak po sznurku, perfekcyjnie wskazywał przejścia dla pieszych, zatrzymywał się na krawężnikach, zaznaczał obecność mijanych bram czy przystanków. W ten sposób na powrót tchnął we mnie odrobinę wiary w nasze wspólne siły i pozwolił z nieco większym optymizmem spojrzeć na dalszą współpracę.

Ponieważ Przewodnik tak dobrze radził sobie na znanym terenie, w poniedziałek postanowiłem wybrać się z nim w nowe rejony. Po raz kolejny zaskoczył mnie swoją doskonałą pamięcią. Gdy docieraliśmy do granicy znanych mu obszarów, przypominał sobie, że już był w tym miejscu i bez wahania podprowadzał do rozpoznanych i zapamiętanych drzwi poczty. Jednak w dalszej drodze pies już nie był taki pewny siebie – poruszał się wolniej i ostrożniej, o wiele częściej szukając u mnie potwierdzenia swych wyborów. Pokonywana droga nie była specjalnie skomplikowana, za to często zmieniała się forma chodników i ich kierunek: raz była to asfaltowa alejka, za chwilę kostka brukowa, przechodząca przy kolejnym budynku w zwykłą płytkę chodnikową. Zależało mi na tym, aby Zako poćwiczył odnajdywanie guzika służącego do zmiany świateł na przejściu dla pieszych – jednak najpierw musieliśmy do niego dotrzeć.

W trakcie pokonywania drogi natknęliśmy się na dwa problemy, które od razu starałem się skorygować. Pierwszy polegał na tym, że w pewnym momencie urywał się chodnik dla pieszych, a wzdłuż budynku, tam, gdzie powinien się on znajdować, stały zaparkowane samochody. W takiej sytuacji Przewodnik nie wiedział, co ma zrobić i którędy iść dalej. Na szczęście rozwiązanie tego problemu pokazała mi jeszcze Pani Monika – wystarczyło wyjść z psem na skraj ulicy i – skierowawszy go na przód – wydawać komendę: „Do prawej!”. Zako podążył wtedy naprzód wzdłuż ulicy i parkingu, aż do momentu, gdy skończyły się zaparkowane samochody i zaczął się kolejny chodnik.

Drugi problem Przewodnik miał w sytuacji, gdy kontynuacja kończącego się chodnika nie znajdowała się idealnie w linii prostej po drugiej stronie ulicy.



Jeśli chodnik ulokowano, na przykład, dwa metry na lewo, to pies wchodził na znajdujący się naprzeciwko trawnik i po nim doprowadzał mnie do chodnika. Dopiero kilkukrotne przejście z nim od chodnika do chodnika uświadomiło mu, że najkrótsza droga nie zawsze jest tą, która nas interesuje.

Z odnajdywaniem przejść dla pieszych oraz przycisków do zmiany sygnalizacji świetlnej na szczęście nie miał żadnego problemu – udało nam się nawet nagrać film z tego treningu. Widać na nim doskonale, jak jeszcze obaj próbujemy znaleźć wspólny język, Zako upewnia się, czy właśnie o to mi chodzi, a ja sprawdzam co chwilę, czy prawidłowo odbieram przekazywane przez psa sygnały.

W drodze powrotnej z treningu weszliśmy jeszcze do sklepu spożywczego i piekarni. Gdy, idąc już w stronę domu, mijałem przystanek komunikacji miejskiej i stojący na nim autobus, musiałem wytłumaczyć Zako, że nie będziemy nim jechać. Pies koniecznie chciał wskoczyć do środka – albo więc już był zmęczony swoją pracą i treningiem, albo miał już serdecznie dość padającego przez cały dzień (z przerwami) deszczu.

We wtorek pierwszy raz samodzielnie poszliśmy sprawdzić nasze szczęście w totalizatorze sportowym, weryfikując trafność skreśleń w Dużym Lotku. Kupon zakupiłem jeszcze w trakcie treningów z Panią Moniką, przyszła więc pora, abym teraz sprawdził, w jakim stopniu jestem w stanie samodzielnie dotrzeć do kolektury. Droga na miejsce sama w sobie nie jest specjalnie skomplikowana – problem stanowi teren przed halą targową, gdzie przechodzimy z psem pomiędzy wieloma straganami, kręcącymi się ludźmi i samochodami dostawczymi. Co więcej, w trakcie powrotu, Zako musi wejść w jedną konkretną alejkę, wybierając ją spośród sześciu, na które w tym miejscu rozgałęzia się droga. Z takimi elementami, jak słupki w przypadkowych miejscach, czy przejścia dla pieszych, nie spodziewałem się żadnych problemów. I niestety, wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak się tego spodziewałem – „niestety”, to znaczy, że Przewodnik poradził sobie doskonale, a ja nie zostałem milionerem. Pod samą kolekturą pojawiła się tylko jedna wątpliwość, z którą na pewno jeszcze nie raz będziemy mieli do czynienia: szklane drzwi do kolektury sąsiadowały z identycznymi, prowadzącymi do innego sklepu, do tego każdy z lokali obok swych drzwi posiada dużą, szklaną witrynę. W takiej sytuacji pies nie ma pewności, która szyba stanowi faktyczne drzwi i to do mnie należało będzie odnalezienie klamki oraz prawidłowego wejścia. Oczywiście, jeśli Przewodnik odwiedzi dany punkt kilka razy, to w końcu sam zacznie bezbłędnie prowadzić do oczekiwanego celu.

Z kolektury przeszliśmy spory kawałek do jednej z naszych ulubionych piekarni, a ponieważ przeważnie szliśmy wzdłuż głównej ulicy, miałem sposobność obserwować, jak pies sygnalizuje mijane przejścia dla pieszych. Wcześniej nawet nie zdawałem sobie sprawy, że sam zwraca na nie tak baczną uwagę. Po jakimś czasie doszedłem do wniosku, że Przewodnik, idąc wzdłuż ulicy, niewiele się napracuje, a co za tym idzie, otrzyma niewiele przysmaków. Wskazywanie kolejnych zebr było więc w jego odczuciu szansą na kolejną nagrodę.

Gdy byliśmy już przy samej piekarni, zadzwoniła Pani Monika, pytając, co tam u nas i jak rozwija się nasza współpraca. Mogłem więc od razu zdać jej relację z naszych treningów i dopytać o kilka rzeczy, co do których miałem wątpliwości. Na przykład, chciałem się upewnić, jak zmotywować Zako, aby wyraźniej zaznaczał mi krawężniki, na których się zatrzymujemy. Po zakończonej rozmowie i zakupach okrężną drogą wróciliśmy do domu.

Tego samego dnia po raz pierwszy postanowiłem, że pies na spacerach fizjologicznych będzie chodził w kagańcu. Stało się tak za sprawą wymiotów, które dopadły go wieczorem – byłem absolutnie pewien, że Zako w trakcie spaceru zjadł coś, co mu później zaszkodziło. Po czasie muszę przyznać, że od samego początku wyjątkowo dobrze znosił chodzenie w kagańcu, nie lubił jedynie samego momentu jego zakładania, ale – mając przed sobą perspektywę spaceru – takie drobne niedogodności schodziły na dalszy plan. Już po kilku dniach w ogóle nie zauważał, że cokolwiek nosi na pysku – i to niestety dawało się odczuć. Gdy podbiegał, podskakując radośnie, chcąc trącić mnie pyskiem, to walnięcie takim kagańcem było bardziej niż nieprzyjemne. Na szczęście, po kilku dniach, ponownie zwymiotował – w domu. Piszę „na szczęście”, ponieważ analiza zwróconego towaru wykazała, iż były to resztki jego gumowej zabawki, doszliśmy więc do wniosku, że poprzedni wypadek również mógł mieć taką przyczynę. Od tej pory z powrotem mógł biegać bez kagańca, a nam powoli zaczęły znikać z nóg wszystkie ponabijane wcześniej siniaki.

I mogłoby się wydawać, że to już koniec atrakcji na ten dzień – jednak nic bardziej mylnego. W środku nocy, grubo po północy, ze snu wyrwał nas przeraźliwy hałas. Oboje z Alicją skoczyliśmy na równe nogi i – w oszołomieniu – nawzajem dopytywaliśmy siebie: „Co to?!”, „Co się dzieje?!”, „Co to za hałas?!” itd. Dopiero gdy przeraźliwe odgłosy ucichły, mogliśmy na spokojnie ustalić, że przyczyną całego pandemonium był po prostu otrzepujący się Zako. Jeszcze na długo przed przekazaniem psa, w mediach społecznościowych pytałem

innych Opiekunów Przewodników, czy mają jakieś własne sposoby na to, aby – nie widząc – nie deptać podopiecznych. Wiele osób polecało mi umieszczenie na obroży psa metalowej adresówki wraz z blaszaną przywieszką od weterynarza, potwierdzającą zaszczepienie Przewodnika – odgłos ocierania się o siebie obu metalowych elementów miał dźwiękowo sygnalizować lokalizację Zako. Niestety, nikt nie dodał, a ja o tym nie pomyślałem, żeby obroże z brzęczącymi przywieszkami zdjąć na noc. Wystarczyło więc, aby w środku cichej nocy pies się otrząsnął, żebyśmy z Alicją zostali brutalnie wyrwani z głębokiego snu.

Środę rozpocząłem od pójścia z Zako po świeże bułeczki. Ta nieustannie wspominana przeze mnie piekarnia nie pojawia się tutaj przez przypadek: będąc jeszcze niespełna dziesięcioletnim smykiem, samodzielnie biegałem do niej po wspaniałe pieczywo. Trzy dekady później, jej właścicielami nadal są ci sami ludzie, a pierwszy kęs ich świeżego pieczywa, zawsze przywodzi mi na myśl beztrudne lata dzieciństwa. Sami więc rozumiecie, że piekarnia ta „z automatu” musiała trafić na moją listę codziennie odwiedzanych lokalizacji. Na szczęście, znajduje się ona w takim miejscu, że dotrzeć tam mogę na wiele sposobów, w tym również komunikacją miejską. Jest to o tyle istotne, że, poruszając się z psem po stałych ścieżkach, powinienem zapewniać mu odpowiednią rozrywkę. Jeśli nasz Przewodnik będzie dzień w dzień pokonywał tę samą trasę, będzie działał jak kierowca jeżdżący tą samą drogą dzień w dzień – obaj stracą czujność, w efekcie mogą nie zauważyć, że – w przypadku – kierowcy zmieniły się znaki drogowe, a – w przypadku psa – pojawiło się jakieś nowe zagrożenie dla prowadzonej osoby, na przykład, w postaci niezabezpieczonej studzienki kanalizacyjnej. Przecież znak i zamykająca kanał kłapa zawsze tam były! Dlatego, w miarę możliwości, co kilka dni zmieniam trasę i do stałych miejsc staram się docierać z innej, niż ostatnio, strony.

Podobno brytyjskim naukowcom udało się zmierzyć, jak długo „jednym ciągiem” i bez jakiegokolwiek przerwy powinien pracować Przewodnik – czas ten nie powinien przekraczać 20 minut. Z jednej strony, ma się to nijak, na przykład, do psów pasterskich, z drugiej jednak strony, gdy weźmiemy pod uwagę nieustanne skupienie i koncentrację Przewodnika, ten czas już nie wydaje się być taki krótki, co jest szczególnie istotne dla osób, których bezpieczeństwo zależy od tejże właśnie koncentracji. Na szczęście, psy asystujące mogą pracować w interwałach – oznacza to, że nawet jeśli idąc do pracy na przystanek autobusowy, przejdziemy te 20 minut, to – czekając na autobus i w trakcie samej podróży komunikacją miejską – Przewodnik odpocznie na tyle, że po wyjściu

z autobusu będziemy mogli zacząć odliczać jego kolejne pracowite 20 minut. Teraz ktoś ze znajomych zapyta mnie: „Ej, a jak to jest, że czasem wychodzisz na zakupy z Zako aż na dwie godziny?”. I tu, jak już pewnie zdążyliście się domyślić, odpowiedź jest dość banalna: otóż zdecydowaną większość tego czasu spędzam, stojąc w kolejkach do kasy lub lady. A co wtedy robi pies, poza oczarowywaniem sprzedawców i pozostałych kolejkowiczów? Nic. Po prostu sobie odpoczywa i próbuje wyłudzić ode mnie kolejny przysmak.

Tymczasem zauważyłem, jakkolwiek dziwnie by to nie brzmiało, że Zako zaczął mieć „lewicowe” zacięcie – momentami nie chciał skręcać w prawo. Było to co najmniej frustrujące; przypomniały mi się jednak słowa Pani Moniki, kiedy zwracała mi uwagę, abym zawsze dawał psu szansę na wykonanie skrętu w prawo. W sytuacji, gdy Przewodnik podąża po lewej stronie niewidomego, skręcając w prawo, wchodzi mu pod nogi. Pies musi w tej sytuacji niejako zdławić swój naturalny instynkt i świadomie narazić się na ryzyko zdeptania. Nie ma mu się co dziwić, że w sytuacji, gdy – czując dużego faceta, jeszcze dość niepewnie merdającego mu na końcu pałaka – z własnej woli nie chce ryzykować życia i zdrowia. Na szczęście, Alicja podpowiedziała mi świetny teren, na którym mogłem pochodzić z Zako dookoła parkingu, cały czas skręcając w prawo, przekonując go jednocześnie, że nie jestem jeszcze taką ostatnią ofertą i że – w najbliższym czasie przynajmniej – z mojej strony nie grozi mu zdeptanie na śmierć. Wydaje się, że po kilku takich kółkach dał się przekonać i od tamtej pory zdarza mu się zawahać przy skręcie w prawo jedynie wtedy, gdy idziemy naprawdę szybko.

Tego dnia poszliśmy jeszcze do sklepu mięsnego oraz bankomatu, który – po wcześniejszej, specjalnej demonstracji technik treningowych, obfitujących w całe garście psich smaczków – stał się na trasie naszych przemarszów ulubionym punktem orientacyjnym Zako. Do obu tych miejsc również starałem się dotrzeć od innej strony niż poprzedniego dnia; na szczęście, psiak również z tym zadaniem nie miał najmniejszych problemów i doskonale reagował na wydawane komendy.

Po powrocie do domu, wraz z Alicją, postanowiliśmy do treningów naszego Przewodnika dorzucić jeszcze jeden element, a mianowicie – samodzielne zostawanie w mieszkaniu. To, że pies może pozostać bez opieki, nie budziło naszych wątpliwości – jednak kwestia, czy odbywać się to będzie w całkowitej ciszy, już nie była taka pewna. Nasze wątpliwości w tym obszarze wzbudziło

zachowanie Zako z poprzedniego dnia – gdy na chwilę wyszedłem z domu, po pocztę do skrzynki na listy, Przewodnik zaczął cichutko popiskiwać, potem drapać w drzwi wyjściowe, a już na sam koniec głośno piszczeć. Mieszkając w wielorodzinnym bloku, nie mogliśmy sobie pozwolić na takie zachowanie psa, również dlatego, że mogło ono później ewoluować do znacznie głośniejszych reakcji, jak szczekanie czy wycie. Tak więc, od tego właśnie dnia, zaczęliśmy przyzwyczajając Zako do samodzielnego zostawiania w domu i robiliśmy wszystko, aby ta samotność dobrze mu się kojarzyła.

Na początku, gdy tylko na chwilę wychodziliśmy wyrzucić śmieci, do piwnicy lub do wspomnianej skrzynki pocztowej, pies, przed samym naszym wyjściem z mieszkania, otrzymywał jeden przysmak. Co istotne, był to zawsze jakiś inny łąkoć, niż standardowe groszki używane przy pracy. Przysmakowi towarzyszyła komenda: „Zostań!”. Gdy, po chwili, wracaliśmy do domu, Zako ponownie otrzymywał przysmak i dowiadywał się, że jest „super psem”. Technika ta sprawdziła się przy krótkich wyjściach, przy dłuższych obawialiśmy się jednak, że jeden mały smaczek nie odwróci na dłuższy czas uwagi tęskniącego czworonożca. Trzeba więc było wymyślić jakiś inny pogryzacz – padło na marchewkę; gdy więc wiemy, że musimy wyjść z domu na godzinkę lub dwie, tuż przed opuszczeniem mieszkania Zako otrzymuje swoje ulubione warzywo – i tak się koncentruje na jego chrupaniu, że w ogóle nie zauważa naszego zniknięcia, a gdy kończy ten poczęstunek, najwyraźniej jest na tyle zadowolony, że piszczenie i drapanie w drzwi w ogóle nie przychodzi mu do głowy. Z kolei rozwiązaniem ostatecznym, o niewiarygodnej sile rażenia, jest kong wypełniony – w zależności od sytuacji – białym serem lub pasztetem. Po ten największy kaliber sięgamy w sytuacji, gdy wiemy, że poza domem spędzimy na przykład cały wieczór. Nie ważne, czy nie było nas przez trzy, czy przez pięć godzin, zawsze, gdy wchodzimy do mieszkania Zako biega po nim z kongiem w pysku, merdając radośnie ogonem. Co więcej, gdy obecnie któreś z nas zaczyna napełniać kong, pies zachowuje się w taki sposób, jakby sam chciał nas jak najszybciej wypchnąć za drzwi i samemu spędzić z nim przemiłe sam na sam, z niezwykłą namiętnością wylizując jego wszelkie zakamarki.

Wspominam o powyższym głównie z uwagi na własne przekonanie, że oduczanie Przewodnika niepożądanych zachowań musimy rozpocząć tak szybko, jak to tylko możliwe. Z jednej strony, to kwestia samopoczucia i dobrostanu naszego pupila, który nie powinien czuć się porzucany czy odrzucany, z drugiej zaś, to również kwestia stosunków dobrosąsiedzkich – a – to już Wam mogę powiedzieć

z własnego doświadczenia – wymieniając cechy i przymioty mojego Zako, wszyscy sąsiedzi, zaraz po klasycznym: „Jaki to mądry piesek...”, dodają jednym tchem: „...i taki cichutki”. Dopiero później dopowiadają, że śliczny, że grzeczny, że tylko mówić nie umie oraz wszystkie te pozostałe rzeczy, które zawsze mówi się sfiksowanym właścicielom psów i kotów.

Z kolei w czwartek miałem wrażenie, że trafiłem na plan jakiejś hollywoodzkiej superprodukcji w rodzaju „Lassie, wróć!”, „Zagubieni w San Francisco”, czy inny „Zakochany kundel”. Na każdym kroku, w każdym sklepie, podchodzili do nas, zaczepiali i zatrzymywali nas ludzie, zachowujący się jak jacyś groupies na widok swojego ukochanego idola. Wszyscy chcieli wyrazić swój zachwyt, podzielić się uznaniem dla urody Zako, zapytać, czy można go pogłaskać. W aptece, piekarni czy sklepie spożywczym tłumaczyć musiałem, że teraz to piesek pracuje i że na pieszczoły zapraszam w trakcie zwyczajnego spaceru. Na ulicy ludzie pytali mnie, na jakiego specjalistę ten psiak jest szkolony? Ile trwa trening? Czy trudno się szkoli takiego Przewodnika? W pewnym momencie zdałem sobie nawet sprawę, że część osób w ogóle nie orientuje się, że jestem niewidomy i bierze mnie za Trenera psa.

Odkąd Zako do nas trafił, w ciągu jednego tylko tygodnia, na ulicy odezwało się do mnie więcej osób, niż w ciągu całego minionego roku: małżeństwo pamiętające jeszcze naszego wcześniejszego psa, spotkany, wraz z jego leciwym labradorem, pracownik odwiedzanego przeze mnie Rossmanna, facet, który okazał się być ochroniarzem w perfumerii Sephora, a prywatnie właścicielem i miłośnikiem rottweilerów – i wiele, wiele innych osób. W efekcie, w ten czwartek, zacząłem mieć wrażenie, jakby w moim mieście właśnie odbywała się jakaś masowa impreza w rodzaju Międzynarodowego Zlotu Miłośników Psów, na którą zjechało kilkadziesiąt tysięcy uczestników. Na szczęście, wbrew moim wcześniejszym obawom, wszyscy podchodzili do Przewodnika z dużym wyczuciem – nawet dzieci pytały mnie, czy mogą pogłaskać pieska; bardzo często sam nie zdążałem zareagować, gdy już słyszałem, jak rodzice tłumaczyli swym pociechom, że takim pracującym pieskiem nie wolno przeszkadzać.

Spośród wielu przestróg, w moim wypadku, na szczęście dotychczas tak naprawdę sprawdziła się tylko jedna, którą straszyla mnie Pani Monika. Zgodnie z jej słowami, najgorsze podejście do pracujących Przewodników mają inni właściciele psów, a wytresowanego Przewodnika, w trakcie jego pracy, traktować chcą dokładnie tak samo, jak swojego pupila podczas zwykłego spaceru. Jak

dla mnie, najgorszym zachowaniem z ich strony, jest podsuwanie pracującemu psu własnego podopiecznego, aby się pieski mogły przywitać – jest to, w mojej ocenie, najlepszy przykład skrajnej bezmyślności, ignorancji i braku empatii. Żadna z tych osób ani przez milisekundę nie zastanowi się nad tym, co Przewodnik robi w danym momencie i jakimi konsekwencjami może skończyć się jego dekoncentracja; w moim wypadku niewiele brakowało, abym spadł ze schodów. Na szczęście, do sytuacji tej doszło na doskonale mi znanym terenie, dzięki czemu zdążyłem zareagować w porę, chroniąc się przed upadkiem. Musicie mi jednak wybaczyć, że, w tym miejscu, nie przytoczę tych ciepłych słów, jakie skierowałem do właścicielki Bogu ducha winnego pieska; możecie tylko uwierzyć mi na słowo, że jestem absolutnie pewien, iż już nigdy w życiu równie głupie zachowanie nie przyjdzie jej do głowy.

Na szczęście, Zako zwykle sygnalizuje mi, że zbliżamy się do jakiegoś psa, więc zazwyczaj mam czas zareagować i dać znać, że nie życzymy sobie takiego kontaktu. Gdy głośno wydaję komendę: „Nie! Nie!” i lekko odciągam Przewodnika w przeciwną stronę niż napotkany pies, tylko bardzo głupi, lub nieżyczliwy, człowiek może nadal chcieć podprowadzić swojego pupila pod pysk mojego Przewodnika. Wtedy zawsze grzecznie proszę, aby właściciel zabrał swoją pociechę, dodając, że Zako właśnie jest w pracy i że do zabawy zapraszam na spacerze – i dopiero, jeśli widzę, że to nie działa, zaczynam używać bardzo prostego i dosadnego języka, tak aby mój interlokutor nie miał żadnych wątpliwości co do niego mówię. Na szczęście, przynajmniej jak do tej pory, po wsze czasy straciłem sympatię może ze dwóch takich osób i – gdybyście mieli jakiegokolwiek wątpliwości – to nie, zupełnie tego nie żałuję.

Osobny problem, szczególnie na spacerach, stanowią starsze panie ze swoimi malusimi psiaczkami. Widzą, jak chodzę z bardzo grzecznym Zako, który na komendę równa i przysiada przy nodze, więc bez wahania przyholowują do nas swoje przerażone miniatutki. Taki półtorakilogramowy York, widząc pochylającego się nad nim ponad trzydziestopięciokilogramowego potwora, cały się trzęsie i zanosi się przeraźliwym jazgotem, ile sił mu natura dała w jego niewielkich płuckach. Starsze panie, zupełnie tego wszystkiego nie dostrzegając, próbują przekrzyczeć cały harmider, wołając: „Toffiku / Peretko / Fuksiku, pobaw się z pieskiem...”. Mojemu Zako ten psiak najbardziej przypomina piszczącą zabawkę, ale ja jestem absolutnie pewien, że napotkane panie nie chciałyby zobaczyć, co on, w trakcie zabawy, robi z takimi „piszczałkami”. Z tego właśnie powodu postanowiłem zmienić

bardzo popularną wśród psiarzy trasę spacerową na taką mniej uczęszczaną – przynajmniej do czasu, gdy albo w lesie wyschnie ziemia, albo zimą spadnie śnieg. Na szczęście, Alicja miała dla mnie już gotową propozycję: pokazała mi drogę, gdzie cały czas idąc chodnikiem, po obu jego stronach mam trawniki, na których Zako może węszyć, załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne i bawić się ze sporadycznie spotykanymi psami. Szybkim, dynamicznym krokiem przechodzę tę trasę w piętnaście minut, a gdy mamy więcej czasu, to możemy ją wydłużyć, spacerując nawet do pół godziny. Jest to oczywiście tylko opcja na co dzień, ponieważ nic nie zastąpi zwykłych wyjść do lasu, gdzie Zako szaleje, skacząc, biegając, węsząc i prawie hiperwentylując.

Właśnie takie zachowanie naszego psiaka, już nazajutrz, jako pierwsza mogła obserwować Alicja, ja, niestety, z samego rana musiałem pojechać do Warszawy. Ponieważ w moim odczuciu jeszcze nie nadawaliśmy z Zako na tych samych falach, nie było nawet mowy, aby zabrać go ze sobą w podróż pociągiem. Korzystając więc ze swego niespodziewanego urlopu, Przewodnik mógł się w piątek wybrać na półtoragodzinny off-road po lesie. Już sam nie wiem, kto był z tego bardziej zadowolony: Alicja czy psiak. Ponieważ ja wyszedłem z domu przed szóstą rano, a wróciłem po dwudziestej, tego dnia mogłem wyprowadzić Zako tylko wieczorem, aby podniósł łapkę przed snem.

Sobota zapowiadała nam się bardzo aktywnie: już po śniadaniu, wraz z Alicją i Przewodnikiem, wybraliśmy się na cosobotnie zakupy – i jak się szybko okazało, to nie był najlepszy pomysł. Pies, oczywiście, zachowywał się jak doskonale wyszkolony chesapeake bay retriever, lecz nudził się jak zwykły mops. We wszystkich sklepach napotykaliliśmy przeogromne kolejki, gdzie musieliśmy swoje odstać – doszliśmy więc do wniosku, że w przyszłości, jeśli nie będzie ku temu żadnych istotnych przesłanek, nie będziemy Zako zabierać na takie wspólne zakupy. Będzie ze mną chodził po zwykłe sprawunki w ciągu tygodnia, ale sobotniego tłoku w sklepach spokojnie mogę mu oszczędzić.

Na szczęście, tego dnia nuda szybko opuściła naszego psiaka. Jak tylko odnieśliśmy zakupy do mieszkania, musieliśmy pośpieszyć się, aby zdążyć na umówioną wizytę u groomera. Nowopowstały salon odwiedziłem jeszcze z Panią Moniką: chciałem poznać do niego drogę, ponieważ dotychczasowy fryzjer naszego wcześniejszego psa zakończył działalność.

Zako bezbłędnie dotarł na miejsce, gdzie czekała już na nas przemiła właścicielka ze swoim pieskiem Laki, od którego zresztą salon wzięł swą nazwę. Tego dnia



nasz Przewodnik w pełni poznał znaczenie określenia „Sanitas Per Aquam”<sup>9</sup>. Wizyta zaczęła się od dokładnego czesania, następnie była kąpiel i kolejne czesanie na mokro, później suszenie, czyszczenie uszu, płukanie ich płynem antygrzybiczym i – już na sam koniec – obcinanie pazurów. Wraz z Alicją nie obserwowaliśmy tych ablucji, gdyż w ich czasie, czyli nieco ponad dwóch i pół godziny, pojechaliśmy do szpitala odwiedzić kuzynkę Ali. Dlatego, po naszym powrocie, pierwsze co zauważyłem, to brak u Zako połowy futra. Początkowo nawet się wystraszyłem, ale już za chwilę ucieszyłem, że cały ten włos zostanie u groomera, a nie na mojej podłodze.

Przemiała właścicielka salonu dodatkowo uspokoiła mnie, że pies właśnie jest na etapie zmiany futra, stąd taka różnica. Na moją prośbę, zrobiła mi również krótki kurs pielęgnacji Przewodnika – z wykorzystaniem poszczególnych akcesoriów w rodzaju grzebieni, szczotek, zgrzebła, trymera i furminatora. Nie tylko powiedziała, których z wymienionych sprzętów i kiedy powinniśmy używać, ale pokazała także, jak należy to robić. Zademonstrowała nam też kilka tricków, na przykład, jak najlepiej po głównym czesaniu, wilgotną gumową rękawicą ściągać z psa resztki wyczesanego włosa. Pewnie pamiętacie, że już zdążyłem zakupić część akcesoriów do pielęgnacji Psa – i – jak się właśnie okazało – niektóre z nich niepotrzebnie. Przykładowo, futro Zako nie powinno być traktowane furminatorem, za to świetnie sprzyja mu stosowanie trymera. Dlatego też, ze swej strony, polecam wstrzymanie się z tego typu zakupami, do czasu pierwszej wizyty u groomera.

Ponieważ w salonie dowiedziałem się, jaki rodzaj trymera, tj. o jakim rozstawie zębów i jakiej konstrukcji, będzie najlepszy dla Zako, po powrocie do domu mogłem od razu w Internecie zakupić odpowiednie narzędzie oraz spray ułatwiający rozczesywanie. Po co ten pośpiech? To akurat rzecz dość oczywista: pies asystujący to zwierzę, które, wraz z nami, odwiedza wiele publicznych miejsc, jeździ komunikacją miejską, pociągami, taksówkami, a nawet lata samolotami. Taki Przewodnik nie może wyglądać i pachnieć źle – stąd właśnie cokwartalne wizyty u groomera i cotygodniowe czesanie; przynajmniej tak to wygląda w naszym teamie. Jeśli ktoś preferuje częstsze wizyty w psim SPA, to ja nie mam nic przeciwko, ale nie wyobrażam sobie nawet, żeby Przewodnik minimum raz na kwartał nie odwiedził salonu groomera. Oczywiście, można samemu próbować kąpać czworołapa, ale moje kilkunastoletnie doświadczenie w domowej

---

<sup>9</sup> łac. Zdrowy dzięki wodzie

pielęgnacji psich futer z całą stanowczością pozwala mi stwierdzić, że sami nigdy nie wykąpiemy ani nie wyczeszemy psa tak, jak zawodowiec – i brak wzroku nie ma z tym nic wspólnego. To kwestia miejsca, w jakim się psa kąpie, specyfików, jakich do tego używa i wielu innych rzeczy, którymi zazwyczaj nie dysponujemy.

Gdy, po kąpieli, wracaliśmy z Zako do domu, widać było, że pies się śpieszy – próbował skracać drogę, wybierać skróty i ścinać rogi. Szybko zorientowaliśmy się, że powodem tego zachowania był brak przedpołudniowej drzemki. Najpierw zakupy, potem groomer, a wszędzie tam przecież nie sposób zmrużyć oka. Dlatego też, gdy po powrocie do domu my jedliśmy obiad, Przewodnik chrapał donośnie, gdy jednak zauważyliśmy, że już nie śpi, w nagrodę za to, że był taki grzeczny i cierpliwy u fryzjera, po południu zabraliśmy go na długi spacer do lasu; mógł sobie biegać, skakać i obwąchiwać wszystko dookoła. Niestety, to jednak nie okazało się zbyt dobrym posunięciem z naszej strony – zupełnie zapomnieliśmy o wcześniejszym płukaniu uszu u groomera, a mokre uszy plus dzikie harce po lesie w wietrzne popołudnie oznaczają kłopoty. Wieczorem Zako zaczął trzepać głową i próbował się drapać po uchu. Tego wieczoru pilnowaliśmy już tylko aby kanał słuchowy pozostawał odstonięty, żeby ucho mogło się wietrzyć i trzymaliśmy kciuki, aby dolegliwości minęły w ciągu nocy – i na szczęście tak też się stało, dzięki czemu w niedzielę Zako mógł po raz pierwszy wybrać się z nami do osiedlowej galerii handlowej. Ponieważ tego popołudnia planowaliśmy odwiedzić moją chrześnicę, mieliśmy tam zamiar kupić upatrzonej wcześniej prezent.

Oczywiście, już przed samym wejściem do sklepu, wzbudziliśmy z Przewodnikiem niewielką sensację: niemal wszyscy, znajdujący się nieopodal wejścia ludzie zamarli, gdy skierowałem go w stronę obrotowych drzwi. Jestem absolutnie pewien, że przynajmniej część z nich przed oczami już miała piszczącego, przytrzaśniętego drzwiami psa lub jego Opiekuna, wyjącego wniebogłosy, z jedną ręką i nogą wystającymi na zewnątrz sklepu. Dlatego, gdy płynnie przeszliśmy przez kołowrotek szklanych tafli, prawie dostaliśmy owację na stojąco. Przyznam się Wam, że na mnie za każdym razem ogromne wrażenie robi to, jak płynnie Zako potrafi mnie przeprowadzić przez takie drzwi.

W samej galerii nie było już żadnych sensacji. Oczywiście, pies w sklepie budzi zainteresowanie, ale jest ono bardzo pozytywne. Ja, ze swej strony, też staram kierować się zdrowym rozsądkiem i nie wprowadzam Przewodnika do sklepów typu Douglas czy Sephora, gdzie jednym machnięciem ogona może on narobić

zniszczeń, na pokrycie których nie wystarczy jednej mojej pensji. Gdy idę z nim wzdłuż pasaży handlowych, sygnalizuje mi wejścia do poszczególnych sklepów; ponieważ jednak odwiedzam tam tylko kilka określonych punktów, po pewnym czasie, wraz z kolejnymi wizytami, Zako już sam nauczył się, gdzie powinien skręcać, wchodzić i się zatrzymywać. Oczywiście, najlepszym punktem orientacyjnym pozostaje dla niego sklep zoologiczny, gdzie sprzedawczyni prowadzi coś w rodzaju otwartego baru dla psów. Co ciekawe, nawet wśród ochrony galerii handlowej, Zako doczekał się swoich wielbicieli, którzy widząc, jak kierujemy się w stronę wyjścia, specjalnie podchodzą obejrzyć nasze przejścia przez obrotowe drzwi. Tego dnia skupialiśmy się jednak na najważniejszym zakupie, z którym wieczorem wybraliśmy się w gości.

Do przyjaciół pojechaliśmy taksówką. Była to pierwsza nasza wizyta z Przewodnikiem poza domem i sami jeszcze nie do końca wiedzieliśmy, jak pies się będzie zachowywał w nowym miejscu. Niepewność budziła też obecność dwójki małych dzieci. Akurat one wychowywały się z dużym psem, więc się nie bały – ale jak Zako zareaguje na małe dzieci? I tu znowu wyszła prawdziwa natura naszego spokojnego Przewodnika: po kolei obwąchał obie pociechy i położył się na swoim kocyku, który zapobiegliwie zabraliśmy dla niego. Resztę wieczoru spędziliśmy w miłej atmosferze, a psiak, jedynie od czasu do czasu, przypominał o sobie cichym chrapaniem lub prośbą o pieszczoty. Potem jeszcze tylko powrót taksówką do domu, szybki spacer i w ten oto sposób zakończyliśmy pierwszy tydzień pobytu Zako w naszym domu.



# Pierwszy miesiąc w nowym domu

Przyznam, że pierwszy wspólny miesiąc z psem to był dopiero ten właściwy, najbardziej intensywny czas dopasowywania się do siebie oraz poznawania wzajemnych oczekiwań i możliwości. W trakcie codziennych wyjść z domu powoli znikła pewna kanciastość w naszym porozumiewaniu się. Z czasem zauważałem, na które komendy i gesty Zako reaguje łatwiej, szybciej lub natychmiast, a jakie muszę powtarzać albo podkreślać ruchami smyczy. W trakcie tego miesiąca poznawałem zachowanie psa o różnych porach dnia, w różnych miejscach i okolicznościach. Uczyłem się mowy jego ciała, wyczuwania każdego skrętu, pochylenia czy odwrócenia głowy. Tempo poruszania się Zako zaczęło informować mnie o zbliżaniu się do obiektu, psów lub ostrzegało o jakimś innym zagrożeniu. Przewodnik, początkowo mający jedynie wyznaczać kierunek, nagle zaczął przekazywać mi mnóstwo danych, które musiałem nauczyć się poprawnie interpretować.

Oczywiście, cały ten proces trwał znacznie dłużej i w sumie dopiero po upływie pół roku mogłem z całą pewnością powiedzieć, co mi sygnalizuje pies. To jednak w trakcie tego pierwszego miesiąca nauczyłem się podstawowych, najważniejszych komunikatów: kiedy Przewodnik jest zmęczony, wystraszony, spragniony, zestresowany czy kiedy po prostu musi załatwić swoją potrzebę fizjologiczną albo wiedzieć, kiedy właśnie ją zaspokaja, żeby niepotrzebnie nie ciągnąć wtedy za smycz. Inne, także te z pozoru mniej istotne sygnały, w praktyce są nie mniej ważne. Jeśli Zako chciał się bawić, pochwalić zabawką lub zostać podrapany za uchem, to ja też powinienem to wiedzieć. Sytuacje, kiedy coś zwróciło jego uwagę, gdy chce albo właśnie nie chce podejść do innego psa,

powinny być natychmiast przeze mnie wyłapywane. Brak kontaktu wzrokowego sprawia, że jest to znacznie trudniejsze dla niewidomego Opiekuna czworonoga. Tym niemniej jednak, jeśli pies ma w nas widzieć nie tylko przyjaciela, lecz także Przewodnika stada, musimy być w stanie poprawnie się z nim komunikować oraz odczytywać wszystkie przekazywane przez niego sygnały. Uważam również, że jest to istotne także z uwagi na psie bezpieczeństwo: w każdej chwili Opiekun powinien być świadom tego, co robi jego Przewodnik, czy nie zbliża się do kogoś lub czegoś i czy nie próbuje interesować się rzeczami, które powinny pozostać poza zasięgiem psiego pyska. A Przewodniki są bardzo bystre i sprytne, dlatego bez skrępowań wykorzystają nieuwagę swego Opiekuna. Ten ostatni zwykle w końcu się orientuje, że coś się stało, chociażby tak, jak ja, zamyślony wracając z zakupów, nagle ze zdziwieniem słyszący, jak mijany czterolatek pyta: „Mamo, a czemu on ma chleb?”. To wystarczyło, abym dodał dwa do dwóch i skojarzył chwilowe zawahanie się psa na środku chodnika z czerstwą kromką w jego pysku. Jednak nie zawsze samowolka psa i nieuwaga Opiekuna mogą się skończyć tak łagodnie, samymi połajankami – dlatego też nie tylko w pracy, ale także na spacerach fizjologicznych, staram się bardzo mocno pilnować Przewodnika. Dzięki temu początkowo udawało mi się poruszać z nim bez kagańca – gdy ja na niego mocno uważałem, a on miał świadomość, że jestem czujny, na spacerach bardzo rzadko próbował zdobywać psi odpowiednik street food. Jeśli jednak wydaje się Wam, że wystarczy w ten sposób pilnować Przewodnika, na przykład, przez pół roku, aby zwalczyć w nim chęć zdobycia małego „co nieco”, to zapewne nigdy nie widzieliście żadnego retrievera. Decydując się na psa, którego intensywny trening bazuje na niezliczonych przysmakach, jeśli nie będziecie używać kagańca, to do końca jego życia będziecie musieli wykazywać się ekstremalną czujnością podczas wspólnych spacerów, a w szybkim wybieraniu powinniście mieć ustawiony numer telefonu do całodobowej poradni weterynaryjnej.

Warto w tym miejscu zatrzymać się na chwilę przy wspomnianych potrzebach fizjologicznych. Osobiście mam wrażenie, że wśród wielu Opiekunów Przewodników jest to temat tabu, uważam jednak, że szczególnie sprzątanie po naszym psie powinniśmy mieć dobrze przećwiczone. Na szczęście mój Zako, gdy tylko poczuje, że musi się załatwić, sam wynajduje trawnik i wskazuje mi go w charakterystyczny sposób. W jego wykonaniu jest to nagłe zatrzymanie i obrócenie głowy w stronę trawnika. Nie pozostaje mi wtedy nic innego, jak tylko puścić uchwyt upręży, poluzować smycz i pozwolić psu załatwić na trawie

potrzebę fizjologiczną. Zanim jednak zacząłem prawidłowo interpretować zachowanie psa, dwukrotnie przydarzyła nam się taka „awaryjna” sytuacja na środku chodnika – ja nie reagowałem na jego sygnały o konieczności pójścia „na stronę”, a on prowadził mnie do momentu, gdy już dalej nie był w stanie iść; wtedy po prostu przycupnął i zrobił swoje. Na takie okoliczności Opiekun Przewodnika musi być zawsze przygotowany. Woreczki na psie odchody mam praktycznie w każdej torbie i plecaku – i choć aktualnie Zako zawsze sam znajdzie jakiś trawnik, żeby się załatwić, to ja i tak gotów jestem na to, aby po nim posprzątać. Po prostu pod uwagę biorę fakt, że któregoś dnia najzwyczajniej w świecie może on zachorować i będzie wtedy musiał załatwić się w zupełnie losowym miejscu. W przypadku jednego z moich znajomych był to przedział w wagonie kolejowym. Niestety, we wspomnianej sytuacji Opiekun nie był przygotowany na taką niespodziankę, co jedynie spotęgowało całe zamieszanie.

Część miast, tak jak na przykład Warszawa, reguluje kwestię sprzątania odchodów psów asystujących. Osoby z różnego typu niepełnosprawnościami odpowiednimi regulaminami zwalniane są z obowiązku sprzątania po swym czworonożnym asystencie. Dlatego też każdy Opiekun Przewodnika powinien dowiedzieć się w swoim Urzędzie Miasta lub Gminy, czy jako osoba niewidoma zwolniony jest z tego powszechnego obowiązku.

Zwolniony czy nie, to jednak osobiście uważam, że każdy Opiekun Przewodnika powinien wiedzieć, jak po nim posprzątać; dlatego też, w trakcie przekazywania psa, sam prosiłem, aby Trenerka pokazała mi, jak to się robi. Choć wcześniej, jako osoba niewidoma, nie mogłem sobie tego w ogóle wyobrazić – przynajmniej bez wysprzątania w wyobraźni połowy osiedla z przypadkowych psich odchodów – to praktyka okazała się dość prosta. Trzymając psa na smyczy, wystarczy, z woreczkiem na psie odchody w ręku, podejść do Przewodnika załatwiającego swoją poważniejszą potrzebę, położyć mu dłoń na głowie i przesunąć ją w dół, w stronę ogona. Gdy pies pozbędzie się balastu i odsunie się od miejsca zrzutu, wystarczy opuścić dłoń na ziemię i złapać pozostawione tam odchody. Całość zadania ułatwia założenie na dłoń woreczka na odchody, tak jak zakładamy zwykłą rękawiczkę. Dzięki temu, odchody po prostu chwytny w osłoniętą dłoń, a drugą ręką naciągamy woreczek na trzymaną w garści zawartość, następnie wystarczy zawiązać woreczek i albo wrzucić go do najbliższego kosza na odchody, albo – najlepiej w dodatkowym woreczku – do torby lub plecaka, pozbywając się go przy pierwszej nadarżającej się okazji.

Tak jak wspomniałem, mnie kilkakrotnie przydała się ta umiejętność; na szczęście nie muszę tego robić regularnie. Cieszę się głównie dlatego, że zazwyczaj to, co wypada z blisko czterdziestokilogramowego Przewodnika, rzadko kiedy mieści się w jednej dłoni.~)

W trakcie pierwszego miesiąca nauczyliśmy się również potrzebnych w kontaktach z każdym psem, konsekwencji i asertywności. Jeśli Zako dostawał jedzenie, to tylko do miski; jeśli wyliczyłem, że dzienna ilość przysługującej mu karmy wynosi 300 g, to konsekwentnie z tej porcji odliczaną miał część zjedzoną w trakcie pracy; jeśli Przewodnik chciał po kimś skakać, to tylko podczas zabawy; jeśli aportować i bawić się z innymi psami, to tylko w lesie i na spacerze; jeśli po pracy lub ze spaceru wracaliśmy do domu przemoczeni deszczem, przed wejściem do mieszkania obowiązkowo wycieraliśmy łapy, a tuż za progiem całego mokrego futrzaka. Dzięki konsekwentnemu stosowaniu ustalonych z góry zasad Przewodnik nie będzie prosił o jedzenie przy stole, brudził nam mieszkania i – co najważniejsze – nigdy nie będzie mylił pracy z zabawą. U zwykłych psów jest to tylko mile widziane zachowanie, ale – przynajmniej według mnie – u Przewodników, zabieranych w publiczne miejsca, stanowi ono niezwykle ważny i bezwzględny wymóg.

Równie konsekwentnie podszedłem do kwestii komend. Starłem się, aby pies regularnie słyszał każde z wyuczonych poleceń i aby poprawnie na nie reagował. Jeśli został nauczony wskazywania słupka sygnalizacji świetlnej, to za każdym razem prosiłem Przewodnika, aby mi go wskazał przy przejściu dla pieszych. Z czasem zauważyłem jednak, że gdy wkradła się rutyna, to część komend wyszła nam z użycia. Przykładowo, ponieważ nigdy nie siadam na przystankowych ławkach, prawie nigdy nie używałem komendy: „ławka!”. Gdy w końcu zorientowałem się, co robię, a właściwie – czego nie robię, zacząłem co jakiś czas, w trakcie przechodzenia obok jakiejś ławki, prosić psa o jej wskazanie. Czasem organizowałem również ćwiczenia w domu, polegające na wskazywaniu wolnych krzeseł, ustawionych w różnych częściach mieszkania – wszystko po to, aby Przewodnik nie zapomniał wyuczonego polecenia. Dzięki temu nawet jak sporadycznie, w nowym miejscu, poproszę Zako o wskazanie wolnego siedzenia, to robi to bez wahania. Niestety, czas pokazał, że z częścią innych komend miałem podobnie – dlatego osobiście uważam, że warto jest przygotować sobie na początku posiadania Przewodnika całą listę wyuczonych komend i co jakiś czas sprawdzać na niej czy którejs nie zaniedbujemy; jeśli o jakiejś zapomnimy, zawsze możemy sami doszkolić psa.



W tym czasie wypracowaliśmy również nasz prywatny rytm dnia – o której pobudka, spacer, o której razem idziemy do pracy, a o której ja rozpoczynam moje obowiązki zawodowe. Oczywiście, Zako najszybciej przyswoił sobie godziny spacerów fizjologicznych oraz przerwy na lunch. Kiedy parzyła się moja kawa, obierałem dla niego surowe marchewki do chrupania. Nauczył się, aby wychodzić z pokoju, w którym ktoś odkurza lub włączamy odkurzacz automatyczny. Opracował sobie mapę miejsc do leżenia, obszarów, gdzie bezpiecznie może wyciągnąć się na podłozie, wiedząc, że go tam nie podepczemy. Zrozumiał także, że należy uciekać spod nóg, choć okupione to zostało kilkoma piśnięciami. W kuchni upatrzył sobie strategiczny kącik pod krzesłem, skąd obserwuje, czy przypadkiem coś mu do miski nie wpadnie. Właśnie z tego powodu miejscówka ta została przez nas okrzyknięta obserwatorium gastronomicznym.

Zgodnie z zaleceniem Pani Moniki, w trakcie pierwszego miesiąca, poza zwykłą pracą z psem, starałem się dodatkowo trenować, regularnie zabierając go do różnych, nowych miejsc. W ten sposób odwiedziliśmy kilka naszych ulubionych restauracji w mieście. Jak się wkrótce okazało, Zako był wszędzie witany z prawdziwym entuzjazmem – nigdzie nie spotkaliśmy się z sytuacją, aby ktoś zgłosił jakiegokolwiek zastrzeżenia względem obecności Przewodnika, czy to w typowej restauracji, pubie czy też pizzerii. Nawet gdy raz w chińskiej restauracji zdarzyło mu się piszczeć na widok ogromnych ryb w akwarium, wzbudził tym jedynie zachwyty właścicieli. Tym samym, potwierdziła się pewna obiegowa opinia, że często to pracownicy lokali gastronomicznych robią trudności Opiekunom psów – z obawy przed reakcją właścicieli lokalu; tymczasem, ci ostatni zwykle nie mają zastrzeżeń – przynajmniej tak wynika z mojego, obecnie ponad sześćdziesięcioletniego, doświadczenia z odwiedzania różnych restauracji w Polsce i za granicą.

Kilka razy wybraliśmy się z Zako również do kina. Na tę okoliczność, gdyby mnie ktoś zapytał, po co niewidomemu pies Przewodnik w kinie, miałem nawet przygotowaną odpowiedź: „Żeby mi czytał napisy...”. Niestety, nikt nie zapytał, a obsługa w Cinema City była wręcz doskonała. Nie dość, że podsuwali nam inne, niż na bilecie, miejsca, aby Zako mógł się wygodniej wyciągnąć, to jeszcze proponowali, że przyniosą mu wodę. Pomimo tak miłego przyjęcia, po kilku seansach zrezygnowałem z zabierania psa do kina – o ile Zako przyzwyczał się do głośnych dźwięków i ludzi non stop jedzących dookoła, to nawiew klimatyzacji, skierowany spod foteli na przejścia między nimi, na dłuższą metę, nie służył jego uszom.

Na listę nowo poznawanych miejsc, trafił również jeden z naszych szpitali miejskich. Tak się złożyło, iż regularnie odwiedzaliśmy w nim kuzynkę Alicji. Dzięki temu mogłem się przekonać, że także w szpitalu Zako jest mile widziany. Przynajmniej jeśli chodzi o skrzydła, w których przebywają pacjenci – być może wynika to z faktu, że chorych odwiedzają tam psy do dogoterapii, a może dlatego, że dla osób leżących w szpitalu każda zmiana w codziennej rutynie jest niezwykle interesująca. Nie są ważne powody, istotna była radość, z jaką z Przewodnikiem chcieli się witać wszyscy napotykanii pacjenci. W windach, korytarzach i na oddziałach.

Jak się okazało, problem pojawił się dopiero w chwili, gdy razem z psem chciałem wejść do szpitalnej kawiarni. Wtedy dopadł mnie ochroniarz, kategorycznie stwierdzając, że nie mogę tego zrobić. Wtedy ja, równie stanowczo, stwierdziłem, że z tym Przewodnikiem mogę, a on już nie tak pewnie dodał, że on tego nie wie. Uspokoilem go więc, że ja wiem o tym dobrze i po prostu wszedłem do środka już bez dalszych problemów.

W tym czasie odwiedziłem również mnóstwo sklepów, tych malutkich, osiedlowych, ale także tych typowych, miejskich lokali umiejscowionych na parterach kamienic starówki, stoisk na halach targowych i sieciówek w kilku galeriach handlowych; nie ominęliśmy również marketu budowlanego. Dosłownie nigdzie nie usłyszałem złego słowa pod adresem moim czy samego psa. Może ja mam takie szczęście, ale w każdym z odwiedzanych miejsc traktowani byliśmy z pełnym zrozumieniem. Co więcej, te kilka razy, gdy z Przewodnikiem musiałem wejść na teren Carefourra czy Castoramy, poruszanie się z psem między półkami, oczywiście podążając za pracownikiem sklepu, odbywało się znacznie szybciej, płynniej i przede wszystkim bezpieczniej, co w szczególności można było zaobserwować w markecie budowlanym. Pracownicy tego typu obiektów nie są przyzwyczajeni do prowadzenia niewidomych, więc w efekcie taka pomoc często kończyła się dla mnie dość boleśnie, na jakiejś drabinie bądź bezmyślnie pozostawionej palecie. Gdy poruszam się tam z Zako, to pies uważa na wszystkie zagrożenia, a w gestii pracownika jest jedynie dotarcie do wyznaczonego miejsca w sklepie i odnalezienie lub zademonstrowanie poszukiwanego produktu. Kolejną, odkrytą przeze mnie w tym czasie, zaletą poruszania się z Przewodnikiem, jest łatwość odnajdywania kasy lub lady, za którą czeka pracownik danego lokalu. Sprawdza się to doskonale zarówno w nowych sklepach, jak i obiektach, gdzie towar wystawiany jest między drzwiami a kontuarem, na wielu stojakach, regałach czy wieszakach. Aktualnie wystarczy rzucić psu komendę: „Kasa!”, aby

ominał wszystkie przeszkody i bezpośrednio podszedł do lady z pracownikiem, którego mogę zapytać o interesującą mnie kwestię. Muszę jedynie uważać, aby Zako równie łatwo nie ominął ewentualnej kolejki, bo w ten sposób gwałtownie mogłoby się zakończyć dotychczasowe pasmo naszych miłych kontaktów w sektorze handlowym.

Jak się również okazało, pomimo że na moim osiedlu mieszkałem od przeszło trzydziestu lat, nadal nie znałem wielu dróg, chodników i skrótów. Na początku moją ogromną konsternację budziło, gdy pies skręcał w chodnik, którego – według mnie – nie powinno być w danym miejscu. Dopiero z czasem nauczyłem się ufać Przewodnikowi na tyle, żeby podążać za nim, jednocześnie próbując rozeznaczyć się w najbliższej okolicy. W ten sposób nauczyłem się kilku nowych, alternatywnych tras, był to też ten moment, gdy zacząłem świadomie korzystać z pasywnej i aktywnej echolokacji. Wcześniej, poruszając się z białą laską, byłem zbyt skupiony na odnajdywaniu charakterystycznych punktów chodnika, jednak odkąd zacząłem chodzić z psem, o wiele łatwiej jest mi się koncentrować na słyszanych odgłosach, odbitych echach i cieniach akustycznych. Dzięki nim nie mam problemów z ustaleniem, w jakim kierunku podążam, do czego się zbliżam lub od czego oddalam. W ten sposób zacząłem poruszać się z Przewodnikiem o wiele efektywniej, wykorzystując nowe, często znacznie krótsze przejścia. Co ciekawe, Zako doskonale radzi sobie również z wykrywaniem ścieżek i podążaniem nimi – traktuje je jak linię, której należy się trzymać. Jeśli więc wiem, że gdzieś znajduje się ścieżka, na przykład, umożliwiająca przejście na przełaj rozległego trawnika, to wystarczy zwykła komenda skrętu, aby pies odnalazł tę ścieżkę, skręcił w nią i prowadził mnie aż do następnego chodnika – przy czym nie ma dla niego znaczenia czy jest to zwykła dróżka wydeptana w trawie, czy ubita ścieżka w głębokim śniegu.

Pierwszy miesiąc z Przewodnikiem przyniósł nam jeszcze jedno, dość zaskakujące odkrycie: okazało się bowiem, że nagle wszyscy chcą się z nami spotykać, zapraszają nas do siebie albo próbują umówić się na mieście. Nie powiem, było to bardzo przyjemne, ale nie budziło też żadnych wątpliwości, że chodzi o naszego nowego psa. Ponieważ razem z Alicją jesteśmy miłośnikami *Canis lupus familiaris*, wcale nas to nie dziwiło ani w żaden sposób nam nie przeszkadzało. Zaskoczyło nas jedynie podejście, wszystkich naszych znajomych i rodziny, co do zachowania oraz wyszkolenia Zako. Mieliśmy wrażenie, że każdy próbował testować i oceniać, w jakim stopniu Przewodnik jest posłuszny, jak bardzo poprawnie wykonuje komendy i jak się zachowuje w różnych sytuacjach. Było

to o tyle dziwne, że dosłownie żadna z tych osób nie miała najmniejszego doświadczenia z psami pracującymi, nie wiedziała więc, jak dane zachowanie Przewodnika czy reakcja na komendę powinny wyglądać. Co więcej, nie wiedziały nawet, kiedy pies pracuje, a kiedy nie; odniosłem wręcz wrażenie, że ludzie spodziewali się zachowania na zasadzie „włącz i wyłącz”. Jeśli Przewodnik był włączony, to powinien pracować, a wyłączony spać. Dlatego też, z niejakim rozbawieniem, obserwowaliśmy pojawiającą się u naszych gospodarzy konsternację, gdy pies uwolniony od uprzęży zaczynał spacerować po mieszkaniu. Ewidentnie nie przyszło im wcześniej do głowy, że Zako poza pracą jest zwykłym, ciekawskim, młodym psiakiem.

W tym okresie nauczyłem się również tego, że nie wszędzie warto zabierać ze sobą Przewodnika. Wcześniej wielokrotnie rozmawialiśmy na ten temat z Alicją, mieliśmy sporo teorii, lecz w końcu doszliśmy do wniosku, że dopiero praktyka je zweryfikuje. Jest to o tyle istotne, że wszyscy Opiekunowie psów mają w tym obszarze własne doświadczenia, dobre i złe, co każdemu pozwala prezentować osobiste, często odmienne od mojego zdanie. Prywatnie posiadam dwie takie grupy miejsc. Do pierwszej zaliczam lokalizacje niesłużące psiemu zdrowiu i samopoczuciu. Są to m.in. wielotysięczne, głośne koncerty, nieodpowiednio przygotowane plaże w upalne dni czy chociażby te wspomniane multipleksy. Część z takich miejsc jest dla mnie oczywista, a część trafiła na czarną listę, lecz niestety dopiero po naszych wspólnych, złych doświadczeniach. Niezależnie od lokalizacji, na pozostanie Zako w domu duży wpływ ma również temperatura panująca za oknem. I tak jak retrievery bardzo dobrze znoszą niskie temperatury, to jeśli przez dłuższy czas temperatura przekracza 25 stopni Celsjusza, to osobiście uważam, że Przewodnik powinien zostać w domu. Ludzie często zapominają, że pies łapami stąpa po rozgrzanych chodnikach i że musi oddychać nagrzanym, zakurczonym powietrzem, unoszącym się tuż nad ziemią. Bardzo fajne rozwiązanie dylematu, kiedy zabierać ze sobą Zako, a kiedy nie, jeszcze w trakcie przekazywania psa pokazała mi Pani Monika. Jeśli wychodzę z Przewodnikiem z domu i – w perspektywie – mam pracę dłuższą, niż trzyminutowy spacer do najbliższego sklepu, to sprawdzam bosą stopą, czy chodnik mnie nie parzy. Jeśli dla mnie temperatura chodnika będzie akceptowalna, to dla psich łap również. Przy tym badaniu warto wziąć pod uwagę rodzaj podłoża – przykładowo kostka brukowa nagrzewa się znacznie mniej niż asfaltowy chodnik.

Do drugiej grupy zaliczam lokalizacje, skąd – z uwagi na potrzeby Zako – nie będziemy mogli w każdej chwili wyjść; oczywiście mam tu na myśli tylko

takie sytuacje, na które sami mamy wpływ, a nie wynikają one na przykład z obowiązków służbowych oraz kiedy w dotarciu i na samym miejscu damy sobie radę bez pomocy psa. Najprostszym przykładem takich okoliczności są rodzinne imprezy okolicznościowe – z jednej strony, nie możemy wyjść z uroczystości tuż po przyjeździe, a z drugiej przecież nie przywiążemy siostrzeńca smyczą do kaloryfera, żeby nie męczył naszego Przewodnika. Z doświadczenia już wiem, że żadne prośby ani groźby nie działają – rodzice takiego smyka doskonale wiedzą, że dobrze ułożony pies nie robi krzywdy ich dziecku, więc pozwalają mu na wszystko. Aby oszczędzić Zako stresu, jeśli na taką imprezę idę lub jadę z kimś, kto będzie moim Przewodnikiem, to zostawiam go w domu, gdzie do towarzystwa ma smacznie wypełniony kong.

Pierwszy wspólny miesiąc przyniósł nam również pierwszy wspólny wyjazd do pracy. Niestety, od czasu do czasu, w ramach obowiązków zawodowych, muszę podróżować w najróżniejsze miejsca naszego kraju, a czasem i za granicę. Na pierwszy wyjazd służbowy nie zabrałem ze sobą Zako, ponieważ był ze mną wtedy dopiero od kilku dni. Szczęśliwie się jednak złożyło, że na kolejny mogłem wybrać się z Michałem, który w drodze z Łodzi do Krakowa, podjechał po nas swoim samochodem. Jak się okazało, znajomy jeździ dużym vanem, z którego przewidując, przed podróżą, wymontował dwa fotele. Dzięki temu Przewodnik do Krakowa jechał jak prawdziwy lord, posiadając mnóstwo miejsca do spania, miał nawet własny pas bezpieczeństwa, który zapobiegliwie kupiłem jakiś czas wcześniej i mogłem teraz zrobić z niego użytek, przypięciem zabezpieczając psa przed ewentualnymi skutkami nagłego hamowania, a nawet wypadku. W tak komfortowych warunkach Zako zajechał na krakowską Akademię Górniczo-Hutniczą, gdzie, całkiem niespodziewanie, zarówno dla mnie, jak i dla niego, stał się jedną z głównych atrakcji konferencji, w której braliśmy udział.

Początkowo Zako zachwycił dwie Anny, czyli moje koleżanki z pracy – to one zadbały, aby przy naszym stoisku godnie się prezentował; tak przygotowały ekspozycję, aby i dla Przewodnika znalazło się w niej miejsce. Ponieważ nie wiedziałem, ile czasu potrwa całe wydarzenie, a nie chciałem, aby marzł, rozłożyłem mu kocyk na marmurowej podłodze. Zako spoczął na nim z wdziękiem – i zaczął wabić do siebie coraz to nowych dziennikarzy. Już po krótkim czasie, pomimo iż prezentowany przez nas projekt był najmniejszym z obecnych, przed naszym stoiskiem kłębił się tłum dziennikarzy. Jak nietrudno było przewidzieć, po chwili padły pierwsze propozycje nakręcenia wypowiedzi dotyczących naszego projektu, ale koniecznie z Przewodnikiem w tle. Siła

rażenia mojego Chesapeake'a była tak duża, że zgłosił się do nas również człowiek od kształtowania wizerunku z propozycją, abyśmy przedstawili nasz projekt premierowi Gowinowi. W ten oto sposób dosłownie chwilę później, stojąc ramię w ramię z Wicepremierem, w świątłach kamer relacjonowałem naszą pracę oraz osiągnięcia. Opowiadając o podejmowanych działaniach, nagle poczułem, że ktoś głaszcze mojego psa. I jak tu teraz powiedzieć Premierowi, aby trzymał ręce przy sobie?

Jeszcze jedną rzeczą, której przyszło mi się nauczyć w trakcie pierwszego miesiąca z Przewodnikiem, to postawa złego gliny i znoszenie tych karcących spojrzeń oraz wcale nie ukradkowych komentarzy. W czym rzecz? Chodzi o to, że od czasu do czasu pracując z psem, musimy wymóc na nim pewne zachowania i sprawić, aby na przykład przestał popełniać jakieś błędy. Przykładowo, w sytuacji, gdy idę chodnikiem, a Zako chcąc ominąć kałużę, bez ostrzeżenia sprowadzi mnie z chodnika na ulicę lub sprawi, że odczuwalnie otrę się ramieniem o mijaną latarnię, powinienem natychmiast i stanowczo reagować. Muszę pokazać Przewodnikowi, że robi źle i zaraz potem dać mu szansę, aby się poprawił. Niestety, aby to zadziałało, trzeba odstawić mały teatr pod tytułem: „Niedobry i niegrzeczny pies, zrobił panu krzywdę”; a moja rola w tej sztuce zwykle jest głośna, dodatkowo często towarzyszy jej poklepywanie miniętego słupka, szeleszczenie gałęzią, o którą się otarłem i wykrzykiwanie do wystraszonego Przewodnika: „Co to jest?! Jak ty chodzisz?! Co ty robisz?!”. Oczywiście, w takiej sytuacji, dodatkowo muszę się cofnąć z psem kilka metrów i dać mu szansę poprawnego przejścia felernego odcinka trasy. Wtedy Zako idzie wolno, jest skupiony, co chwilę taksuje mnie wzrokiem, aby ocenić moje wymiary i czy się zmieści na zaplanowanej przez niego drodze. Zawsze wystarcza mu jedna powtórka, aby wziął odpowiednią poprawkę i możemy iść dalej. Niestety, w trakcie całego spektaklu docierają do mnie komentarze, jakim to jestem niewdzięcznym Opiekunem, znęcającym się nad swoim Przewodnikiem i zmuszającym go do katorżniczej pracy. Naturalnie, nikomu z komentujących nie przyjdzie do głowy, że po wspomnianej ulicy mógłby właśnie jechać samochód i albo – przez nieuwagę psa – to ja wszedłbym pod jego koła albo przechodząc zbyt blisko jakiejś osoby, mógłbym ją, podobnie jak mijaną latarnię, potrącić i niechcący wepchnąć przechodnia pod ten sam nadjeżdżający pojazd. Oczywiście, w trakcie kilku pierwszych takich sytuacji nie zdzierżyłem i z trudem trzymając nerwy na wodzy, spokojnie wyjaśniłem widowni przyczyny mojego zachowania. Myślę, że tylko dzięki temu na osiedlu nie dostałem wtedy łatki psiego sadysty. Tego

typu sytuacje przydarzają się dość często na początku chodzenia z Przewodnikiem – później są one już tylko incydentalne, gdy pies znajduje się w zupełnie nowym terenie lub gdy jest mocno rozkojarzony, na przykład z powodu wysokich temperatur. W każdym razie, jeśli kiedyś będziecie w podobnej sytuacji, radzę albo w ogóle się nie odzywać, albo przypadkowym komentatorom spróbować wyjaśnić techniki tresury Przewodnika. Może to Wam oszczędzić wizyty patrolu Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami – i nie jest to sytuacja hipotetyczna, gdyż znam jedną taką autentyczną historię, gdzie zaniepokojeni sąsiedzi, nie mając pojęcia o tresurze psów, zawiadomili TOZ, że niewidomy Opiekun znęca się nad swoim Przewodnikiem.

Jeszcze jedną rzeczą, która objawiła się w trakcie naszego miodowego miesiąca, było całkiem nieoczekiwane brudzenie moich ubrań przez Zako. Bardzo szybko przekonałem się, że gdy z deszczu lub niedługo po tym, gdy przestało padać, wracałem do domu, całe nogawki miałem zachlapano drobnymi kamykami i piaskiem. Okazało się, że to sprawka Zako, który przednimi łapami zagarniał i odrzucał do tyłu to, co akurat leżało na ziemi – a że to „coś” było mokre, to już zostawało przyklejone do moich nogawek. Niestety, nie zmieniło się to do dziś. Gdy wiele lat wcześniej znajomy Opiekun Przewodnika wspominał, że kobiety to mają fajnie, ponieważ, idąc z psem, mogą założyć wysokie buty i po przyjsciu na miejsce i zdjęciu obuwia będą czyste, zupełnie go wtedy nie rozumiałem. Dopiero teraz dotarło do mnie, co miał na myśli: dziś, przygotowując się na jakieś oficjalne spotkanie, na którym będę z Przewodnikiem, robię to z pełną świadomością, że – po jednorazowym założeniu garnituru – będę musiał oddać go do czyszczenia. Jest to kolejny z grupy ukrytych kosztów, których wcześniej zupełnie się nie spodziewałem.





# Pierwszy wspólny rok

Nasz pierwszy wspólny rok obfitował w wiele przedziwnych historii i wydarzeń, głównie dlatego, że dla nas – jako tandemu – wszystkie one stanowiły nowe okoliczności, w których razem musieliśmy się odnaleźć. Na pewno ich wspólnym mianownikiem były podróże, w czasach przed pandemicznych stanowiące bardzo istotną część mojej pracy.

Doskonale pamiętam pierwszą samodzielną podróż z Przewodnikiem do Krakowa. Był to okres, gdy na trasie Katowice – Kraków albo w ogóle nie kursowały pociągi, albo jechały one tak długo, że nikt kto naprawdę nie musiał, nimi nie podróżował. Alternatywę stanowiły różnego rodzaju połączenia autobusowe: od tradycyjnych PKS, przez niewielkie busiki, aż po profesjonalnych prywatnych przewoźników. Sam wielokrotnie korzystałem z usług tych ostatnich, więc nie przewidywałem żadnych trudności, jednak gdy wraz z Zako, z zakupionym biletem chciałem wsiąść do autokaru, okazało się, że, jak zwykle, to człowiek stanowi najszabsze ogniwo.

Jeden z kierowców zagroził mi wejście i stwierdził, że on z psem mnie nie wpuści. Zapytałem więc grzecznie, dlaczego, a w odpowiedzi usłyszałem, że firma nie przewozi zwierząt. Nadal bardzo grzecznie wyjaśniłem Panu, że to nie jest zwykły pies, ale pies asystujący. Pokazałem mój bilet na przejazd, osobny bilet dla Przewodnika i skonstatowałem, że skoro jego firma sprzedała mi bilet na przejazd z psem, to może zwierząt nie przewożą, ale Przewodniki już tak. Zasugerowałem też, aby zasięgnął dodatkowych informacji w oddalonej od nas o niespełna 5 metrów firmowej kasie, w której przed momentem zakupiłem bilety. Kierowca chwilę pomyślał, po czym – wracając na swoje miejsce za kierownicą – już tylko mruknął, żebyśmy przeszli na koniec autobusu, aby nie tarasować korytarza.

I chyba znowu mieliśmy szczęście, ponieważ – mniej więcej w tym samym czasie – dwie bardzo dobrze znane mi osoby w identycznych okolicznościach nie zostały wpuszczone z psami do autobusów innych przewoźników. Jedna taka sytuacja miała miejsce w Krakowie, a druga w Lublinie, pierwsza zakończyła się oświadczeniem i przeprosinami firmy przewozowej, druga, niestety, znalazła swój finał w sądzie. Na szczęście każda z tych spraw zyskała odpowiedni rozgłos, a jej echa musiały dotrzeć do przewoźników świadczących usługi autobusowego przewozu osób, ponieważ później już ani razu nie słyszałem o podobnych problemach w komunikacji międzymiastowej, czy międzynarodowej.

Wraz z odkryciem nowego środka transportu, razem z Zako musieliśmy nauczyć się nowych sposobów podróżowania. Po raz kolejny okazało się, że duży pies stanowić może duży problem, szczególnie gdy musimy się razem z nim zmieścić w bardzo ograniczonej przestrzeni, w dodatku współdzielonej z innymi pasażerami. Niestety, różnego rodzaju podpórki pod stopy, będące tak miłym udogodnieniem dla pasażerów podróżujących autokarami, stanowią bardzo irytujący ogranicznik miejsca dla Przewodnika. Wcześniej zupełnie nie zwracałem na nie uwagi, a tu nagle okazało się, że większość z nich, nawet jeśli została zaprojektowana jako składane rozwiązanie, to już od dawna nie działa zgodnie z zamysłem projektanta; były one na ogół zepsute i nie dało się ich złożyć. Gdy do tego dorzucimy jeszcze zabudowaną przestrzeń pod fotelami, na przykład na ogrzewanie, to nagle okazuje się, że tak duży pies, jak Zako wygodnie podróżować może jedynie w przejściu między fotelami. W podobnej sytuacji zawsze starałem się, aby zająć jedno z ostatnich miejsc w autokarze, tak aby leżący w korytarzu Przewodnik, przeszkadzał jak najmniejszej liczbie osób. To, oczywiście, nie było idealne rozwiązanie – kilkakrotnie osoby wysiadające wcześniej musiały przechodzić nad psem, a to nie było komfortowe ani dla nich, ani dla Zako. Była to również niebezpieczna sytuacja, ponieważ wystarczyła chwila nieuwagi, aby przez przypadek ktoś nadepnął na psa. W takich warunkach, gdy jest ciasno, często ciemno, a pasażerowie przemieszczają się w trakcie jazdy autokaru, bardzo łatwo o nieuważny krok, który mógłby zakończyć się – mniejszą lub większą – kontuzją, na przykład psiej łapy. Dlatego też uważam, że jeśli ktoś mieszka w lokalizacji, gdzie często będzie musiał podróżować z psem autokarami lub mniejszymi busami, to koniecznie powinien o tym poinformować organizację szkolącą Przewodniki, tak aby na etapie dopasowywania wzięto pod uwagę gabaryty psa. Obecnie znam dwie osoby niewidome, będące w takiej właśnie sytuacji – jedna ma malutkiego labradora i daje sobie radę, wsuwając go pod własne siedzenie, nawet

w małych busikach, druga niestety posiada psa wielkości Zako – i bardzo często kierowcy busów, widząc ją stojącą z Przewodnikiem na przystanku, w ogóle się nie zatrzymują; oni też przekonali się, że jazda z dużym psem jest niewygodna i może być niebezpieczna dla ich pasażerów.

Z tego powodu możecie sobie wyobrazić, jak ogromnie się ucieszyłem, gdy na trasie Katowice – Kraków pociągi zaczęły wreszcie jeździć normalnie, czyli mniej więcej tak samo szybko, jak dwadzieścia lat wcześniej. Natychmiast – i bez żalu – porzuciłem podróże autokarowe na rzecz kolei żelaznych – a z tymi ostatnimi, w trakcie pierwszego wspólnego roku, zdążyliśmy całkiem nieźle się zaznajomić.

O psie, który jeździł koleją, mogę pisać w samych tylko superlatywach. Trasa, jaką najczęściej pokonywaliśmy z Zako, to odcinek Katowice – Warszawa. Na tej trasie przeważnie poruszałem się nowoczesnymi składami Pendolino lub podobnymi, bezprzedziałowymi pociągami. Wspominam o tym dlatego, że te wagony na dworcach Centralnym i katowickim nie stanowią dla Przewodnika żadnego wyzwania. Zako w ogóle nie musi wskakiwać ani wyskakiwać z pociągu – wystarczy, aby zrobić dwa kroki i jest wewnątrz lub na zewnątrz wagonu. Oczywiście wiedziałem, że nie wszędzie i nie zawsze tak będzie – na przykład, pamiętam moje zdziwienie, gdy na poznańskim dworcu okazało się, że z tego samego pociągu w jednym miejscu można wysiąść, robiąc niewielki krok, a w innym, znajdującym się na końcu składu, trzeba było wykonać solidnego susa, aby doskoczyć do krawędzi peronu, znajdującej się niespodziewanie nisko i daleko w stosunku do wyjścia z pociągu. Dlatego w trakcie naszego pierwszego wspólnego roku postarałem się o zakup nieco innej uprząży. Po analizie różnych konstrukcji mój wybór padł na model produkowany przez węgierską firmę Julius K9. Wśród jej najistotniejszych zalet wymienić można specjalny, dodatkowy uchwyt oraz zaczep na smycz, ulokowane między psimi łopatkami. Łapiąc za wspomniany uchwyt, mogę asekurować Przewodnika przy wsiadaniu lub wysiadaniu ze składu. Przydaje się to szczególnie w sytuacji, gdy wejście do wagonu jest znacznie oddalone od krawędzi peronu albo znajduje się niestandardowo nisko lub wysoko. Pomagając w ten sposób Zako, z boku wyglądam trochę tak, jakbym trzymał uchwyt dużej torby wkładanej do pociągu. Wspomniany zaczep umożliwia natomiast podpięcie smyczy, dzięki czemu w sytuacji, gdyby wyskakujący z pociągu Przewodnik, popchnięty przez nieuważnego pasażera, wpadłby między wagon a krawędź peronu, mógłbym go uchronić przed niebezpiecznym upadkiem na tory. Gdyby jednak nie udało się zapobiec podobnej sytuacji, to dzięki odpowiedniej konstrukcji produktu, trochę

jak na uprzęży alpinistycznej, mogę go z powrotem samodzielnie wyciągnąć na peron. Tak zabezpieczony pies nie zostanie również przyduszony obrozą, a jego krtań oraz kręgosłup szyjny nie będą narażone na urazy. Co ciekawe, etykieta z napisem „Przewodnik” mocowana jest na rzep. Dzięki temu, z myślą o zagranicznych podróżach, od razu zaopatrzyłem się w etykiety z napisami w językach angielskim i fińskim – „Guide Dog” oraz „Opaskoira”<sup>10</sup>.

I nie są to sytuacje hipotetyczne: znam co najmniej trzy osoby, których Przewodniki zostały w podobny sposób zepchnięte przez śpieszących się pasażerów, pod – na szczęście – nadal stojący pociąg. Z każdej z tych przygód pies nie wyszedł bez szwanku – dwa Przewodniki nabawiły się poważnych kontuzji, a trzeci potężnego lęku przed wsiadaniem oraz wysiadaniem z pociągu; obecnie, przy każdej podróży, wymaga on wnoszenia i wynoszenia na rękach z wagonu.

Na szczęście nasza pierwsza, samodzielna podróż odbyła się bez najmniejszych trudności i wyznaczyła pewien standard działania na przyszłość. Pierwsze plusy zauważyłem od razu po wejściu na dworzec. Idąc z Zako płynnie i wygodnie omijałem pasażerów oraz pozostawiany przez nich w najmniej oczywistych miejscach bagaż, również, niemal natychmiast, zostałem zauważony przez zamówioną wcześniej asystę dworcową. Ponownie okazało się, że jako osoba poruszająca się z Przewodnikiem, zwracam na siebie o wiele większą uwagę, niż idąc z białą laską. Dalej szedłem już za asystentami. Gdy tylko dotarliśmy na peron odjazdu, podszedł do mnie kierownik pociągu z pytaniem, czy jadę razem z nimi; gdy tylko to potwierdziłem, zapewnił mnie, że mogę liczyć na jego pomoc w czasie podróży.

W trakcie wsiadania do pociągu nie mieliśmy żadnych problemów. Asekuracyjnie poprosiłem asystentów, aby przypilnowali, żeby żaden pasażer nie próbował równoczesnego wchodzenia do wagonu, co mogłoby zakończyć się wypadkiem. Przepiąłem smycz z obroży na grzbiet uprzęży i – ponieważ podróżować mieliśmy niziutkim Pendolino – nawet nie łąpałem za jej uchwyt. Kazałem Zako odnaleźć drzwi i podejść do krawędzi peronu, puściłem pałąk uprzęży, przełożyłem smycz do lewej ręki... i powtórzyła się historia z pierwszego treningu pociągowego. W stresie sprawdzam stopą odległości między peronem a wagonem, dłonią szukam uchwytów i – tylko czując delikatny ruch smyczy – jakimś skrajem świadomości rejestruję, że Zako obok wykonuje dwa spokojne kroki, po czym grzecznie czeka na mnie w wagonie. Lekko zawstydzony dołączyłem

---

<sup>10</sup> Pies Przewodnik po angielsku i fińsku.

do Przewodnika i pozwoliłem sobie przyjąć gratulacje od asystentów, którzy już byli przygotowani na wnoszenie psa do wagonu.

Dalej było już z górki: kierownik pociągu wskazał nam nasze miejsca i zapowiedział, że w trakcie podróży będzie do nas zaglądał. Odpiąłem jeszcze pałąk upręży – to jej kolejne udogodnienie, sprawiające, że Przewodnikowi podróżuje się znacznie wygodniej, uchwyt nie odstaje i o nic nie zaczepia, przez co sam pies zajmuje też mniej miejsca. Wcześniejsza uprzęż wymagała mozolnego odpinania, prawie odplątywania uchwytu – w nowym modelu cała operacja zajmuje dosłownie sekundę. Jedno kliknięcie, komenda: „Cofaj!”, aby Zako wszedł tyłem między fotele, następnie: „Siad!” i „Waruj!”, aby Przewodnik położył się na podłodze od strony okna; sam zająłem miejsce od przejścia. Od tamtego czasu zawsze tak podróżujemy: pies ma dla siebie mnóstwo przestrzeni pod oraz między fotelami, leży sobie tak, jak mu wygodnie i nie ma ryzyka, że ktoś przypadkiem na niego nadeptnie.

Dlatego też wagony bezprzedziałowe stały się moim podstawowym wyborem na każdą podróż koleją. Próbowałem sobie wyobrazić, jak miałbym zmieścić tak dużego psa w przedziale wraz z nogami co najmniej sześciu osób – ale to, co widziałem w wyobraźni, nie było wygodne ani dla pasażerów, ani dla Przewodnika. Niestety, wkrótce miałem mieć sposobność, aby się o tym przekonać na własnej skórze – kupując bilety, trafiłem w końcu na takie połączenie, na którym nie było wagonów bezprzedziałowych. W efekcie znalazłem się, wraz z Zako, w sześćciosobowym przedziale. Na całe szczęście oprócz nas, do przedziału wsiadły tylko dwie osoby, mogłem więc psa położyć pod oknem, samemu usiąść pośrodku, a pozostałych pasażerów poprosić, choć mieli wykupione inne miejsca, aby usiedli przy drzwiach. W ten sposób w miarę wygodnie udało nam się dotrzeć do celu – jednak od tamtej pory, gdy tylko na interesującej mnie trasie nie ma wagonów bezprzedziałowych, zostawiam Zako w domu.

Planując pierwszą podróż koleją, od razu zakupiłem dwa bilety, jeden dla mnie, drugi dla Przewodnika. Dzięki takiemu rozwiązaniu Zako miał dla siebie wystarczająco dużo przestrzeni. Aktualnie psy asystujące nie muszą posiadać własnego biletu na podróż pociągiem, jednak kupując osobny bilet, co ważne – wraz z miejscówką, zapewniam Przewodnikowi odpowiednio dużo miejsca. Dzięki temu, nawet podróżując w przedziale, możemy wykupić dwa miejsca naprzeciwko, co sprawi, że również w takich warunkach nieduży Przewodnik podróżował będzie całkiem wygodnie. Może nam to także oszczędzić sporo nerwów i troski o psa. Niestety, doskonale pamiętam, jak kiedyś, wracając z Wrocławia, jechałem pociągiem,

do którego przesiadło się kilkaset osób z innego, zepsutego składu – ludzie stali dosłownie wszędzie. Gdybym nie miał wykupionego osobnego miejsca dla Zako, nie wyobrażam sobie, jak miałbym przewieźć Przewodnika w takich warunkach. Pasażerowie w tym tłoku i tak próbowali przemieszczać się wzdłuż pociągu, deptając stopy innych osób, a przy okazji także ich bagaże; gdyby w takiej wspólnej przestrzeni leżał pies, to ta podróż nie zakończyłaby się bez jakiejś kontuzji.

W Warszawie wysiadanie poszło nam „jak z płatka”. Oczywiście, najpierw musiałem obudzić Zako i z powrotem przypiąć mu uchwyt do upręży, następnie podszedłem do drzwi, wydałem komendę: „Zostań!” i sam opuściłem wagon. Gdy już się upewniłem, że nie zagraża nam żaden śpieszący się pasażer, wydałem komendę: „Hopla!”, aby Przewodnik bezpiecznie wyskoczył z pociągu. A Zako, jak to Zako, bo nie zmieniło się to do dziś, zrobił dwa leniwe kroki i – stając obok mnie na peronie – zaczął trącać mnie pyskiem, domagając się natychmiastowej nagrody za tak efektowne opuszczenie wagonu. Cała sytuacja ponownie mnie zaskoczyła swoją prostotą i płynnością, a dezynwoltura mojego Przewodnika jedynie rozbawiła Panią Monikę, czekającą na nas na peronie.

Na szczęście nasze późniejsze wspólne podróże koleją nie odbiegają od opisanego powyżej standardu. Nigdy nie spotkałem się z jakimiś negatywnymi komentarzami pasażerów. Co więcej, załogi pociągów, szczególnie InterCity, mają dużą wiedzę o podróżujących koleją psach asystujących. Niektórzy konduktorzy pamiętają nawet imiona częściej podróżujących Przewodników. Warto o tym pamiętać w sytuacjach awaryjnych. Kiedyś pociąg, w którym była moja znajoma z psem, mający rozkładowo jechać osiem godzin, z uwagi na usterkę techniczną, w sumie jechał ponad trzynaście godzin – żaden pies nie powinien wytrzymywać tyle czasu bez załatwiania swoich potrzeb fizjologicznych. Gdybym sam się znalazł z Zako w podobnych okolicznościach, to tak, jak znajoma, prosiłbym kierownika pociągu o wskazanie najbliższego, dłuższego postoju oraz o zorganizowanie na danej stacji asysty dla osoby niepełnosprawnej, która pomogłaby mi szybko wyprowadzić psa na stronę.

W trakcie pierwszego wspólnego roku nie mogło się obejść również bez podróży lotniczej; Choć w owym czasie latałem dość regularnie, to z zabieraniem ze sobą czworonożnego Przewodnika, asekuracyjnie odczekałem około pół roku. Chciałem mieć pewność, że współpracujemy ze sobą na tyle dobrze, że będę prawidłowo odczytywał przekazywane przez psa sygnały oraz poprawnie na nie reagował. W końcu, wraz z wieloma postronnymi pasażerami, zamknięci będziemy w metalowej puszcze na wysokości dziesięciu kilometrów nad ziemią, więc nie

mogłem sobie pozwolić na żadne niespodzianki. Gdy stwierdziłem, że obaj dojrzeliliśmy do takiego wyzwania, zamawiając bilety lotnicze na kolejny wyjazd, poprosiłem, aby zaznaczono również przelot psa asystującego.

Jak się okazało, kwestia zakupu biletu lotniczego dla Przewodnika, to temat rzeka, do tego rwąca, meandrująca i pełna nieprzewidywalnych bystrzy. Praktycznie każdy przewoźnik lotniczy posiada własne, odrębne procedury, które musimy zweryfikować przed podróżą. Dla przykładu przytoczę tylko kilka z nich: WizzAir od podróżnego żąda przesłania na 24 godziny przed lotem skanów dokumentów naszych i naszego Przewodnika, Ryanair dodatkowo wymaga, aby organizacja szkoląca znajdowała się na liście certyfikowanych podmiotów, kupując bilet w Norwegian wystarczy zaznaczyć czy lecimy z psem asystującym, czy Przewodnikiem, a Finnair automatycznie do każdego niewidomego pasażera dopisuje psa Przewodnika. Z mojego doświadczenia wynika, że u jednych przewoźników lepiej jest nam kupić bilet przez Internet, a u innych przez infolinię; finalnie i tak musimy dokładnie sprawdzić, czy na naszych biletach znalazły się wszystkie niezbędne informacje; Zawsze warto też posiadać kopie różnych dokumentów. Mnie jeden przewoźnik całkowicie pomylił aż cztery loty, usuwając Przewodnika z jednych rejsów, a uwzględniając go na tych, na które nie chciałem go zabierać. Inny przewoźnik zmienił oznaczenie psa asystującego na psa towarzyszącego i nie chciał wpuścić mnie z Zako na pokład samolotu, dopiero posiadane przeze mnie oryginały biletów, zawierające prawidłowe informacje, były w stanie przekonać obsługę przewoźników, że to ja mam rację i że wszystko zostało wcześniej prawidłowo zgłoszone.

Na szczęście, procedury lotniskowe wszędzie są takie same. Na lot z Przewodnikiem musimy zgłosić się nieco wcześniej, głównie dlatego, że oprócz tradycyjnej odprawy, musimy odprawić też psa. Lotniskowe służby weterynaryjne sprawdzają certyfikat Przewodnika, weryfikują go z chipem znajdującym się pod jego skórą. Certyfikat powinien być w języku angielskim, opcjonalnie polski oryginał wraz z jego tłumaczeniem powinny być poświadczane notarialnie. Sprawdzany jest także paszport psa, w Polsce kilkakrotnie proszony byłem również o książeczkę zdrowia Przewodnika. Służby w paszporcie weryfikują, czy pies posiada odpowiednie szczepienia, musimy być przygotowani na to, że w docelowym kraju ktoś także zweryfikuje nasze dokumenty. Przed podróżą, oczywiście, sami musimy sprawdzić, jakie aktualne szczepienia powinien posiadać nasz Przewodnik – jest to o tyle istotne, że różnią się one w zależności od kraju, do którego się udajemy. Inny zestaw jest wymagany na przykład w Niemczech, Austrii czy Czechach, a inny w Finlandii czy Wielkiej Brytanii.

I już na sam koniec, jeszcze jeden, ale bardzo istotny element, o którym bardzo często zapominają lub po prostu nie wiedzą, osoby wybierające się w podróż lotniczą z psem: zawsze musimy mieć ze sobą kaganiec dla Przewodnika. Pies asystujący na pokładzie nie musi mieć go założonego, ale personel pokładowy lub służby lotniskowe prawie zawsze sprawdzają, czy mamy go ze sobą – jest to jeden z elementów bezpieczeństwa na pokładzie. W sytuacji awaryjnej powinniśmy mieć możliwość założenia Przewodnikowi kagańca, na przykład przed awaryjnym lądowaniem. Tego wymogu skrupulatnie przestrzegają wszyscy przewoźnicy, przy czym nie może to być tzw. kaganiec weterynaryjny w formie opaski na pysk – takie rozwiązanie dopuszczalne jest jedynie w gabinecie weterynarza, gdy pojawia się konieczność zabezpieczenia nerwowego pacjenta dosłownie na kilka minut. Biorąc to pod uwagę, na potrzeby podróży lotniczych, kupiłem zajmujący naprawdę niewiele miejsca miękki, skórzany kaganiec – na szczęście jeszcze nigdy nie musieliśmy z niego korzystać, ale zawsze mamy go ze sobą.

W przypadku podróży lotniczych bardzo istotna staje się kwestia psich potrzeb fizjologicznych. Na lotnisku musimy pojawić się odpowiednio wcześniej, czasem czeka nas bardzo długi lot, a czasem podróż z przesiadką. Dlatego też niektóre lotniska wychodzą naprzeciw potrzebom czworonogich pasażerów. Przykładowo, przed głównym wejściem do krakowskiego lotniska w Balicach znajduje się ogrodzony wybieg dla psów, z kolei lotnisko Vantaa w Helsinkach posiada wybieg dla podróżujących psiaków pokryty sztuczną trawą, ulokowany wewnątrz samego terminala. Jednak nie każde lotnisko dysponuje takimi udogodnieniami – dlatego, jeśli podejrzewam, że Zako może chcieć pójść na stronę, a wiem, że czeka nas długa podróż lub szybka przesiadka, to zazwyczaj proszę asystę lotniskową o wyprowadzenie psa na krótki spacer. Pracownicy mogą to zrobić, korzystając z miejsc, gdzie załatwiają się służbowe psy lotniskowe. Najczęściej robiłem tak w przypadku przesiadek na warszawskim Okęciu i nigdy nie miałem z tym problemów. Zawsze też, bez względu na typ transportu, przed podróżą koniecznie zabieram psa na spacer. Warto o tym pamiętać, ponieważ większość przewoźników lotniczych reguluje te kwestie w swoich regulaminach – jeśli Przewodnik załatwi swoją potrzebę fizjologiczną nie tylko na pokładzie samolotu, ale także w okolicy bramek lub na hali odlotów, to przewoźnik ma prawo finansowo ukarać Opiekuna, umieścić psa w luku bagażowym, a nawet odmówić jego zabrania.

Zako swój pierwszy lot odbył z Katowic do Dortmundu. Po tym, jak odpowiednio wcześniej pojawiłem się na lotnisku, zgłosiłem się do punktu informacyjnego, gdzie poinformowałem, że czekam na zamówioną asystę. Już po chwili, idąc



z Przewodnikiem za asystentem, dotarliśmy na odprawę. Wezwany weterynarz szybko przejrzał dokumenty, zeskanował chip i wydał zgodę na przelot psa. Zapytany zostałem jeszcze czy posiadam kaganiec dla Przewodnika oraz poproszony o jego okazanie. Gdy już wszystko wydawało się zmierzać ku szczęśliwemu zakończeniu, pojawił się niewielki stres związany oczywiście z procedurami przewoźnika, w tym wypadku akurat WizzAir. Przypominam, że ten przewoźnik wymaga, aby niezbędne dokumenty przesłać na 24 godziny przed lotem. Sekretariat, organizujący moją podróż, rozpoczyna pracę w poniedziałek o 9:00. Zanim zauważony został e-mail, automatycznie przesłany w weekend przez przewoźnika z prośbą o mailowe dostarczenie skanów dokumentów, zebrano i odesłano wszystkie skany, była godzina 10:00 w poniedziałek – a wylot odbywał się we wtorek o godzinie 6:10. Oczywiście, ktoś zwrócił na to uwagę i zrobił się problem proceduralny – w pewnym momencie jakiś pracownik przewoźnika zasugerował nawet, że Zako nie będzie mógł polecieć. Na szczęście okazało się, że na lotnisku w Katowicach pracują rozsądni ludzie, którzy do tego dobrze kojarzą mnie i Alicję z dość częstych podróży, więc finalnie, przez znajdujące się na lotnisku biuro WizzAir, udało się wszystko pomyślnie załatwić i mogliśmy przejść do następnego etapu podróży.

Kolejny przystanek na lotnisku stanowiła kontrola bezpieczeństwa. W przypadku psa wygląda to różnie na różnych lotniskach, ale najczęściej służby proszą, żeby zdjąć Przewodnikowi uprząż i obrożę, aby całość została prześwietlona tak jak nasz bagaż podręczny. Gdy uprząż była prześwietlana, ja przechodziłem kontrolę bezpieczeństwa. Najpierw wydałem Zako komendę: „Siad!”, a następnie: „Zostań!”. Kiedy już byłem pewien, że grzecznie siedzi, przeszedłem przez bramkę wykrywacza metali. Gdy celnik stwierdził, że ze mną wszystko jest OK, po prostu zawołałem Przewodnika, który w radosnych podskokach do mnie dołączył. Z powrotem ubrałem mu zdjęte wcześniej obrożę oraz uprząż i za asystą udaliśmy się do hali odlotów. Do samolotu jechaliśmy autobusem, a na pokład wchodziliśmy po schodach – w zależności od lotniska, możemy spotkać się ze znacznie wygodniejszymi rękawami, ale także ze specjalnymi podnośnikami, zwanymi Ambulift, unoszącymi nas wprost do drzwi samolotu, są to udogodnienia stworzone z myślą o osobach mających trudności w poruszaniu się, ale zdarza się czasem, że wraz z Zako jedziemy taką windą do nieba. O wiele szybciej i łatwiej jest przejść z psem po schodach, dlatego podejrzewam, że wynika to po prostu z procedur postępowania na danych lotniskach.

Na pokładzie samolotu również obowiązują procedury, dlatego z Przewodnikiem nie możemy usiąść sobie w dowolnym rzędzie. Z tego też powodu, gdy lecę z Zako, nigdy nie kupuję konkretnego miejsca – załoga pokładowa i tak posadzi mnie tam, gdzie procedury na to pozwolą. W przypadku, najpopularniejszych w Europie, samolotów wąskokadłubowych, takich jak na przykład Airbus A320 czy Boeing B737, są to najczęściej miejsca zlokalizowane w pierwszym rzędzie foteli. Wynika to z prozaicznego faktu, że po prostu jest tam najwięcej przestrzeni między siedzeniami a ścianką odgradzającą wyjścia ewakuacyjne.

W lepiej zorganizowanych liniach lotniczych, po zakupie biletu z psem asystującym, taki cały rząd trzech foteli rezerwowany jest tylko dla mnie i Zako; inni pasażerowie nie mogą wykupić tych miejsc. Jeśli jednak przewoźnik nie przewidzi podobnego rozwiązania, czasem z pomocą przychodzi obsługa lotniska – jeszcze w trakcie odprawy zmienia ona pasażerom miejsca i rezerwuje dla nas pierwszy rząd. Zdarza się jednak i tak, że lotnisko uzna, że to nie ich problem, co najczęściej dotyczy tanich przewoźników, a wtedy personel pokładowy, zaskoczony obecnością psa na pokładzie, po prostu prosi pasażerów, aby się przesiedli do tyłu. Jak łatwo się domyślić, ponieważ z przodu jest najwięcej przestrzeni, a pasażerowie zapłacili za te miejsca odpowiednio więcej pieniędzy, to nie są oni szczególnie zachwyceni, gdy nagle ktoś każe im się przesiąść, czemu czasem bez skrępowania i w dosadnych słowach dają wyraz. Chociaż dotychczas w takich sytuacjach złość pasażerów skupiała się na personelu pokładowym, to w takich okolicznościach też nie czułem się zbyt komfortowo.

Nieco inaczej wygląda sytuacja w mniejszych samolotach, na przykład bardzo popularnych w Polsce i Europie turbośmigłowych Bombardierach Q400 czy odrzutowych Embraer. W tych samolotach fotele rozlokowane są jak w autokarze, po dwa miejsca z każdej strony – wtedy załoga jedynie pilnuje, aby pies nie leżał w rzędzie, w którym znajdują się wyjścia ewakuacyjne. Niestety, po raz kolejny wielkość Przewodnika daje tutaj o sobie znać: gdy w takiej maszynie Zako kładzie się wzdłuż rzędu foteli, to łeb wystaje mu do samego przejścia, nie wsunie się pod siedzenia, ponieważ z jednej strony, tak jak w autokarach, umieszczono tam podnóżki, a z drugiej znajdują się schowki na kamizelki ratunkowe. Staram się wtedy nakłonić psa, aby zwinął się w kłębek między siedzeniami, jednak na okoliczność, gdyby, na przykład, przez sen zmienił pozycję, ja przez cały lot muszę pilnować, aby żaden z pasażerów lub członków załogi, szczególnie tych jadących z wózkiem serwisowym, nie nadepnął lub nie przejechał psa. Jak łatwo się domyślić, takie podróżowanie nie jest szczególnie komfortowe.

Na szczęście, nasz pierwszy wspólny lot odbyliśmy Airbusem A320, gdzie po wejściu na pokład od razu zostaliśmy skierowani do pierwszego rzędu foteli. Odpiąłem uchwyt uprząży i położyłem Przewodnika na podłodze – jak się okazało, było tam na tyle dużo miejsca, że po tym, gdy psiak swobodnie wyciągnął się pod moimi nogami oraz dwoma sąsiadującymi siedzeniami, na trzecim fotelu – od strony przejścia – mogła jeszcze podróżować jedna pasażerka. Wcześniej obawiałem się, że na pokładzie samolotu Przewodnik będzie bał się takich rzeczy jak ciągły hałas, drżenie podłogi czy zmiany ciśnienia. Początkowo, Zako cały czas mnie obserwował – nie wiedział, jak traktować wszystko to, co działo się dookoła. Szybko też się okazało, że moja współpasażerka jest Niemką i że w domu posiada własnego psa asystującego, zapewniającego jej wsparcie emocjonalne. Niestety, z uwagi na kontuzję łapy, tym razem leciała bez swojego asystenta. Uczynna podróżniczka, oczarowana Zako, przez cały lot dostarczała mi informacji o zachowaniu Przewodnika. Finalnie, w przeciwieństwie do mnie, Zako po chwilowym zainteresowaniu nowym otoczeniem, przespał większość lotu, nie zwracał żadnej uwagi na start ani lądowanie. Tak naprawdę, gdyby nie zaczepiające go stewardessy, przespałby dokładnie całą podróż. Od tamtej pory, Zako samolotem lata dokładnie tak samo, jak ja: wsiadamy na pokład, zajmujemy swoje miejsca i idziemy spać. Zazwyczaj budzi nas dopiero otwieranie podwozia lub samo lądowanie. Jeśli nikt go nie woła, nie próbuje głaskać, to Zako nie zwraca żadnej uwagi na otaczających go ludzi.

Podróż powrotna odbyła się już bez niespodzianek, dokładnie według powyższego scenariusza. Po przybyciu na lotnisko w Dortmundzie, przy odprawie, sprawdzono nasze dokumenty, a ponieważ był to lot powrotny, nawet nie fatygowano weterynarza. Przy kontroli bezpieczeństwa poproszono mnie, abym rozebrał Zako z uprząży, która następnie została prześwietlona. Gdy i ja zostałem sprawdzony, ubrałem Przewodnika i przeszliśmy na halę odlotów. Samego lotu oczywiście nie pamiętam, ponieważ zgodnie go przespaliśmy.

W trakcie naszego pierwszego wspólnego roku lataliśmy jeszcze dwukrotnie: raz na trasie Katowice – Warszawa – Katowice oraz Kraków – Helsinki – Kraków. Niestety, z każdą z tych podróży wiązał się jakiś problem na polskim lotnisku. W pierwszym przypadku, w trakcie powrotu z Warszawy okazało się, że dzień wcześniej skończyła się ważność szczepień na wściekliznę. W efekcie obsługa lotniska stwierdziła, że nie wpuści Przewodnika na pokład samolotu. Na szczęście, tym razem wyjątkowo wcześniej zgłosiliśmy się na lot, więc mieliśmy jeszcze dość czasu, aby z lotniska taksówką podjechać do weterynarza, który wykazał się dużym zrozumieniem i po zaszczepieniu psa, do jego paszportu oraz odpowiedniego

systemu komputerowego wprowadził taką datę szczepienia, że Zako już bez przeszkód został wpuszczony na pokład samolotu. W drugim przypadku, o czym już wcześniej wspominałem, przewoźnik zmienił oznaczenie psa Przewodnika na psa towarzyszącego i nie chciał wpuścić mnie z Zako na pokład samolotu; dopiero posiadane przeze mnie oryginały biletów, zawierające prawidłowe informacje, były w stanie przekonać obsługę lotniska, że to ja mam rację i że wcześniej wszystko zostało poprawnie zgłoszone. Co ciekawe, lecąc z Przewodnikiem do Polski, na zagranicznych lotniskach nigdy nie miałem żadnych problemów z procedurami ani ich personelem. Co prawda, raz na lotnisku w Zurichu musiałem się tłumaczyć z tego, że nie porzuciłem psa, ale w końcu udało mi się wyjaśnić, że to tylko polski narodowy przewoźnik pomylił oznaczenia na biletach i że wcale nie przyleciałem do Szwajcarii z Przewodnikiem tylko po to, aby go tam bezdusznie porzucić.

Z samego jeszcze Dortmundu i naszej pierwszej wspólnej podróży lotniczej, pozostaną ze mną dwa nieprzyjemne wspomnienia związane z dodatkowymi konsekwencjami, wynikającymi z poruszania się z psem. A ponieważ jedno bezpośrednio łączy się z lotniskiem, to od razu o nim wspomnę.

Po wylądowaniu w Dortmundzie i opuszczeniu terminala przylotów, wraz z Zako, skierowałem się w stronę stojących przed wejściem taksówek. Zwykle znajdują się tam naganiacze, z daleka zachęcający do skorzystania z usług różnych korporacji. Jednak, gdy tylko ruszyłem w ich stronę, z pierwszego samochodu wyskoczył kierowca, krzycząc głośno: „Nicht mit Hund! Nicht mit Hund!” Zanim podszedłem bliżej, w okolicy taksówek zrobiło się straszne zamieszanie – zatrzymałem się zdezorientowany, ponieważ cała awantura toczyła się po turecku. Podszedł wtedy do mnie jeden z kierowców i zaprosił do stojących nieco dalej taksówek. Gdy zapytałem go, co tam się dzieje i skąd to zamieszanie, okazało się, że krzyczący kierowca był muzułmaninem i nie chciał przewozić Przewodnika w swoim samochodzie. W kulturze islamu, pies, podobnie jak świnia, jest zwierzęciem nieczystym, a według Koranu, tam, gdzie pojawia się pies, nie może pojawić się Bóg. Dlatego też część bardziej ortodoksyjnych taksówkarzy czy kierowców takich korporacji jak Uber, nie zgadza się na przewożenie Przewodników. Czytałem wcześniej o podobnych problemach, jakie mają podróżujący z psami asystującymi w Stanach Zjednoczonych, ale nie spodziewałem się, że mnie samego też to spotka, w dodatku tak szybko – i to w środku Europy. W międzyczasie na postoju sytuacja eskalowała i między oponentami doszło do bójki na pięści. Już w drodze do hotelu nasz kierowca wyjaśnił, że regulamin korporacji zobowiązuje każdego z nich do przewozu psów asystujących. Pierwszy kierowca, nie zgadzając

się na przewiezienie Przewodnika, złamał regulamin korporacji, czym naraził firmę na możliwość utraty licencji na obsługę lotniska, stąd też pojawiła się taka, a nie inna, reakcja pozostałych kierowców. Dla mnie samego żadnego kłopotu nie stanowi sytuacja, w której taksówkarz odmawia wykonania kursu z psem – oczywiście pod warunkiem, że bez problemu będę mógł wsiąść do następnej stojącej w kolejce. A niestety nie zawsze jest to możliwe.

Kilka lat później, z Alicją i Zako, wybraliśmy się autokarem do Krakowa. Po dotarciu na dworzec przeszliśmy na postój taksówek ulokowany nieopodal kas biletowych. Na postoju grzecznie zapytałem kierowcę, czy zabierze mnie z Przewodnikiem – on jednak zdecydowanie odmówił. Żaden problem, obok stoi drugie auto. Kolejny kierowca jednak mówi to samo, po czym dodaje, że ich korporacja ma zakaz przewożenia zwierząt. Obaj panowie twierdzili, iż mają taki zapis w wewnętrznym regulaminie firmy.

Jeszcze z dworca zadzwoniłem do dyspozytora, który potwierdził słowa kierowców. Przez telefon zapytałem więc, czy dla ich firmy nie mają znaczenia obowiązujące w Polsce przepisy, tj. ustawa o rehabilitacji zawodowej i społecznej oraz obowiązek, jaki ona nakłada na przewoźników publicznych, również taksówkarzy uzyskujących licencję na przewóz osób, w tym wyłączną licencję na obsługę publicznego obiektu, jakim jest dworzec autobusowy. Dyspozytor stwierdził, że nie, ponieważ oni mają własny regulamin, który ich obowiązuje. W takich okolicznościach mogłem jedynie poinformować go, że jest w błędzie i że właśnie jedziemy do radia Kraków poopowiadać o psach przewodnikach, gdzie na pewno wspomnę o zaistniałej sytuacji.

Kilkadziesiąt minut później odebrałem telefon od korporacji – gdy oznajmiłem, że nie mogę rozmawiać, bo właśnie wchodzimy do studia, pan dyspozytor szybko poinformował mnie, że w korporacji sprawdzili obowiązujące przepisy i że miałem rację – kierowcy powinni byli zabrać psa. Zostałem jeszcze przeproszony za zaistniałą sytuację oraz zapewniony, że odpowiednie zmiany zostaną wprowadzone do regulaminu firmy. Podziękowałem za telefon i zmianę stanowiska – od tamtej pory już nigdy nie miałem problemów z przewozem Przewodnika czy to z krakowskiego dworca autobusowego, czy kolejowego, nie słyszałem też o sytuacji, aby ktokolwiek miał tam podobny kłopot z przejazdem psa asystującego.

Od czasu naszej pierwszej podróży lotniczej, oprócz opisanej powyżej sytuacji, tylko raz zdarzyło mi się, aby kierowca zamówionej taksówki nie zabrał mnie

z Przewodnikiem. Zwykle, zamawiając transport, uprzedzam, że będę jechał z psem – czasem dyspozytor pyta, jaki to pies i jak może on podróżować. Zazwyczaj, gdy informuję, że jest to Przewodnik, znikają wszelkie wątpliwości, może jednak zdarzyć się tak, że będę musiał poczekać chwilę dłużej na kierowcę, który zgadza się przewozić psy, dlatego zwykle taksówkę zamawiam odpowiednio wcześniej. We wspomnianej sytuacji kierowca po prostu nie odczytał informacji od dyspozytora i – po przyjeździe na miejsce – stwierdził, że posiada silną alergię i za żadne skarby świata nie wpuści psa do samochodu. Na szczęście, kierowcy w korporacji taksówkowej, z której zazwyczaj korzystam, wręcz uwielbiają Zako – przy zleceniu na mój adres albo z mojego numeru automatycznie wyświetla im się informacja o kursie z psem, a gdy wychodzę przed dom, samochód już czeka przygotowany dla Przewodnika.

Wcześniej wspominałem, że przy przekazywaniu psa poprosiłem Trenerkę, abyśmy przećwiczyli wsiadanie i wysiadanie do i z samochodu w różnych okolicznościach. Warto wyjaśnić, jak to może wyglądać, ponieważ bardzo często spotykam się z wyobrażeniem, że Przewodnik w taksówce zwykle podróżuje wygodnie wyciągnięty na tylnej kanapie. Tymczasem, rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej – w tym wypadku również istnieje kilka technik, które dobieramy odpowiednio do okoliczności. Ja najczęściej korzystam z dwóch. Pierwsza, najmniej absorbująca kierowcę, polega na przewożeniu psa na podłodze samochodu, przed przednim fotelem pasażera. Podchodząc do taksówki, zwykle proszę kierowcę, aby przesunął fotel maksymalnie do tyłu. Następnie odpinam Zako uchwyt upręży i sam wsiadam do samochodu, prawą nogę chwilowo pozostawiając na zewnątrz auta i zapraszam Przewodnika do środka. Zako po wejściu siada przed moim fotelem, ja wkładam do samochodu drugą nogę, upewniam się, że ogon w całości znajduje się w środku i dopiero wtedy zamykam drzwi auta. Pies siedzi między moimi nogami. Między drzwiami a fotelem, umieszczam pałąk upręży, zapinam pas, po chwili Przewodnik wygodnie zwija się w kłębek między moimi nogami. Pewnie dla kobiety podróżującej w spódnicy czy sukience ten sposób nie będzie najwygodniejszy, ale ja korzystam z niego najczęściej. Każdorazowo, gdy jadę z jakimś kierowcą po raz pierwszy, nie wierzy on, że Zako w ogóle się zmieści na wycieracze przed fotelem. Dlatego też zwykle taka jazda kończy się kilkoma zdjęciami wykonanymi przez kierowcę z komentarzem: „Muszę to sfotografować, bo nikt mi nie uwierzy”.

Drugi sposób jest znacznie prostszy, ale wymaga samochodu w wersji kombi oraz kierowcy, który zgodzi się w ten sposób przewieźć Przewodnika; z mojego doświadczenia wynika, że zgadzają się na to zwykle osoby, które dokładnie tak samo

przewożą własne psy. Jeśli oba warunki zostaną spełnione, to wystarczy, gdy wydam Zako komendę: „Hopla!”, aby wskoczył do bagażnika, zwinął się w nim na podłodze i w ten sposób wygodnie pokonał całą podróż. Właśnie z uwagi na komfort Przewodnika, jeśli do pokonania mam dłuższą trasę, zwykle staram się zamówić taksówkę w wersji kombi z kierowcą, który chętnie przewiezie Zako w bagażniku.

Co ciekawe, w trakcie naszego pierwszego wspólnego roku przyszło nam również odbyć trwającą ponad 8 godzin zagraniczną podróż samochodem. Tu jednak mieliśmy sporo szczęścia – jak się okazało, do austriackiego Linz jechaliśmy z Michałem, który już wcześniej troszczył się o komfort podróżowania mojego Przewodnika. Michał ponownie wymontował dwa fotele ze swojego vana, tak, że z jednej strony Zako jechał wygodnie rozciągnięty na podłodze auta, a z drugiej był przypięty specjalnym pasem bezpieczeństwa łączącym jego uprząż z samochodowym zapięciem pasów. Jak się później okazało, w trakcie upalnej, letniej podróży odkrył on wewnątrz auta kilka nawiewów klimatyzacji, pod które – z upodobaniem – wystawiał różne, co bardziej newralgiczne części ciała. Michał zadbał także o inne potrzeby mojego Przewodnika. Po dotarciu na miejsce okazało się, że wynajął dla nas domek na szczycie jednego ze wzgórz otaczających Linz – dzięki temu Zako miał okazję radośnie pohasać wśród austriackich lasów, a nawet poganiać się z napotkanymi na spacerach psami.

A i same spacery, również się nieco zmieniły w trakcie naszego wspólnego roku – niestety okazało się, że dla Zako pokusa skosztowania czegoś na spacerze jest zbyt duża; do dziś szczególnym sentymentem darzy różnego rodzaju ptactwo lub jego pozostałości. Anglicy nie bez powodu przedstawicielej tej rasy nazywają „Duck Dog”, czyli – w wolnym tłumaczeniu – pies na kaczkę. Tak więc, gdy któregoś dnia Zako po spacerze, ku naszemu wielkiemu zdumieniu i konsternacji, zwymiotował całego, martwego ptaka, zastanawiałem się jedynie, jak wcześniej dał radę go capnąć zębami i połknąć w całości tak, że w ogóle tego nie zauważyłem. Był to wreszcie ten moment, gdy ostatecznie zdałem sobie sprawę, że sam nie jestem w stanie dopilnować odpowiednio zdeteminowanego Przewodnika – w efekcie czego udaliśmy się wspólnie do sklepu zoologicznego, aby dobrać mu odpowiedni kaganiec. Wybór padł na lekki, plastikowy model, idealnie dopasowany, latem umożliwiający psu swobodne ziajanie i chłodzenie się, a zimą, dzięki plastikowej konstrukcji, znacznie przyjemniejszy dla jego pyska. Posiada on na tyle duże otwory, aby futrzak mógł swobodnie skubać trawę, ale nie pozwala pochłonąć niczego niebezpiecznego. Od tamtej pory Zako na każdy swój spacer wychodzi zabezpieczony. Czasem jednak, w trakcie wspólnej pracy, wypuszczam go

na przypadkowe trawniki, aby załatwił swoje potrzeby fizjologiczne – i choć wtedy nie zakładam mu kagańca, to zwracam wyjątkową uwagę na to, co robi, żeby odpowiednio zareagować, gdyby zainteresował się niepożądanymi obiektami. Nie zawsze mi się to udaje, jak wspomniałem wcześniej, Przewodniki to naprawdę sprytne psy, co tylko potwierdza historia, jaka mi się przydarzyła niewiele później.

W trakcie naszego pierwszego wspólnego roku zostałem zaproszony na konferencję do Warszawy, aby, jako jeden z ekspertów przybliżyć przedstawicielom różnych jednostek publicznych nowy standard dostępności cyfrowej. Po dotarciu na miejsce stwierdziłem, że mamy jeszcze trochę czasu i że warto go wykorzystać, aby Przewodnik załatwił swoje potrzeby fizjologiczne. Z jedną z wolontariuszek, współpracujących przy organizacji konferencji, wyszliśmy na wewnętrzny dziedziniec budynku. Znajdował się tam niewielki trawnik i kilka drzew. Tyle w zupełności wystarczyło – ponieważ jednak nie znałem tego terenu, poprosiłem wolontariuszkę, aby zwracała uwagę na to, czy pies się czymś wyjątkowo nie interesuje. Po chwili wróciliśmy do budynku i zająłem miejsce na ogromnej sali. Gdy nadeszła pora mojego wystąpienia, wszedłem z Zako na scenę i stanąłem za mównicą. Przewodnika położyłem obok, tak, aby też był dobrze widoczny dla uczestników i przystąpiłem do prezentacji wspomnianego standardu. Po kilku minutach wystąpienia, do moich uszu dobiegły dziwne, ale nie do końca obce odgłosy. Gdy zorientowałem się, co one zwiastują, było już za późno. Zako bardzo efektownie, na oczach tłumu przedstawicieli administracji publicznej stolicy i okolic, zwymiotował połknięte na spacerze gołębie skrzydło. Towarzyszące temu charakterystyczne, ciepłe zapachy oraz gromkie śmiechy z sali sprawiły, że moja konsternacja i zakłopotanie sięgnęły zenitu. Na szczęście, organizatorzy wykazali się niezwykłym refleksem i – oprócz błyskawicznego posprzątania dowodów psiej samowolki – umiejętnie obrócili tę sytuację w świadomościowe wystąpienie. Pewnie tylko dlatego nie spałem się tam ze wstydu; jednak od tamtej pory doskonale wiem, że do upilnowania sprytnego Przewodnika nie wystarczy tylko jedna para oczu.

W kontekście samego kagańca dość szybko zaobserwowałem ciekawą prawidłowość: gdy idę chodnikiem z Przewodnikiem bez kagańca, czyli najczęściej wtedy, gdy on pracuje, sporo właścicieli psów próbuje podprowadzać swoje pociechy pod pysk Zako, aby się z nimi przywitał. Widzą, że Przewodnik jest spokojny, ułożony i posłuszny, więc nic nie grozi ich pupilom. Za to, gdy jesteśmy na spacerze fizjologicznym i ludzie widzą dużego psa w kagańcu, to szybkoitko przywołują swoje czworonogi do siebie, żeby nie miały one kontaktu z – w ich



mniemaniu – agresywnym psem. Dzięki temu nasze spacerunki fizjologiczne stały się o wiele przyjemniejsze – przestałem stresować się dodatkowymi przekąskami Zako, a co bardziej zwariowane psy trzymane są od nas z daleka.

W trakcie naszego pierwszego wspólnego roku okazało się również, że są takie miejsca, do których udajemy się na dłużej, lecz gdzie nie możemy lub nie chcemy zabierać ze sobą Przewodnika. Wcześniej niby zdawałem sobie z tego sprawę, ale dopiero praktyka pokazała, że nie jest to błaży problem. W naszym wypadku pojawił się on wraz z letnim urlopem na południu Europy – nagle zdałem sobie sprawę, że nie chcę zabierać psa w miejsce, gdzie temperatura w cieniu sięga 35°C, a chodniki rozgrzane są do niewyobrażalnych temperatur. Decyzja w takiej sytuacji mogła być tylko jedna – hotel dla psów; my będziemy urlopować się na gorących piaskach, a Zako w tym czasie odpocznie od pracy i radośnie spędzi czas na gorących piaskach... znaczy na zabawach z innymi pieskami. Sprawa wydawała się dość błaża, jednak szybko okazało się, że wcale taka nie jest.

Jak pokazała praktyka, istnieje kilka podstawowych problemów w tej sytuacji. Pierwszy polega na tym, że hotele dla zwierząt albo w ogóle, albo bardzo niechętnie zgadzają się na goszczenie dużych psów. Jak twierdzą sami hotelarze, wynika to z ich doświadczenia – gdy przyjmowali duże osobniki, to często otrzymywali źle wychowane i słabo zsocjalizowane zwierzęta, w efekcie czego dochodziło do scysji z innymi psami, pogryzień pracowników itd. – stąd takie, a nie inne, podejście. Niestety, psy z grupy retrieverów uznawane są za duże, często „postrzelone”, a przez to są niechętnie przyjmowane w hotelach dla zwierząt. Aktualnie zwykłą praktyką wśród hotelarzy stało się zapraszanie Opiekunów z podopiecznymi na tak zwane godziny zapoznawcze – w ich trakcie psy zapoznają się z otoczeniem oraz innymi hotelowymi lokatorami, właściciel hotelu ocenia zachowanie oraz charakter zwierzęcia i dopiero na tej podstawie podejmuje decyzję czy pies może zostać przyjęty do jego obiektu. Jest to też najlepsza okazja dla Opiekuna, aby osobiście sprawdzić, w jakim stopniu internetowy opis hotelu pokrywa się z rzeczywistością. Co ważne, ten casting zazwyczaj jest płatny z góry – jeśli nie zapłacimy, to nie zostaniemy zaproszeni na wizytę. Na szczęście, nadal można znaleźć kilka hoteli, gdzie ich właściciele nie każą sobie płacić za możliwość zweryfikowania, w jakich warunkach będzie pomieszkiwał nasz Przewodnik.

Drugi problem stanowią rodzaje hoteli, najczęściej do czynienia mamy z dwoma typami – kojcowymi i domowymi. W przypadku tych pierwszych pies większość czasu spędza zamknięty w kojcu, a w ciągu dnia wyprowadzany jest tylko

na spacery fizjologiczne. Co lepsze hotele w ramach usług oferują jakiś dodatkowy czas poświęcany zwierzakowi, na przykład na zabawę na wybiegu. Niestety, te gorsze są w stanie zgromadzić nawet kilkanaście psów, którym w ciągu dnia zapewnia się niewiele uwagi. Według mnie, tego typu hotele nie są najlepszym rozwiązaniem dla Przewodnika, który 24 godziny na dobę spędza ze swoim Opiekunem i jest przyzwyczajony do całodobowej obecności człowieka. Dlatego sam dla Zako od razu szukałem hotelu domowego albo – używając nazewnictwa marketingowego – Hotelu Rodzinnego. Ten typ obiektu zazwyczaj jest niewielki, a prowadzące go osoby najczęściej same posiadają psy i na określony czas przyjmują pod swój dach maksymalnie do trzech dodatkowych sztuk; najczęściej jest to właśnie uzależnione od wielkości psa. Nasz Przewodnik traktowany jest jak członek rodziny i pozostałe zwierzaki należące do stada, cały dzień spędza z domownikami – i to dosłownie. Zako, w trakcie swojego pierwszego pobytu hotelowego, towarzyszył jednemu ze współwłaścicieli obiektu w trakcie koszenia trawników, osuszania łąki czy w sklepowych zakupach. Istnieją też hotele dla zwierząt, gdzie te dwie formy mogą się łączyć. W takich obiektach właściciele posiadają zestaw kojców dla mniej wymagających psów, na przykład takich, które większość czasu i tak spędzają na dworze. Jednocześnie, dla bardziej wymagających lub delikatniejszych osobników, oferują usługę przechowania jednego lub dwóch psiaków w swoim domu, pośród własnych zwierzaków.

I tu dochodzimy do trzeciego problemu, jakim są terminy. Skoro dobrych hoteli domowych jest mało, to – aby zarezerwować miejsce dla naszego Przewodnika – powinniśmy zacząć działać około pół roku przed docelowym terminem, a jeśli interesujący nas okres wypada w czasie jakichś świąt, wakacji lub długiego weekendu, to całkiem rozsądnie jest zrobić rezerwację od razu na rok do przodu.

Na nasze szczęście o tym wszystkim dowiedzieliśmy się dość późno, ponieważ, zupełnym przypadkiem, Alicja znalazła, nieopodal swojego rodzinnego domu, wspaniały hotel, prowadzony przez przesympatycznych ludzi. Jego nazwa również była całkiem sympatyczna – Psia Chatka. To właśnie w nim Zako spędził swój pierwszy i kilka kolejnych urlopów: całe dni towarzyszył Pani Ewie i jej mężowi, a z ich zwierzakami radośnie hasał po sąsiedniej parceli, w całości przeznaczonej na psi wybieg. Dopiero gdy zdrowie przestało dopisywać Pani Ewie, musieliśmy rozejrzeć się za jakimś innym hotelem – wtedy też się przekonaliśmy, jakie wcześniej mieliśmy szczęście, trafiając do jej Psiej Chatki. Gdy przed wakacjami zajeżdżaliśmy przed bramę hotelu, Zako wyskakiwał z samochodu radosny i od razu próbował obskakiwać Panią Ewę, a gdy, po urlopie, wracaliśmy po niego,

to choć cieszył się na nasz widok, nie wyglądał na takiego psa, który chciałby porzucić zabawy z kumplami na rzecz powrotu do pracy.

Nawet jeśli aktualnie nie planujemy pozostawiania Przewodnika w hotelu, mamy gdzie go przechować – na przykład u rodziny, to dobrze jest zrobić rozeznanie w możliwościach hotelowych, ponieważ nigdy nie wiemy, co może nam się przytrafić.

Bardzo dobrym pomysłem jest również rozeznanie się w lokalnym rynku usług opiekunów zwierząt, zwanych petsitterami lub – w kontekście już samych psów – dogsitterami. Opieka taka przybiera różne formy – w zależności od potrzeb, ograniczyć się może do jednorazowego wyprowadzenia Przewodnika na spacer, a czasem trwać przez kilka dni. Największa różnica polega na tym, że pies nie przebywa wtedy w hotelu, lecz pozostaje w domu, czyli doskonale sobie znanym otoczeniu, a petsitter jedynie go odwiedza, aby zadbać o jego potrzeby, takie jak spacer, karmienie czy regularne podawanie leków, gdy Opiekun jest w pracy. Dogsitterem zostać może nawet nasz sąsiad, u którego zauważymy słabość do psów – dla Zako takie usługi świadczy, mieszkająca po sąsiedzku, Weronika, która, najpierw jako nastolatka, a obecnie studentka, od czasu do czasu w ten sposób dorabia sobie parę złotych. Z czasem warto sprawdzić jakość usług kilku petsitterów – taka przezorność wynika z działania prawa Murphy'ego: podobnie, jak w przypadku hotelu, ten jeden może być niedostępny akurat wtedy, gdy będziemy go najbardziej potrzebować.

Znam osoby niewidome, które do pewnego momentu zawsze miały gdzie podrzucić psa, ale w końcu dochodziło do takiej sytuacji, że dotychczasowe miejsce okazywało się być niedostępne w danym terminie, a Opiekun Przewodnika nie mógł go zabrać ze sobą, na przykład do szpitala. Wtedy właśnie hotel lub petsitter, szczególnie taki znający już psa i jego specyfikę, może okazać się dla nas ostatnią deską ratunku. Nie chodzi tu nawet o jakieś wyjątkowo dramatyczne sytuacje – czasem wystarczy odpowiednio wysoka gorączka czy zwykły atak rwy kulszowej sprawiające, że nie będziemy w stanie samodzielnie wyprowadzić Przewodnika na zwykły spacer fizjologiczny.

Warto też, tak jak robiliśmy to w przypadku pozostawiania Zako samego w domu, zacząć od krótszych pobytów hotelowych, na przykład weekendowych. Pozwoli to nam ocenić zarówno kondycję Przewodnika po jego pobycie w hotelu, jak i sam hotel. My zaczęliśmy od weekendu majowego, który był przygrywką do dłuższego wyjazdu wakacyjnego. Skoro sprawdził się pierwszy, krótszy pobyt, to ze znacznie

spokojniejszą głową i sercem mogliśmy wypoczywać w ciepłych krajach. Podobnie, pozostawianie Przewodnika pod opieką dogsittera – zaczęliśmy od jednego spaceru, a gdy okazało się, że dla Zako taka forma opieki nie stanowi żadnego problemu, systematycznie wydłużaliśmy ją do kilku dni, na przykład długiego weekendu.

Nasz pierwszy wspólny rok pokazał nam jeszcze, że jednak istnieją takie lokalizacje, gdzie nie możemy wejść z Przewodnikiem. Co ciekawe – nie było to w Polsce; w tym miejscu ponownie wrócę do już wspomnianej, drugiej nieprzyjemnej sytuacji z Dortmundu.

Jak się okazało, przez zupełny przypadek zatrzymałem się w hotelu położonym może 100 metrów od stadionu Borussia Dortmund. Nie wiedząc o tym fakcie, mocno się zdziwiłem, gdy – przy meldunku – w recepcji czekała na mnie cała legenda i fanowska nagonka na zwiedzanie stadionu, znajdującego się tam muzeum klubu oraz – co najważniejsze – na wspieranie klubu poprzez zakupy w sklepie Borussia. Pewnie odpuściłbym sobie te, dla mnie – bądź co bądź – wątpliwe atrakcje, gdyby nie kilka rzeczy. Pierwsza to smak, jakiego narobił mi znajomy, odwiedzając Camp Nou w Barcelonie oraz snując barwne relacje z tej wizyty. Drugi to zawodowe zainteresowania jednej z towarzyszących mi osób. Trzeci to kilka wolnych godzin do odlotu i – jak łatwo się domyślić – bliskość obiektu. Tak więc już w dniu samego wyjazdu, skierowaliśmy nasze kroki na stadion Borussia.

Po obejrzeniu stadionu, windą, zlokalizowaną na jego bocznej ścianie, wjechaliśmy bezpośrednio do muzeum. W środku recepcja, jest miło, miło i nagle zgrzyt – od recepcjonisty otrzymuję informację, że pies nie może wejść do muzeum. Pytam grzecznie, dlaczego i czy pan ma świadomość, czym jest dla mnie Przewodnik. Pan na to, że przepisy i że on nic nie może. Poprosiłem więc jeszcze, aby skontaktował się z przełożonym i wyjaśnił tę sprawę. Słyszałem ich całą rozmowę, a w tym również informację, że przełożony podjęcie decyzji zrzucił na pracownika. Recepcjonista wykazał się bezmiarem asekuranctwa i stwierdził, że ja mogę wejść, ale psa mam zostawić przed wejściem. Mogę go przywiązać „o tam na przykład...” – i pokazał kawałek rury od kaloryfera.

Jak łatwo się domyślić, tylko się wściekłem i powiedziałem, że do tego muzeum nie wejdę nawet za darmo. Nabuzowany, wraz z Zako rozsiadłem się na żółto-czarnych, klubowych krzeselkach, czekając na znajomych, którzy jednak mimo wszystko chcieli zobaczyć wystawę.

W międzyczasie telefonicznie zrelacjonowałem Alicji całą sytuację – w słowach raczej nie przebierałem. Nie wiem, czy to te najbardziej znane za granicą polskie wyrazy, jakiś dyskomfort psychiczny, czy kac moralny, ale – gdy tylko skończyłem rozmawiać z Alą – podszedł do mnie ten sam facet z recepcji muzeum i zaoferował audioprzewodnik. Byłem tym tak zdziwiony, że wziąłem go bez protestów i – po krótkiej instrukcji obsługi – siedząc wygodnie na krzeselkach, słuchałem opowieści o historii nie tylko samej Borussi, ale również miasta Dortmund i różnych ciekawostek związanych z futbolem i niemiecką Bundesligą; jedne przypominały audycje radiowe, a inne słuchowiska z podziałem na role. Gdy w końcu znajomi wrócili ze swojego obchodu, okazało się, że, siedząc na recepcji, dowiedziałem się o wiele więcej na temat klubu i jego historii, a oni powiedzieli mi, że nie było absolutnie żadnych powodów, aby Zako nie mógł ze mną przejść przez muzeum; 90% ekspozycji okazała się być multimedialna, czyli były to głównie ekrany dotykowe, a reszta była za szkłem. W efekcie, na dobre wyszło mi czekanie na recepcji, ale niesmak na pewno pozostanie ze mną na dłużej. Od tamtej pory, dosłownie nigdzie w Polsce ani za granicą nie spotkałem miejsca, gdzie zabroniono by mi wejścia z Przewodnikiem, za to Borussia Dortmund już na zawsze pozostanie dla mnie antytezą zachowania fair play.

Wśród miejsc, o których najwięcej się mówi w kontekście ich dostępności dla Przewodników, w moim odczuciu na podium wysuwają się najróżniejsze gabinety lekarskie. Każdy z Opiekunów psa ma swoje doświadczenia i własne opinie: jedni chodzą z Przewodnikiem, inni nie, jedni wchodzą z psem, drudzy zostawiają go przed gabinetem, jedni do gabinetu tak, ale do zabiegowego już nie itp. Z wielu rozmów z innymi Opiekunami Przewodników wynika, że i w tym obszarze mieliśmy z Zako sporo szczęścia.

W trakcie naszego pierwszego wspólnego roku bardzo często chodziłem z psem do przychodni zamawiać recepty oraz po ich odbiór – i przyznam, że nigdy się nawet nie zastanawiałem nad tym, czy powinienem tam wchodzić z Przewodnikiem, czy nie. Któregoś dnia trafiło w końcu i na mnie: musiałem udać się do lekarza. Akurat tego dnia poszedłem z Alicją – dlatego też wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy po badaniu, lekarz zapytał, dlaczego nie przyszedłem do niego z psem. Po krótkiej rozmowie okazało się, że już nieraz widział mnie z Zako w przychodni, stąd jego pytanie. Wyjaśniłem, że tym razem jestem z żoną, ponieważ mamy jeszcze inne plany, nieobejmujące Przewodnika; zauważyłem jeszcze, pół żartem pół serio, że przecież nie wszyscy lekarze mogą być tak otwarci na Przewodniki, jak on. Lekarz się obruszył i stwierdził, że w żadnym razie, że nie w tej przychodni i że następnym razem koniecznie mam przyjść z psem.

Podziękowałem kurtuazyjnie i pożegnałem się, myśląc sobie: „Gadaj zdrow, a szarpać się z innym lekarzem to będę ja, a nie ty...”. Dlatego też, w tym większe zdziwienie wprawił mnie pan doktor, wychodząc za mną z gabinetu i jego słowa, gdy w rejestracji wydawał dyspozycje, żebyśmy, ja i Zako, zawsze byli wpuszczani do wszystkich lekarzy, gabinetów i pomieszczeń w jego przychodni.

I rzeczywiście, od tamtej pory wielokrotnie odwiedzałem tę przychodnię i nigdy nie miałem najmniejszych problemów. Podobnie było w gabinecie stomatologicznym czy nawet w szpitalu, gdzie w trakcie naszego pierwszego wspólnego roku wielokrotnie odwiedzaliśmy kuzynkę Alicji. Co więcej, zazwyczaj w każdym z tych miejsc Zako znajduje jakiegoś swojego miłośnika, który chętnie się nim opiekuje w czasie, gdy lekarz poświęca mi swoją uwagę. Na przykład, techniczka dentystyczna wręcz nie może się doczekać, kiedy ich odwiedzę z Przewodnikiem – ilekroć razem przychodzimy do gabinetu, Zako jest pytany, czy on także przyszedł pokazać ząbki.

Po całym roku wspólnego poruszania się byliśmy już świetnie rozpoznawalnym tandemem; wystarczy, abyśmy raz się gdzieś pojawili, nie ma znaczenia czy był to sklep, gabinet czy inny punkt usługowy, wszyscy nas zapamiętywali i nie wahali się odzywać, gdy później spotykaliśmy się w innych okolicznościach. Pies stał się pretekstem do podejścia i odezwania się do mnie. Na przykład, Pani Bożenka, wspomniana techniczka dentystyczna, gdy tylko widzi nas w autobusie, przechodzi przez cały pojazd, aby ze mną porozmawiać i przy okazji pogłaskać Zako albo odwrotnie – aby pogłaskać Przewodnika i chwilę ze mną porozmawiać.

Czasem jednak takie skracanie dystansu ma również swoje konsekwencje. Któregoś dnia stałem w piekarni i pakowałem zakupy. Zako, przycupnięty pod ladą, spokojnie czekał i przyglądał się temu, co robię. Tymczasem ekspedientka, wykorzystując fakt, że nie ma innych klientów, przechyliła się przez ladę, „gruchając” słodko do Przewodnika: „A na co piesek miałby ochotę? No? Na co?”. Ja, myśląc o trzymany w kieszeni przysmakach, służących do skarmiania psa w trakcie pracy, odruchowo odpowiedziałem, że „on zawsze ma ochotę na ciastko”. W odpowiedzi usłyszałem jedynie furgotanie fartucha ekspedientki, a chwilę potem mlaskanie Zako i zachwycony pisk sprzedawczyni: „Ojoj, jak mu smakuje, to z anyżkiem!”. Mówiąc kolokwialnie, szczeka mi wtedy opadła chyba do samej podłogi. Widząc moją reakcję, sprzedawczyni szybko dodała, niby to do psa: „No już więcej nie ma. Następne dostaniesz, jak znowu mnie odwiedzisz...”. Od tamtej pory Zako nie przejdzie obojętnie obok tej piekarni – zawsze wskaże mi do niej drzwi. Z kolei ja

wtedy otrzymałem lekcję, że muszę bardziej uważać na słowa i lepiej kontrolować komunikację z personelem sklepu. Regularnie zdarza mi się słyszeć pytanie, na przykład: „Czy można pieska poczęstować plasterkiem szyneczki?” – i czasem się na to zgadzam, głównie dlatego, że wolę wiedzieć, co ktoś podsuwa mojemu Przewodnikowi do pyska. Zazwyczaj jednak odmawiam, tłumacząc, że piesek ma specjalną dietę i takie zwykłe jedzenie może mu bardzo zaszkodzić. Wszystko zależy też od stopnia zdeterminowania pytającego – jeśli widzę, że bardzo mu na tym zależy, to się zgadzam. Zawsze jednak istnieje ryzyko, że ktoś spróbuje poczęstować psa poza moją kontrolą, jeśli jednak w propozycji rozpoznaję samą tylko kurtuazję, wtedy grzecznie odmawiam.

W tym czasie miałem też okazję obserwowania bardzo dziwnych ludzkich zachowań w odniesieniu do mojego Przewodnika. Z jednej strony, jego umiejętności były wręcz mitologizowane – przyczyniły się do tego ogromne remonty instalacji ciepłowniczej, jakie miały miejsce na moim osiedlu w czasie, gdy zaczynałem poruszać się z psem. Cała okolica poprzecinana była głębokimi wykopami, w których umieszczano nowe rury. Niestety, dla pieszych przewidziano ledwie kilka solidnych, wyposażonych w poręcze kładek; aby nimi przejść, trzeba było nadrabiać spore odległości. Robotnicy ułatwili więc sobie pracę, tworząc z przerzuconych nad wykopami dwóch leżących obok siebie desek wiele prowizorycznych przejść. Niestety, nikt nie wytłumaczył mojemu Przewodnikowi, żeby z nich nie korzystał – w efekcie, dopiero po przejściu wykopu, zdawałem sobie sprawę, że dokonałem tego po dwóch przerzuconych nad nim deskach. Było to tak spektakularne, że kilkakrotnie, od przypadkowych świadków, otrzymaliśmy spontaniczne oklaski. Przyznam, że sam nie byłem aż tak zachwycony. Ponieważ jednak remont postępował, nie byłem w stanie przewidzieć, gdzie następnym razem trafię na prowizoryczną kładkę, a Przewodnik nie sygnalizował jej w żaden sposób. Takie historyjki opowiadane o nas na osiedlu sprawiły, że spotykające go osoby przypisują mu wręcz „nadpsie” umiejętności.

Z drugiej strony zauważyłem jednak, że nie tyle zakres umiejętności, ile posłuszeństwo Zako robi na postronnych obserwatorach największe wrażenie. Gdy kiedyś staliśmy w „ogonku” przed warzywniakiem, czekając na swoją kolej, nagle nieopodal pojawił się kot; musicie przy tym wiedzieć, że mój Przewodnik wychował się wśród kotów i bardzo je lubi, czego jednak nie wiedziały osoby stojące z nami w kolejce. Gdy tylko Zako dojrzał mrućka, zaczął popiskiwać, sygnalizując, że chętnie zawarłby z nim bliższą znajomość. Na komendy: „Siad!” i „Zostań!” usiadł i – popiskując jedynie – wpatrywał się w kociaka. Obserwujący

to ludzie byli zachwyceni umiejętnością psa, polegającą na powstrzymaniu się od natychmiastowego dopadnięcia kota.

Myślałem też, że osobom postronnym najbardziej spodobają się komendy, którymi zwracam się do Przewodnika, aby pokazał mi schody, wolne miejsce do siedzenia czy bankomat. Tymczasem, największy efekt „wow!” robią wykorzystywane na spacerach fizjologicznych dwie komendy. Pierwsza to: „Szybko, szybko siku!” – psy są jej uczone niejako przy okazji. Jeśli Trener do wyszkolenia ma kilka Przewodników, to często musi z nimi wychodzić na szybkie spacery, łącząc więc komendę z naturalną potrzebą czworonoga, uczy się go szybkiego załatwiania na życzenie mniejszej potrzeby fizjologicznej. Bardzo się to przydaje w podróży z psem – gdy mamy mało czasu na przesiadkę i niewielki trawnik do dyspozycji, to w ten sposób możemy szybko dać znać Przewodnikowi, co powinien zrobić w tym momencie.

Drugą komendą jest „Cofaj!”; używam jej zawsze, gdy Zako owinie się smyczą dookoła jakiejś latarni, drzewa, czy też kosza na śmieci. Obserwatorzy są zachwyceni, że aby odplątać psa, nie trzeba wchodzić w kopny śnieg, mokrą trawę czy błoto – na komendę Przewodnik sam się odwinie i pospaceruje dalej.

W kontekście samych spacerów, szybko zacząłem zwracać uwagę na to, z jakimi psami się spotykamy. Nasz Hamlet bardzo nie lubił małych i głośnych psiaków; musiałem uważać, aby któremuś z nich nie przetrzepał futerka. Tymczasem, w trakcie spacerów fizjologicznych, Zako „z sercem na łapie”, podbiegał do każdego psa i zachęcał go do zabawy – i jak się szybko przekonał, nie każdy futrzak posiada tak miłe usposobienie, jak on. Na szczęście skończyło się tylko na obślinionym karku i uszach, ale gdyby napotkany pies był większy lub bardziej zajadły w swym ataku, to różnie mogłoby się to spotkanie zakończyć. Nie jestem w stanie sobie nawet wyobrazić osoby niewidomej, próbującej z sukcesem rozdzielić dwa, duże, walczące ze sobą psy. Dlatego też zacząłem pilnować, z kim Zako się bawi – aktualnie, oprócz bardzo dobrze znanych towarzyszy spacerów, pozwalam mu jedynie na zabawy z psami z grupy retrieverów – i tylko w obecności właściciela drugiego psa. Jeśli na spacerze Zako swobodnie biega po lesie, jak tylko usłyszę, że ktoś się zbliża, natychmiast go przywołuję i zapinam na smycz. Pod uwagę biorę również fakt, że Zako nosi kaganiec, więc w razie ataku nie będzie mógł się bronić. Na szczęście to działa w obie strony – gdy właściciel innego psa widzi Zako w kagańcu, to – automatycznie – wychodzi z założenia, że jest to zły pies i szybko woła pupila do siebie. Bardzo dobrze trudności ze swobodnym puszczaniem Przewodnika



obrazuje historia, jaka przydarzyła się jednemu z moich niewidomych znajomych. Któregoś dnia, będąc w lesie na spacerze, spuścił psa ze smyczy, aby ten się nieco wyszalał. Gdy jednak, po dłuższej chwili, zdał sobie sprawę, że nie docierają do niego żadne odgłosy generowane przez pupila, zaczął go przywoływać. Trwało to dłuższą chwilę, ale w końcu poczuł stuknięcie pyskiem w kolano. Wystraszony całą sytuacją pochylił się, złapał psa za obroź i warknął do niego: „Gdzieś ty była!” – i niemal natychmiast, ku jego konsternacji, znad swej głowy usłyszał zdumiony głos: „Ale to jest mój pies!”. Na szczęście właściwy czworonożak biegał niedaleko i cała historia, pomimo niewielkiego stresu i zamieszania, zakończyła się happy endem.

Kwestia „wybiegania” Przewodnika jest niezwykle ważna. Są to przeważnie duże psy, najczęściej z grupy retrieverów. W trakcie setek lat celowej hodowli rasy te przygotowywane były pod kątem polowań, krótkich, gwałtownych sprintów i pokonywania dużych odległości. Praca jako Przewodnik na pewno zmęczy psa psychicznie, ale nie dostarczy mu odpowiedniej dawki aktywności fizycznej. Dlatego też regularnie staramy się zapewnić Zako odpowiednio dużo ruchu, tak, aby jego mięśnie i stawy pozostawały w doskonałej kondycji. Niestety, wielu Opiekunów Przewodników w ogóle nie ma takiej możliwości – w bezpośredniej bliskości ich miejsca zamieszkania po prostu nie ma ani specjalnych wybiegów dla psów, ani terenów zielonych, gdzie czworonogi mogłyby się wyszaleć. Znam Opiekunów, którzy komunikacją miejską przejeżdżają pół miasta, aby ich podopieczny miał szansę swobodnego wybiegania się w odpowiednich warunkach. Niestety znam i takich, którzy, nie mając podobnych możliwości, pozwalają, aby ich psy funkcjonowały jak przysłowiowy Yorkshire terier, któremu do szczęścia wystarczy trawnik pod blokiem wielkości chustki do nosa. Zastanawiając się nad przyjęciem pod swój dach Przewodnika, koniecznie należy rozważyć również i tę kwestię. Jeśli pies nie będzie aktywnie spędzał wolnego czasu, będzie chorował; jeśli nie będzie mógł się wybiegać i spalić nagromadzonej energii, będzie tył i chorował; jeśli nie damy mu możliwości spalania nadmiarowych kalorii – to po przekroczeniu określonego w umowie, odpowiedniego poziomu masy ciała – zostanie nam on odebrany przez organizację szkolącą psy. A jeśli będziemy chcieli zapewnić mu prawidłową masę ciała jedynie poprzez ograniczanie posiłków, to będziemy głodzić naszego przyjaciela i podopiecznego, a każdy pies powinien otrzymywać odpowiednią ilość karmy, właściwą dla jego rasy, potrzeb i masy ciała. Zbyt mała ilość karmy narazi Przewodnika na niedobór niezbędnych substancji odżywczych, nie możemy labradora karmić jak wspomnianego Yorka, a potem spodziewać się, że w trakcie pracy i spacerów nie będzie sam się nagradzał, zjadając wszystko,

co znajdzie się w zasięgu jego pyska. Dlatego też tak ważne jest zapewnienie Przewodnikowi odpowiedniej dawki aktywności.

Pierwszy wspólny rok uświadomił mi również, że z Przewodnikiem pracować trzeba cały czas. Nawet drobne niedociągnięcia, na przykład w postaci lekkiego otarcia się rękawem o lusterko stojącego samochodu lub o ramię mijanego człowieka sprawiają, że jeśli natychmiast nie będę reagował i korygował zachowania psa, to będą się one pogłębiać, sprawiając, że regularnie zacznę ramieniem wycierać stojące samochody i – już wcale nie delikatnie – wpadać na ludzi. Ten czas pozwolił mi również na zebranie całej gamy doświadczeń, sprawiających, że poruszamy się razem lepiej i bezpieczniej. Mam tu na myśli wszystkie drobiazgi, począwszy od sposobów układania psa w pociągu, aż po zakaz siadania oraz kładzenia się Przewodnika w sklepach, co może skończyć się bardzo nieprzyjemnym przydepnięciem ogona przez nieuważnego klienta. Cały rok, wliczając pierwsze sześć miesięcy, w trakcie których przechodziliśmy swoistą synchronizację, był okresem zbierania doświadczeń i dobrych praktyk, pozwalających nam bezpiecznie pracować przez kolejne lata. W tym czasie – osobiście lub wirtualnie – spotkałem również wielu innych Opiekunów Przewodników, z którymi mogłem powymieniać się doświadczeniami. Między innymi, ze swoimi Opiekunami osobiście odwiedziły nas w tym czasie w domu Wedel i Bunia. Był to bardzo intensywny okres, w którym starałem się pozyskać jak najwięcej wiedzy i opinii, aby nie tylko nasza wspólna praca, ale także życie z Zako układały się jak najlepiej. To wtedy dowiedziałem się o różnicach między psimi karmami, nie tylko tego, które z nich są najlepsze dla mojego psa, ale także o tym, które nie brudzą palców, co w przypadku skarmiania Przewodnika w pracy jest niezwykle istotne. Poznałem sposoby na niebrudzące przechowywanie psich smaczków w kieszeniach, przenosząc je w odpowiednio wyciętych torebkach po kawie ziarnistej. Dowiedziałem się, że najlepszym sposobem na zachowanie świeżego oddechu u psa jest twarda marchewka – nie tylko czyści zęby, ale stanowi wspaniałą, bezkaloryczny przysmak. Poznałem wiele, wiele innych drobiazgów, dzięki którym teraz z dumą mogę nosić zakupioną na Amazonie koszulkę z napisem: „No one understands me better than my Chesapeake Bay” (ang. „Nikt nie rozumie mnie lepiej, niż mój Chesapeake Bay”).

Gdy mowa o psiej karmie, to warto wspomnieć o sposobach jej przechowywania. Każdy Opiekun Przewodnika bardzo szybko dowiaduje się, że im większy worek karmy zakupi, tym mniej zapłaci za jeden jej kilogram – i wszystko jest fajnie do momentu, w którym przyjdzie nam gdzieś w mieszkaniu upchnąć te 20 kg karmy, szybko też się okazuje, że w trakcie ostatniego remontu kuchni nikt nie myślał o specjalnym miejscu na takie psie przysmaki. Podobnie było w moim wypadku: początkowo radziłem

sobie po prostu, kupując odpowiednio małe worki z karmą, które mogłem trzymać w jednej z kuchennych szafek, jednak po kilku miesiącach stwierdziłem, że przy apetycie i zapotrzebowaniu Zako, takie podejście finansowo w ogóle mi się nie opłaca. Aby móc kupować odpowiednio duże worki karmy, musiałem zorganizować na nie specjalne miejsce – i tu ponownie dokonałem swoistego odkrycia. Wcześniej już o tym wspominałem, ale dotychczas sam nie miałem bladego pojęcia, że na rynku istnieją dziesiątki najróżniejszych pojemników na psią karmę. Znaleźć możemy mniejsze i większe, szersze i węższe, okrągłe lub kanciaste, na płaskiej podstawie, nóżkach, lub kółkach, otwierane od góry albo z dozownikiem manualnym lub zdalnie sterowanym na bocznej ścianie, plastikowe, metalowe, a nawet w formie wielkich worów, z których – po otwarciu małej bocznej klapki – można sypać karmę prosto do psiej miski. Nasz wybór ostatecznie padł na duże, kwadratowe i plastikowe wiadro – ma ono 25 l pojemności, estetyczny wygląd i hermetyczne zamknięcie. Dzięki temu ostatniemu może ono stać nie w kuchni, ale pod biurkiem w moim pokoju do pracy. Zako miesięcznie pochłania jeden dziesięciokilogramowy worek suchej karmy – aktualnie mogę więc dość spokojnie polować na promocję, na przykład na 20 kg jego ulubionego zestawu kaczki z jagnięciną; takie zakupy po prostu bardziej się opłacają.

W kontekście zakupów internetowych – warto zastanowić się nad formą ich dostawy. Wszechobecne paczkomaty wielu, szczególnie pracującym poza domem, osobom ułatwiają zamawianie i odbieranie przesyłek. Jak się jednak okazuje, latem warto uważać na tę formę dostawy. Mój dociekliwy znajomy do siebie samego nadał przesyłkę z odbiorem w paczkomacie, w paczce umieszczając termometr z funkcją rejestracji maksymalnego poziomu temperatury. Po odebraniu przesyłki okazało się, że termometr najwyższą wartość odnotował na poziomie 40°C. Producenci wszystkich psich karm i przysmaków zalecają, aby ich produkty przechowywane były w chłodzie i z dala od wilgoci dlatego też kilkunastogodzinny pobyt w nagrzanym od słońca paczkomacie może sprawić, że – szczególnie karma z dużą ilością tłuszczu – po prostu zjełczeje.

W trakcie naszego wspólnego pierwszego roku przekonałem się również, że Zako jest bardzo wybredny, jeśli chodzi o różnego rodzaju zabawki – i niestety okupione to zostało dużymi wydatkami. Początkowo myślałem, że mój Przewodnik, tak jak inne psy, najbardziej będzie lubił piszczące zabawki. Okazało się jednak, że Zako przede wszystkim zainteresowany jest sprawdzeniem, co to tak piszczy w środku. W ten sposób, w bardzo krótkim czasie, dokonał sekcji piszczącej owieczki, świnki, jeża i gałęzi; zniszczonych piszczących piłek nawet nie zliczę. W końcu paniom w sklepie zoologicznym pokazałem filmik, w którym Zako

w 90 sekund rozpruwa jakiegoś piszcącego zwierzaka – od tamtej pory już mi nie próbują sprzedawać takich zabawek.

W tym czasie odkryłem również, że mój Przewodnik bardzo lubi różne rzeczy do gryzienia. Szczególnie takie naturalne, jak jelenie rogi czy kawałki drewna nasączone solą morską. Gdybym zostawił mu plecionego z liny szarpaka, to Zako rozszarpie go na strzępy w pół godziny – za to, gdy bawimy się razem, przeciągamy i szarpiemy linę, to w kilka sekund, spokojny zwykle psiak zamienia się we wściekle powarkującą, dziką bestię. Kiedy pierwszy raz byłem świadkiem tej metamorfozy, to nawet zdążyłem się wystraszyć. Wystarczy jednak puścić linę, aby Zako pędem pognał na swoje legowisko i tryumfalnie odłożył tam zdobytą zabawkę. Nawet w trakcie – jakby się wydawało – dzikich skoków i kłapania zębami bardzo uważa, aby nie zrobić mi krzywdy.

Co ciekawe, w trakcie naszego pierwszego wspólnego roku, Zako w ogóle nie był zainteresowany aportowaniem. Jeśli cokolwiek mu rzucałem, to albo łapał przedmiot w powietrzu, albo podnosił z ziemi i za żadne skarby nie chciał tego oddać. W grę wchodziły tylko dwie opcje: albo zmęczony zabawą zanosił zdobyczą na swoje legowisko, albo podawał mi przedmiot w taki sposób, żebym mógł go złapać i wtedy od nowa zaczynała się zabawa we wspólne przeciąganie.

Z kolei Alicja wciągnęła Zako w świat węchowych zabaw – zainspirowana aktywnościami innych Przewodników, zamówiła dla naszego psiaka matę węchową. Pierwsza wersja przypominała nieco gumową wycieraczkę do butów, posiadającą na całej swej powierzchni mnóstwo otworów, a przez te dziurki przewleczone były paski cienkiego polaru. Wszystkie one zawiązano na kokardki, które wdzięcznie rozkładały się i płożyły na całej powierzchni maty. We wspomnianych dziurkach lub pod kokardami można było ukrywać drobne przysmaki, które następnie wyszukiwał pies. Gdy Zako dostawał taką matę, to nigdy od niej nie odchodził, nawet gdy już odnalazł wszystkie ukryte smaczki, po raz kolejny, wciąż i wciąż sprawdzał, czy pod którąś kokardą nie ukrył się przed nim jakiś smakołyk.

Nieco później Alicja zaczęła kupować coraz to bardziej złożone zabawki. W tych prostszych pies musiał tylko nosem podnieść klapkę skrywającą przysmak, trudniejszych doszły części wyciągane pyskiem, przesuwane nosem oraz elementy logiki sprawiające, że do smakołyku Przewodnik mógł się dostać tylko w określonej kolejności działań. Aktualnie wystarczy do ręki wziąć jedno z pudełek zawierających logiczną zabawkę, aby całkowicie zawładnąć uwagą Zako.

# Sześć lat minęło jak jeden dzień

Gdy zaczynam pisać te słowa, w głowie mi się nie mieści, że tak szybko minęło naszych sześć wspólnych lat. Dziś nawet nie mogę wyobrazić sobie domu bez Zako. Co więcej, gdy cokolwiek piszę na komputerze, czekoladowy łypek mam zawsze na wyciągnięcie ręki, tak, abym w każdej chwili mógł go pogłaskać. Jak tylko siadam do komputera, Zako zaraz przybiega i wskakuje na swoją, stojącą obok biurka, sofę. Układa się na niej tak, aby zawsze być w zasięgu mojej dłoni – i nie, nie wskakuje na każdy mebel, ale po prostu z biegiem lat dorobił się własnej, dwuosobowej sofy. Jest na niej rozciągnięty koc w odciski łap i wygodna poduszka pod psią głowę. Z wysokości sofy Zako obserwuje mnie przy pracy lub bacznie śledzi moje postępy na stojącej naprzeciwko niej bieżni. Od sześciu lat nie zmieniło się jedno: zawsze chce być blisko mnie.

Nie kupiliśmy Przewodnikowi osobnej sofy, ale – zmieniając meble w salonie – tak przearanżowaliśmy miejsce w moim pokoju do pracy, aby jedna ze starych sof stała się legowiskiem Zako. Oczywiście, aktualnie można kupić specjalne, bardzo duże sofy dla psów, ale akurat nasz preferuje płaskie posłania i ta sofa wyjątkowo przypadła mu do gustu.

W ciągu minionych lat przerabialiśmy najróżniejsze opcje, jeśli chodzi o legowiska. Pierwsze posłanie Zako wydawało nam się optymalne: było duże i posiadało burty, dzięki którym zabawki pozostawały względnie w jednym miejscu, a pies – teoretycznie – czuł się bezpieczniej. Piszę „teoretycznie”, ponieważ masa Zako sprawiała, że wspomniane burty miały charakter raczej umowny; w trakcie snu (i nie tylko) przetaczał się przez nie w dowolnym kierunku, nie stanowiły również żadnej podpórki pod głowę – za to, na łączeniu z posłaniem,

doskonale gromadziły bród ze wszystkich spacerów; dlatego też dość szybko zrezygnowaliśmy z tego rozwiązania.

Naszym kolejnym wyborem okazało się bardzo duże legowisko. Było ono tak wielkie, że sam mógłbym się na nim zwinąć na krótką drzemkę, było również wysokie, a przez to bardzo miękkie i wygodne. Z uwagi na gabaryty pośłania, umieściliśmy je w sypialni, gdzie jednym ruchem mogliśmy je wsuwać lub wysuwać spod łóżka. To fantastyczne legowisko stworzyła na zamówienie nasza znajoma. Niestety, jak się okazało, obszycie pośłania, na jakie się zdecydowaliśmy, charakteryzowało się niebywałą zdolnością do zbierania psiej sierści. Gdy Zako się z niego podnosił, to czasem miałem wrażenie, że przed chwilą poddawał się zabiegowi depilacji woskiem; mogło to oczywiście mieć związek z problemami dermatologicznymi, jakich wtedy doświadczał nasz Przewodnik, ale – żeby nie zostać zasypanymi psią sierścią – po raz kolejny musieliśmy zmienić pośłanie.

Na chwilę próbowaliśmy nawet wrócić do dobrze znanego Zako i opisywanego wcześniej Dry Bed, ale to legowisko jest dobrym rozwiązaniem jako izolator od na przykład zimnej podłogi. Sprawdza się w podróży albo aby wyścielić psu podłogę w bagażniku kombi; w regularnym użytkowaniu jednak nie zdaje egzaminu – z uwagi na swoją fakturę, przypominającą owcze runo, łapie i przechowuje dosłownie wszystkie zabrudzenia. W końcu ograniczyliśmy jego użycie do balkonu, gdzie Przewodnik mógł się wygodnie ułożyć, unikając twardości i chłodu kafelków.

Następnie, będąc w dużym sklepie zoologicznym, zobaczyliśmy wspaniałe psie legowisko, godne tak zapracowanego Przewodnika, jak Zako. Oprócz prześlicznego wyglądu pośłanie było wersją ortopedyczną, przeznaczoną dla psich seniorów i psów pracujących – wysokie, posiadające kilka warstw zapewniających, zarówno dobrą izolację termiczną, jak i komfort leżenia, a do tego pokryte w dotyku przemiłą powłoką, którą można było wygodnie ściągać do prania. Było tak duże, że miałem problem zmieścić się z nim w obrotowych drzwiach w galerii handlowej. Co najważniejsze, Zako od razu je polubił – jednak nie przewidzieliśmy jednego: że legowisko nie przejdzie „testu zwracanego ptaka”. Pech chciał, że dosłownie kilka dni po jego zakupie, naszemu Przewodnikowi przydarzyła się wspomniana przygoda z połknięciem, a potem ze zwymiotowaniem ptaka – i to centralnie na jego nowe legowisko. Niestety, przemiła powłoka nie była wodoodporna, za to wszystkie warstwy ortopedyczne okazały się wyjątkowo chłonne. W efekcie ptasiej przygody, ponieważ nie było najmniejszej szansy na wypranie pośłania, ostatecznie musieliśmy je wyrzucić.

Finalnie, do użytku codziennego trafił prosty, płaski materac pokryty wodoodporną kodurą, którą dodatkowo można zdejmować i regularnie wrzucać do pralki. Sprawdził się on nam tak dobrze, że oprócz mniejszej wersji do salonu, kupiliśmy podobne, lecz o wiele większe do sypialni. Co więcej, w zeszłym roku – już z uwagi na wiek Zako – nabyliśmy jeszcze jedno ortopedyczne poślanie, którego Przewodnik używa zimą, kiedy to w salonie zamieniamy płaski materac na właśnie to, wyższe legowisko; jak już wspomniałem wcześniej, Zako w pokoju do pracy ma swoją, wygodną sofę.

Bardzo długo szukaliśmy jakiegoś praktycznego rozwiązania, które sprawdziłoby się w podróży; nie mając samochodu, nie mogliśmy nigdzie zabierać klasycznego pośłania, a Dry Bed w podróży nie sprawdzał się tak samo, jak w domu. Koniec końców, przeglądając przepastne zasoby jednego z internetowych sklepów zoologicznych, trafiłem na produkt znakomitej firmy Wolf of Wilderness. Jest to dosłownie śpiwór dla psa w rozmiarze 60 x 90 cm, można go bardzo wygodnie zwijać, a po rozwinięciu jest wystarczająco miękki, aby stanowić legowisko dla Przewodnika; po rozpięciu i rozłożeniu, jego powierzchnia zwiększa się dwukrotnie. Dzięki materiałom, z jakich został wykonany, wystarczy go dosłownie otrzepać, aby zachować czystość pośłania. Wcześniej Zako musiał zadowalać się zabieranym z domu kocykiem, następnie układanym mu w miejscu przeznaczonym na sen; teraz komfort jego odpoczynku w podróży jest znacznie wyższy, a mi o wiele łatwiej jest zachować czystość, na przykład pokoju hotelowego.

Podróże, szczególnie te dłuższe, z biegiem czasu pozwoliły wypracować nam cały system przygotowań – nie tylko do wyjazdu, ale także rzeczy do zabrania. W tym momencie, po sześciu latach gromadzenia, Zako posiada swoje dwie dyżurne, podróżne silikonowe miski; na dłuższy wyjazd zawsze zabieramy dwie, ponieważ w jednej misce Przewodnik powinien mieć stały dostęp do wody. Silikonowe miski są niezwykle praktyczne i wygodne – można je złożyć na płasko i upchnąć w dowolnym miejscu, w docelowej lokalizacji rozprostować i rozstawić, najczęściej w łazience. Wtedy też Zako, wiedząc, że zostajemy tam na dłużej, wyszukuje sobie własne miejsce na odpoczynek.

Czas pokazał, że nie sprawdziła się również część gadżetów, jakie kupowałem na początku moich podróży z Przewodnikiem. W szczególności muszę tu wspomnieć o bidonie łączonym z miską, w którym woziłem wodę dla psa – choć był to świetny pomysł na produkt, to jego wykonanie pozostawiało wiele do życzenia. Zamknięcie bidonu miało tendencję do rozszczelniania się, a mnie,

po trzecim suszeniu plecaka, przeszła ochota na korzystanie z tego rozwiązania. Na szczęście znalazłem inne, według mnie znacznie lepsze – metalową butelkę z solidną zakrętką, stanowiącą jednocześnie miseczkę dla Przewodnika. Wystarczy ją odkręcić, nalać do niej odrobinę wody i podać psu do wypicia, później wylać ewentualne resztki wody i zakręcić butelkę. Konstrukcja nieco przypomina termos z kubeczkiem – sucho, czysto i bardzo wygodnie. Butelka występuje w kilku rozmiarach, więc można ją sobie dopasować, na przykład, do wielkości plecaka.

Oczywiście, na przestrzeni tych wszystkich lat, nie raz i nie dwa zdarzyło mi się zakupić jakiś gadżet z myślą o Przewodniku, który finalnie okazywał się niewypałem – i nie zawsze z powodu wad samego produktu. Doskonale pamiętam tzw. myjkołapkę – był to duży kubek, wewnątrz którego znajdowało się mnóstwo silikonowych włosków; do takiego naczynia wlewało się wodę i – po powrocie z psem do domu – wykorzystywało do czyszczenia brudnych lub zasolonych łap. Czyszczenie polegało na wsunięciu przez górny otwór kubka psiej łapy i wykonaniu kilku obrotów naczyniem; w trakcie tego ruchu silikonowe włoski, wspomagane przez wodę, ściągały z łapy wszelki bród. Działo to fantastycznie – niestety, w trakcie wyjmowania łapy, chlapało się wodą dookoła. Dlatego też, według mnie, takie rozwiązanie sprawdzi się jedynie u osób, które podobną procedurę mogą przeprowadzić jeszcze przed wejściem do domu.

Innym produktem była miska spowalniająca psie jedzenie – wyglądała dość futurystycznie: na dnie owalnej tacy umieszczone zostały grube, pionowe wypustki w kształcie stożka. Całość przypominała nieco leżącego wyleniałego jeża o grubych, tępych kolcach. Idea, jaka przyświecała twórcom, była taka, że po wsypaniu do miski jedzenia, łapczywy pies spędzi o wiele więcej czasu na wyłuskiwaniu posiłku spomiędzy gęsto posadowionych wypustek, co z kolei ma być zdrowsze dla zwierzaka. Weterynarze twierdzą, że podobnie, jak ludzie, psy nie powinny jeść zbyt łapczywie – i pomysł może nawet był dobry, ale twórcy miski na pewno nie docenili łapczywości Zako; oczywiście nie sprawdzałem tego ze stoperem w rękę, ale, tak „na oko”, to czas jedzenia przez niego kolacji wydłużył się może o jakieś 15 sekund, przy czym, na pewno, jeszcze kilka z nich zostało poświęconych na powłóczęste spojrzenie w moją stronę, pytające: „Serio? Coś takiego miałoby mnie powstrzymać?”. Za to, w porównaniu do zwykłej miski, zdecydowanie – i to kilkakrotnie – wydłużył się czas mycia tego wynalazku – po dosłownie dwóch próbach jego użycia, oddałem go w dobre, bardziej cierpliwe ręce.



Na szczęście takich niewypałów nie było zbyt wiele: odblaskowa kamizelka, poza odblaskowym kolorem nieposiadająca żadnych odbłasków; super odporne na rozgryzienie zabawki, niszczone przez Zako jednym kłapnięciem zębów – takie gadzety nie były zbyt drogie, więc nawet niefortunny zakup można było dość łatwo przeboleć. Jednak było to także irytujące, dlatego bardzo sobie cenię wymianę opinii i doświadczeń między innymi Opiekunami Przewodników – dzięki takiej „poczcie pantoflowej”, na przestrzeni lat, niejako mimochodem zgromadziliśmy cały zestaw produktów wspierających zdrowie Zako, chroniących go w pracy oraz ułatwiających jego pielęgnację.

O czesaniu Zako już wspominałem – nasze cotygodniowe czesanki stały się weekendową tradycją, aby jednak futro nie fruwało po całym domu, całe misterium odbywa się w malutkim przedpokoju o rozmiarach 2 na 2 metry. Trafiam do niego z Przewodnikiem, koszem na wyczesaną sierść i zestawem czesadeł. Na przestrzeni lat wykorzystywany zestaw pielęgnacyjny się zmieniał, ale finalnie ograniczony został do czterech akcesoriów, metodą prób i błędów wypracowaliśmy również stałą technikę czesania. Na początku gruntownie rozczesuję okrywę stalowym grzebieniem o sztywnych i prostych zębach; w ten sposób rozplątuje zmierzwiłone futro i usuwam największą ilość martwych włosów, a po kilku pociągnięciach grzebienia muszę je z niego ściągać i wrzucać do kosza. Następna w kolejce jest szczotka z metalowymi, zakrzywionymi zębami – przypomina nieco końskie zgrzebło. Ponownie czeszę nią całego psa, lecz już znacznie krócej; jej zęby, w przeciwieństwie do grzebienia, nie docierają do skóry, więc tylko wyczesuję te włosy, które wymknęły się szerzej i rzadziej rozstawionym zębom grzebienia. Trzecia do akcji wchodzi szczotka z miękkim, naturalnym włosiem – akurat Zako posiada taką z dzika; za jej pomocą ściągam luźną sierść, pozostałą po wcześniejszym czesaniu. Wydawać by się mogło, że to już koniec – niestety, futro w trakcie czesania się elektryzuje i nadal pies nosi na sobie jeszcze sporo luźnej sierści, której chętnie się pozbędzie, ocierając się o nasze ubrania czy meble. Dlatego też ostatnim, czwartym akcesorium jest gumowa rękawiczka z niewielkimi wypustkami – po zamoczeniu jej w wodzie, głaszczemy nią Zako, ściągając z niego ostatnie luźne włosy.

Po wykonaniu takiej procedury i zwinięciu worka z wyczesanymi włosami będzie miał on wielkość mniej więcej piłki tenisowej – jest to oczywiście już nieco ubita sierść. Taka sama ilość w stanie wolnym i swobodnym jest w stanie w całości pokryć nam podłogę dużego pokoju; dlatego warto ją regularnie wyczesywać. Na sam koniec cotygodniowej pielęgnacji nie pozostaje mi nic innego, jak jeszcze odkurzyć

miejsce akcji – w trakcie wyczesywania na podłogę spada sporo włosów, które także trzeba zebrać, zanim domownicy rozniosą je po mieszkaniu. Większość opisanych zabiegów Zako znosi ze stoickim spokojem, wspieranym jedynie od czasu do czasu przeze mnie małym przysmakiem, nie lubi tylko czesania ogona; na szczęście znam kilka sposobów odwrócenia jego uwagi, dzięki czemu, miejsce po miejscu, udaje mi się wyczesać również i ten newralgiczny punkt.

Od czasu do czasu, Alicja, folgując swojej perfumowej pasji, po czesaniu spryskuje Zako różnymi zapachami – są to oczywiście specjalne perfumy dla psów, które ani nie szkodzą ich sierści, ani nie drażnią powonienia. Często są to sezonowe zapachy – na przykład, na święta Bożego Narodzenia Zako pachnie świątecznymi piernikami. Chyba ulubionym aromatem Alicji jest kokos – już kilka osób, spotykając naszego czekoladowego Zako i czując akurat ten zapach, najprawdopodobniej całkowicie podświadomie stwierdziło, że nasz psiak kojarzy im się z batonem Bounty.

Gdy jest mowa o psiej sierści, to nie sposób nie wspomnieć o dwóch fantastycznych gadżetach. Musimy mieć jasność i pełną świadomość, że wpuszczając Przewodnika do naszego domu, pomimo regularnego wyczesywania oraz cyklicznych wizyt u groomera, w naszym życiu pojawi się psie futro – i to w ilościach i miejscach, których wcześniej na pewno się nie spodziewaliśmy. Ponieważ poprzednio posiadaliśmy długowłosego owczarka szkockiego, mniej więcej mogliśmy się domyślać, co nas czeka; jak się jednak okazało, nie doceniliśmy krótkowłosej okrywy.

Nasz Hamlet gubił włos. Z samej swej natury, włos ten był długi i ciężki – opadał na podłogę, gdzie zwijał się w kłębki, które bardzo łatwo można było posprzątać. Tymczasem, krótka sierść unosi się i fruwa, podrywana do góry każdym ruchem powietrza i jedynym sposobem na opanowanie tego zjawiska jest regularne odkurzanie, a żeby nie ulec pokusie całkowitego ogolenia psa na zero, pozostaje tylko jedna opcja – odkurzacz automatyczny. To tylko dzięki temu urządzeniu udało nam się zapanować nad czystością w domu, gdy Zako miał problemy dermatologiczne; był to czas, że włos się z niego sypał, jak igły z bożonarodzeniowej choinki w marcu.

Po sześciu latach z retrieverem pod jednym dachem, mamy już drugi automatyczny odkurzacz. Pierwszy z nich został gruntownie wyeksploatowany – codzienna praca w całym domu, prędzej czy później, wykończy każde z takich urządzeń.

Jednak sierść, głównie ta krótka, potrafi skutecznie gromadzić się w kilku szczególnych miejscach, chociażby takich, jak koc na psim pościu. Wbija się ona między włókna materiału i bardzo trudno jest się jej pozbyć – a wtedy jedyną opcją jest pralka. Brzmi prosto? Tylko do czasu, gdy zobaczymy, jak po takim praniu wygląda pralka wewnątrz, w szczególności psia sierść przyklejana do gumowych uszczelk. Problemu nie zrozumie ten, kto nigdy nie próbował zdjąć drobnych włosków z miękkiej gumy. Domowym rozwiązaniem takiej sytuacji jest wrzucenie koca, obranego sierścią, na przykład, do jakiejś starej poszewki pościelowej i dopiero potem całej tej paczki do bębna pralki. Jak się jednak okazuje, również producenci psich gadżetów dostrzegli problem i stworzyli specjalne worki do prania – z materiału, w rozmiarze 70 na 70 cm, zapinanych na zamek błyskawiczny, na zewnątrz gładkich, a w środku wyłożonych materiałem, do którego w trakcie prania przyczepia się psia sierść. Wystarczy do takiego worka wrzucić, na przykład, poszewkę z psiego pościu, a worek do pralki i rozpocząć pranie. Po jego zakończeniu z worka wyjmujemy czystą poszewkę, a – po wyschnięciu – worek przewracamy na lewą stronę i wytrzepujemy ze zgromadzonej tam sierści. Ten niewielki i niedrogi gadżet naprawdę się przydaje – pierzemy w nim nawet materiałową uprzęż Przewodnika.

Nieco innym, ale nie mniej podstawowym akcesorium okazały się papierowe ręczniki. Produkt, który w znanej nam obecnie postaci ma już prawie 100 lat, uznawany przez Amerykanów za jeden z najważniejszych wynalazków XX wieku, również dla mnie dość szybko stał się produktem pierwszej potrzeby. Polubiłem go do tego stopnia, że obok drzwi wyjściowych, na magnetycznym uchwycie, umieściłem rolkę tego fantastycznego gadżetu i dziś, za każdym razem przed wyjściem z Przewodnikiem, sprawdzam, czy w kieszeniach mam klucze i papierowe ręczniki. Dzięki nim, przed powrotem do domu mogę do sucha i czysta wytrzeć psie łapy – nie tylko wtedy, gdy pada i jest mokro na zewnątrz; zwyczaj każdorazowego wycierania łap już niejednym raz oszczędził mi konieczności sprzątnięcia całego mieszkania w sytuacji, gdy Zako – przez przypadek – wdepnął w jakieś odchody, innego psa, dzika czy też bliżej niezidentyfikowanych zwierzątek, kręcących się po naszym lesie.

W tym miejscu od razu warto wspomnieć, że – właśnie na opisaną powyżej sytuację, gdy Przewodnik „wdepnie” w jakąś „niespodziankę” – warto mieć w domu szampon dla psów. Nawet jeśli nie kąpiemy naszego podopiecznego sami, to szampon sprawdza się idealnie do mycia mocno zabrudzonych łap – ja wtedy po prostu nalewam gorącej wody z szamponem do miski i całość

podsuwam pod zabrudzoną kończynę; w ten sposób można bardzo wygodnie domyc i później osuszyć ręcznikiem każdą zabrudzoną łapę.

Dzięki ręcznikom usuwam nie tylko brud, ale także piasek i sól, tak szczerze rozsypywane zimą na chodnikach. W tej porze roku oczywiście łapy Przewodnika wymagają szczególnej uwagi. Na przestrzeni lat, próbowałem różnych rozwiązań: aby do mikrourazów na łapach nie dostawała się sól, smarowałem je wazeliną albo Linomagiem, a do zmiękczenia opuszek używałem różnego rodzaju dedykowanych tłuszczów. Jednak, na dłuższą metę, paćkanie się w wazelinie było tak uciążliwe, że dość szybko zrezygnowałem z niego na rzecz psiego obuwia. Zacząłem od dość miękkich, neoprenowych bucików – wystarczyło je wsunąć na łapę, a następnie cholewkę owinąć dwoma rzepami; proste i ogromnie wygodne rozwiązanie. Buty zakładamy przed wyjściem z domu i ściągamy przed wejściem do niego, następnie wystarczy opłukać je pod bieżącą wodą i odłożyć na kaloryfer, gdzie czekają na nasze kolejne wyjście. Myślałem, że Zako nie będzie chciał w nich chodzić – okazało się jednak, że – po krótkiej chwili przeznaczony na zdumienie i obwąchiwanie łap – przeszedł nad nimi do porządku dziennego. Oczywiście, przyzwyczajanie zacząłem od zabaw w domu, po założeniu butów były przysmaki i zabawa w przeciąganie liny; po pięciu minutach Zako w ogóle nie zwracał uwagi na nowe obuwie. Przy pierwszym wyjściu z domu i zejściu po schodach był jeszcze nieco spięty, ewidentnie szacował, jak dalece pewnie może się w tym poruszać, jednak spacer fizjologiczny i zabawa na śniegu sprawiły, że całkowicie zapomniał o butach na łapach.

Po pewnym czasie okazało się, że neopren jednak nie jest idealnym materiałem na obuwie. Prawdopodobnie dlatego, że nie jestem kobietą i nie noszę rajstop, nie przyszło mi wcześniej do głowy, że wypadałoby Zako zrobić odpowiedni pedicure, zanim zacznie nosić buty z miękkiego materiału, po rozdarciu pazurami drugiego kompletu kupiłem więc nieco mocniejsze obuwie, w porównaniu do neoprenowego mające się mniej więcej tak, jak buty trekkingowe do balerin: jest sztywniejsze i zdecydowanie bardziej wytrzymałe, również sposób zapinania jest nieco prostszy i ogranicza się tylko do jednego rzepa.

Z rozmów z innymi Opiekunami Przewodników wiem, że wiele osób dość szybko rezygnuje z używania wazeliny i pokrewnych środków. Wystarczy, że przy pierwszej próbie ktoś wysmarował psu łapy jeszcze w domu, a ten radośnie przebiegł po mieszkaniu; sprzątanie takich tłustych plam nie należy do najprzyjemniejszych i bardzo skutecznie zniechęca do stosowania tego

rozwiązania. Innym problemem jest także czyszczenie łap po powrocie do domu – ponieważ całość dzieje się mroźną zimą, są one wtedy dosłownie opanierowane w piachu. Dlatego też stawiam na wygodne obuwie dla Przewodnika oraz smarowanie tłuszczem łap – ale dopiero tuż przed snem, kiedy wiem, że Zako nie będzie już robił żadnych wycieczek po domu.

Na przestrzeni lat wyrobiliśmy sobie jeszcze jeden zimowy zwyczaj, mający pozytywny wpływ na psie łapy. Przydaje się on zawsze wtedy, gdy przyjeżdżam w jakieś miejsce, a tam okazuje się, że przede mną pierwsza dotarła Pani Zima. Oczywiście, nie mamy wtedy ze sobą butów dla Zako, więc co robić? Jak żyć? I tu akurat odpowiedź jest bardzo prosta: jeśli Przewodnik prowadzi mnie po chodnikach posypanych solą, staram się, od czasu do czasu, wpuszczać go na jakiś ośnieżony trawnik, aby chwilkę tam sobie pochodził i w ten sposób oczyścił łapy z soli.

Zima to oczywiście nie tylko sól, ale także temperatura – a przed nią psa chronię odpowiednim, grubym kubrakiem. Jest to ocieplany płaszcz pokrywający cały grzbiet, boki i klatkę piersiową Zako; używamy go na spacerach fizjologicznych, gdy temperatura spada poniżej 10°C, a my chcemy go zmęczyć i wybiegać w lesie. Dla troszkę mniejszych Przewodników widziałem nawet doskonałe kombinezony, z rękawami na łapy – w takim ubranku na mróz wystawiona jest tylko głowa psa, same łapki i najmniej szlachetna część pleców wraz z ogonem. Co ciekawe, kilka lat temu na uniwersytecie w Linz spotkałem niewidomego Japończyka z Przewodnikiem – jego pies, w środku lata, ubrany był w bardzo podobny w kroju kombinezon; oczywiście, był on o wiele cieńszy. Jego zadaniem było zapewnienie czystości Przewodnika oraz dobrej widoczności z daleka – był we wściekle żółtym kolorze. Z kolei, na mokre dni, posiadam dla Zako płaszcz przeciwdeszczowy z cienkiego poliestru – przypomina on nieco kubrak zimowy, lecz znacznie lepiej osłania uda i łapy. Nie używamy go w pracy, ale zawsze w trakcie deszczowych, fizjologicznych spacerów. Po tych szczególnie ulewnych przydają się natomiast superchłonne ręczniki z mikrofibry – za ich pomocą osuszam głównie głowę i uszy Zako. Mój Przewodnik tak nie lubi mieć mokrego łba, że, po każdym deszczowym spacerze, sam za mną chodzi i dopomina się o wytarcie do sucha. Zawsze też jeden ręcznik mam przy sobie w plecaku – są one bardzo malutkie, co więcej, w sklepach zoologicznych można znaleźć także wersje z brezentowymi pokrowcami. Wtedy, gdy jesteśmy poza domem i zdarzy nam się zmoknąć, możemy szybko wytrzeć zwierzątko do sucha, a następnie mokry ręcznik schować do pokrowca i całość do plecaka; jest to niezwykle praktyczne rozwiązanie, które gorąco polecam wszystkim pracującym z psami asystującymi.

Jednak nie zapominajmy i o Opiekunie Przewodnika. Bardzo szybko przekonałem się, że psa nie da się skarmiać w rękawiczkach – nie sposób precyzyjnie uchwycić w nich jednego psiego przysmaku. Co więcej, po kilkunastu minutach, całe palce rękawiczki będziemy mieli mokre – od zwykłego podawania Przewodnikowi przysmaków do pyska oraz oblizywania przez niego palców z okruszków, które się do nich przykleiły; od tego momentu już tylko krótka chwila dzieli nas od odczuwania w palce dotkliwego zimna. Dlatego dość szybko „polubiłem się” z tzw. mitenkami, czyli rękawiczkami bez palców, noszonymi najczęściej przez kierowców, motocyklistów czy rowerzystów; praktycznie w każdym większym sklepie sportowym możemy sobie takie sprawić i – oczywiście – znajdziemy także klasyczne, znacznie cieplejsze ich wersje zimowe. Jak dla mnie, był to strzał w dziesiątkę: zawsze, gdy zimą pracuję z Przewodnikiem, mam takie na dłoniach – dzięki temu nadal mogę wygodnie skarmiać psa, a zimno mi nie dokucza.

Skoro mowa o aurze, to nie sposób pominąć deszczu. Wspominałem już wcześniej, jakie problemy z postrzeganiem otoczenia mają osoby niewidome, poruszające się w kapturze na głowie; również stosunkowo trudno jest połączyć pracę z psem i trzymanie w ręku otwartego parasola. W efekcie znam kilku Opiekunów Przewodników, wystawiających gołą głowę na deszcz tylko po to, aby nie tracić możliwości odbierania otaczających ich dźwięków. Niestety, dla mnie samego to również stanowiło duży problem – aż do dnia, gdy – zupełnym przypadkiem – trafiłem w Internecie na opis przeciwdeszczowego kapelusza. I przyznam, że w owym czasie było to dla mnie odkrycie roku. Jak się bowiem okazało, dostępnych na rynku jest mnóstwo modeli takich nakryć głowy: są damskie i męskie, sportowe i bardziej klasyczne, stylizowane na kultową Panamę albo elegancki toczeń. Łączy je jedno: po założeniu na głowę doskonale chronią przed deszczem, a – co dla mnie najważniejsze – jednocześnie nie zasłaniają uszu i dzięki temu mogę bez problemu słyszeć wszystkie otaczające mnie odgłosy.

Z moich rozmów z Opiekunami Przewodników dowiedziałem się jeszcze, że części z nich po prostu umyka fakt, że na zewnątrz, szczególnie wczesnym zimowym popołudniem, robi się ciemno i w efekcie są oni bardzo słabo widoczni na drodze. Sam testowałem kilka rozwiązań, polecanych przez tych bardziej świadomych Opiekunów: różnego rodzaju odblaskowe wisiorki, kamizelki, świecące breloki itp. Jednak w praktyce najlepiej sprawdza nam się ledowa obroża – świeci bardzo jasno i widać nas z daleka. Używamy jej zarówno w trakcie pracy zimowymi popołudniami, jak i spacerów fizjologicznych; jeśli wyjście trwa ok.

30 minut, to po czterokrotnym użyciu obrozę należy naładować. Dzięki temu, że po założeniu znajduje się ona za zwykłą obrozą i przypiętą do niej smyczą, nawet najdziksze susy w pogoni za wiewiórką nie doprowadzą do jej zgubienia.

Kwestia oświetlenia istotna jest również w codziennym funkcjonowaniu. Przyznam, że – choć sam zawsze pamiętam o tym, aby wieczorem wychodząc z psem na spacer włączyć mu światło na klatce schodowej – to w samym mieszkaniu zdarzało mi się już o tym zapominać. Dlatego też zakupiłem kilka niewielkich lampek, automatycznie włączających się po zmroku i wykryciu ruchu; zamontowałem je na ścianach, w paru newralgicznych miejscach, w tym także bezpośrednio nad miskami Przewodnika. Teraz Zako, wędrując nocą po mieszkaniu, na przykład, aby ugasić pragnienie, chcąc nie chcąc sam włącza sobie oświetlenie; gdy w czasie jednej minuty lampki nie wykryją dalszych ruchów, automatycznie gasną jedna po drugiej. Zasilane są one z wbudowanych akumulatorów, które regularnie ładuję raz na trzy miesiące.

A skoro wcześniej pisałem o obroży, to w tym miejscu koniecznie muszę wspomnieć o rozwiązaniu, które rok po roku udowadnia swą skuteczność. Oczywiście, mam tu na myśli obrozę na kleszcze. Jeszcze mając Hamleta, testowaliśmy różne pomysły – sprawdzaliśmy krople na kleszcze, odstraszacze w aerozolu, a także obroże najróżniejszych firm. Finalnie okazało się jednak, że obroża Kiltix firmy Bayer stanowi najlepsze rozwiązanie; aktualnie Zako nosi ją przez cały rok. Na wiosnę zakładamy nową i jesienią zmieniamy ją na kolejną. Dzięki takiemu postępowaniu Zako chyba już od trzech lat nie przyniósł na skórze ani jednego kleszcza. A przypominam, że regularnie chodzimy do lasu, gdzie psiak buszuje w wysokich trawach. Z mojego punktu widzenia sytuacja ta ma tylko jeden minus – nadal nie posiadam umiejętności wyciągania kleszczy. Niby w teorii wszystko wiem, co i jak, ale Zako nie dostarcza mi materiału, na którym mógłbym poćwiczyć. Wspominam o tym również dlatego, że znam Opiekunów, których psy regularnie na spacerach zawierają nowe znajomości, a oni – nie potrafiąc samodzielnie wyjąć kleszcza – za każdym razem muszą pofatygować się do weterynarza, co wiąże się nie tylko z poświęceniem dodatkowego czasu, ale także z wydatkami.

Charakter pracy Przewodnika sprawia, że konieczne jest zapewnienie mu jak najlepszych warunków jej wykonywania. Nie możemy jednak przy tym zapominać, że to przede wszystkim pies, którego musimy pielęgnować i o którego zdrowie musimy odpowiednio zadbać. Dlatego też, oprócz profilaktyki przeciwkleszczowej,

regularnych wizyt u groomera, również w domu dbamy o jego czystość i higienę. Od czasu do czasu czyścimy długie i mięsiste uszy, przecierając je specjalnymi, przeznaczonymi do tego celu płatkami; aby zapobiegać nieprzyjemnym zapachom, gdy na przykład przepełnią się gruczoły okołoodbytowe, przed ich opróżnieniem u weterynarza, okolice podogonowe wycieramy specjalnymi, przeznaczonymi dla psów nawilżanymi chusteczkami; regularnie, wacikami kosmetycznymi nasączonymi odpowiednimi kroplami, przepisany przez psiego okulistę, przecieramy mu oczy, żeby były czyste, mniej narażone na podrażnienia, a także, aby nie pojawiały się przebarwienia na sierści pod oczami oraz w ich kącikach. Warzywa i owoce, które otrzymuje, myjemy ekologicznym płynem usuwającym z ich powierzchni środki chemiczne, używane do uprawy czy zabezpieczenia w transporcie. Na przestrzeni lat wprowadzaliśmy różne suplementy diety, wzmacniające organizm Przewodnika – zaczęliśmy od wsparcia futra Zako poprzez dodawanie oleju z łososia do jego posiłków, kolejne były specyfiki WetoSkin i Keratostil, zalecane na futro i pazury przez psiego dermatologa, a gdy Zako skończył 5 lat, zaczął otrzymywać specjalne preparaty zawierające dużo kwasów Omega 3, wzmacniające stawy i kości.

W tym samym czasie rozpoczęliśmy regularne kontrole u różnych ekspertów – Zako odwiedził psiego kardiologa, specjalizującego się w wykonywaniu echa serca, okulista zbadał sprawność jego oczu, dermatolog, po analizie zeszkrobiny komórek skórnych, nareszcie określił przyczynę problemów z sierścią i zalecił jej skuteczne leczenie. Wykonując najróżniejsze badania RTG i USG, zajrzeliśmy do wszystkich zakątków wnętrza Zako, aby przekonać się, że jest on wyjątkowo zdrowym przedstawicielem swej rasy, na przestrzeni lat sami mogliśmy się o tym przekonać; dotychczas jedynymi jego chorobami były nużyca, zapalenie ucha i zatrucie pokarmowe. Nie tylko trzymamy kciuki, aby w tak dobrym zdrowiu dożył późnej starości, ale – przede wszystkim – staramy się robić co w naszej mocy, by mu w tym dopomóc.

W tym miejscu na pewno warto wspomnieć, że koszt wizyty psa u specjalisty weterynaryjnego aktualnie jest taki sam, a często nawet wyższy, jak u specjalisty, prywatnie przyjmującego ludzkich pacjentów. Należy o tym pamiętać w momencie, gdy decydujemy się na posiadanie Przewodnika – jest to pies pracujący, wymagający znacznie częstszych wizyt w gabinecie weterynaryjnym. Na przykład ja, ponieważ Zako nie ściera pazurów, minimum raz w miesiącu odwiedzam naszego weta, aby przyciął mu szpony; do tego oczywiście obowiązkowe ważenie. Przewodnik nie może mieć nadwagi – non stop chodzi



po twardych podłożach, więc zbyt duża masa dodatkowo obciążałaby jego stawy. Dlatego, choć Zako na głodnego nie wygląda, to bardzo pilnuję, aby nadal mieścił się w swojej skórze i nie przekroczył 40 kg. W efekcie mojej małej obsesji, zaraz po wejściu do gabinetu weterynaryjnego, Zako od razu sam z siebie wchodzi na wagę i siedzi na niej, dopóki wet nie odczyta wyniku i – w zależności od werdyktu – nie obdaruje go pieszczotą lub drobnym przysmakiem. Takie wizyty nie są oczywiście bardzo drogie – oprócz przycięcia pazurów, wet zajrzy psu w oczy, uszy, zęby i pod ogon, a za całość takiego spotkania zapłacę kilkanaście złotych, ale – gdy już pojawia się regularna potrzeba wykonywania różnego rodzaju badań krwi albo wizyt u specjalisty – portfel chudnie w oczach.

Z Zako mam też sporo szczęścia – znam Opiekunów Przewodników, których psy miały tendencję, na przykład, do pojawiania się tłuszczaków. W praktyce każdą taką narośl powinniśmy zbadać, czy nie jest złośliwa, a jeśli pojawi się ona w jakimś newralgicznym miejscu, na przykład, pod psią pachą, gdzie non-stop jest podrażniana, to reagować musimy natychmiast. Przygotowanie do zabiegu, narkoza, wycięcie narośli, szycie i przerwa w pracy Przewodnika – wtedy to my musimy zadbać o ślaniającego się na łapach psa, pokazać mu drogę do domu, zawieźć taksówką, często też wnieść na rękach, tak jak w moim przypadku, nawet na trzecie piętro. A to dopiero początek – o ranę trzeba dbać, pilnować, aby nie była lizana, aby nasz podopieczny nie wycierał maści o pluszową kanapę, a na koniec czekać na informacje z gabinetu weterynaryjnego, jednocześnie zaciskając kciuki w nadziei, że badanie histopatologiczne nie wykaże niczego niepokojącego. A jeśli, tak jak we wspomnianym powyżej przypadku, pies ma tendencję do pojawiania się narośli, to podobne doświadczenia będą nas czekały co jakiś czas.

Wspominam o tym dlatego, że część Opiekunów Przewodników jest bardzo nieprzyjemnie zaskoczona faktem, że ich podopieczni to psy, którym zdarza się chorować i o które trzeba dbać. Dobrze jest mieć pełną świadomość, na co się decydujemy, biorąc pod opiekę tak wymagające stworzenie. Na samą karmę, przysmaki i drobne zabawki miesięcznie wydaję obecnie minimum 300 zł, w skali roku moje wydatki na psa w sumie sięgają – a często też przekraczają – kwoty 6000 zł. W chwili, gdy piszę te słowa, jest to mniej więcej dwukrotność najniższego miesięcznego wynagrodzenia brutto w Polsce, przy czym w tej kwocie nie uwzględniam pobytów hotelowych ani opieki petsittera. Oczywiście, na początku naszej współpracy, gdy Zako był młodzieńkiem, wydatki były nieco mniejsze – aktualnie, gdy regularnie poddaję go badaniom profilaktycznym, ponoszę ich

finansowe konsekwencje. Warto pamiętać o tym, że nasz pies nie będzie coraz młodszy – wizyty w specjalistycznych lecznicach czy wysokogatunkowa karma sprawiają, że wraz z upływem latokreślenie „mój najdroższy” nabierze nowego znaczenia. Od czasu do czasu, niektóre organizacje szkolące Przewodniki lub duże miasta uruchamiają programy wsparcia dla psów pracujących; w ich ramach Opiekunowie mogą starać się o pozyskanie dodatkowych środków na karmę, akcesoria czy opiekę weterynaryjną. Należy jednak pamiętać, że jest to jedynie wsparcie czasowe, o które dodatkowo należy aplikować – nigdy nie możemy mieć pewności, że zostanie ono nam udzielone ani że taka forma wsparcia w ogóle będzie dla nas dostępna. Dlatego też, według mnie, należy ją traktować raczej jako dodatkową pomoc, niż pomysł na utrzymanie psa.

Kończąc niejako temat, szeroko rozumianej, opieki nad Przewodnikiem, wspomnę jeszcze o ostatnim gadżecie, jaki sprawiłem Zako. Mam tu na myśli lokalizator psa, na stałe przypięty do jego obroży. Jest on niewielki, leciutki, wodoodporny i na jednej baterii działa do roku; w razie potrzeby, z poziomu telefonu komórkowego, można zlokalizować czworonożca. Dzięki niemu jestem znacznie spokojniejszy, gdy spuszczam Zako ze smyczy i pozwalam mu hasać po lesie. Niedawno w Internecie szerokim echem odbiła się historia Przewodnika, który – świeżo po przekazaniu Opiekunowi – postanowił na własną łapę zwiedzić kawałek świata; na szczęście zguba odnalazła się po kilku dniach. Podobny lokalizator mógłby oszczędzić Opiekunowi psa sporo stresu i niepokoju.

Na przestrzeni sześciu wspólnych lat zdarzało nam się również popełniać błędy. Największy, jaki sam popełniłem, to powierzenie Przewodnika bardzo nieodpowiedniemu hotelowi dla psów. Jak już wspominałem wcześniej, znalezienie dobrego obiektu w tej branży, a do tego przyjmującego duże psy, jest niezwykle trudne. Wina za podjęcie złej decyzji niezaprzeczalnie jest moja, ale to Zako poniósł jej konsekwencje. Po naszym urlopie odebraliśmy z psiego hotelu niezwykle radosnego Przewodnika – jak się jednak szybko okazało, Zako najbardziej cieszył się nie dlatego, że nas widzi, lecz dlatego, że opuszcza miejsce dotychczasowego pobytu. Po powrocie do domu praktycznie spał cały czas, nie chciał się bawić, przytulać ani nawet wychodzić na spacer – dopiero po paru dniach i kilku gorączkowych kontrolach u weterynarza poznaliśmy prawdziwe przyczyny. Jak się okazało, powodem takiego osłabienia Zako było skrajne odwodnienie, a po dokładnych oględzinach jego ciała wyszło na jaw, że całe opuszki łap są poparzone, tak jak gdyby pies dłuższy czas spędził w pełnym słońcu na betonowej podłodze. Akurat w czasie, gdy przebywał w hotelu, panowały

temperatury powyżej 30°C w cieniu – ile mogło być w słońcu? Nawet nie chcę tego wiedzieć. Do dziś nie mogę sobie tego wybaczyć. Dlatego też, przy wyborze kolejnego hotelu, poprzeczkę ustawiliśmy tak wysoko, że aktualnie na całym Śląsku tylko dwa obiekty, przynajmniej według mnie, mogą Zako zapewnić odpowiednią opiekę – są to działające od lat i cieszące się nieposzlakowaną opinią OK Pets i Merdające Ogony. Na szczęście, jeden z nich zlokalizowany jest całkiem niedaleko nas, więc mogliśmy osobiście udać się do niego i zweryfikować entuzjastyczne opinie publikowane w Internecie. Jak się okazało, wszystkie one były zasłużone, a Pani Agata, właścicielka obiektu, skradła nie tylko serce Zako, ale i nasze. Od tamtej pory, gdy pojawia się taka konieczność, Przewodnik gości w hotelu Pani Agaty. Piszę „konieczność”, ponieważ od opisaney powyżej historii staramy się każdy urlop spędzać z naszym Przewodnikiem – i tu, na szczęście, większość z hoteli, do których jeździmy regularnie ani nie robi problemów z powodu przyjazdów z psem, ani nie dolicza dodatkowej opłaty za Przewodnika.

Oczywiście, najistotniejszy w tym wypadku jest fakt, że pies jest Przewodnikiem. Na tę okoliczność zawsze mam certyfikat w pogotowiu, jednak, jak pokazuje nasze już ponad sześćoletnie doświadczenie, ludzie bardzo rzadko o niego pytają. Oprócz obowiązkowej kontroli na lotniskach, w tym czasie dosłownie tylko dwukrotnie zapytano mnie o posiadany certyfikat – za pierwszym razem był to konduktor pociągu, który – jak się szybko okazało – był po prostu ciekaw, jak wygląda taki certyfikat; na szkoleniu z obsługi osób z niepełnosprawnościami, w którym uczestniczyłem, prowadzący nie mieli jego wzoru. Druga sytuacja miała miejsce w jednym z popularnych dyskontów. Bardzo nie lubię tego typu sklepów i odwiedzam je sporadycznie, wtedy także wszedłem z myślą o zakupie tylko jednego produktu. Dosłownie 3 sekundy po wejściu z Przewodnikiem do sklepu, drogę zastąpiła nam miła pani, pytając, w czym może mi pomóc. Ja odwdzięczyłem się pytaniem: „Czy jest ciasto francuskie?”. Po potwierdzeniu otrzymałem kolejne pytanie: „A piesek certyfikat ma?”. Mocno zdziwiony odpowiedziałem, że oczywiście – na to ona: „To proszę okazać”; podałem jej dokument ciekaw, co z niego wyczyta. Ku mojemu zdumieniu stwierdziła: „Dobrze, wszystko w porządku. Zapraszam do sklepu”; nie mogłem się powstrzymać i dopytałem, skąd wie, że z dokumentem jest wszystko w porządku. Okazało się, że pracownicy sklepu niedawno mieli szkolenie z obsługi osób poruszających się z psami asystującymi; dlatego też Pani była świetnie zorientowana i na bieżąco ze wzorami certyfikatów. Od tamtej pory znacznie cieplej myślę o żółto-czerwonej sieci dyskontów.

Upływający czas sprawia, że nie tylko ludzie się zmieniają – na przestrzeni ponad sześciu wspólnych lat obserwowałem, jakie metamorfozy przechodził Zako. Na samym początku, ewidentnie nie wiedział, czy nasz dom jest tylko kolejnym etapem na jego drodze życia, czy też jest to już docelowe miejsce, gdzie można zapaść korzenie. Oczywiście, sam pewnie nie myślał w ten sposób, ale przez pierwsze kilka miesięcy ewidentnie było po nim widać swoiste napięcie. Początkowo nie zdawałem sobie z tego sprawy – pierwszy zaskoczył mnie taksówkarz, pytając, czy mam nowego psa; okazało się, że kiedyś, razem z Zako, odbyliśmy z nim nasz pierwszy wspólny kurs. Wtedy tylko mnie rozbawiło, że nie poznał mojego Przewodnika, ale dosłownie z dnia na dzień – i w trakcie pracy i na spacerach, ludzie zaczepiali mnie, pytając, dlaczego zmieniłem psa. Gdy zacząłem dociekać, o co w tym wszystkim chodzi, okazało się, że Zako po prostu się odprężył, a przez to – dosłownie – zmieniło się jego całe zachowanie, sposób poruszania, sprawiał nawet wrażenie o wiele wyższego i większego. Taki zrelaksowany jest do dziś. Początkowo był bardzo aktywnym psem, szukającym w zabawie możliwości rozładowania nagromadzonej energii, regularnie rozgryzał najgrubsze szarpaki, skakał po parapetach, polując na muchy, spuszczone ze smyczy hasał bez opamiętania. Dziś, w wieku ponad siedmiu lat, jest znacznie spokojniejszym psiakiem: szarpak poprzeciąga ze dwie minuty, muchę odprowadzi znudzonym spojrzeniem, spuszczone ze smyczy utrzymuje stałą odległość, nieprzekraczającą długości samej smyczy. Nie jest to jednak zniechęcenie spowodowane wiekiem – nadal od czasu do czasu potrafi błyskawicznie skoczyć i jednym kłapnięciem pyska pochwycić przelatującą muchę albo – zimą, próbując dopaść wiewiórkę w kilku nagłych susach – gwałtownie przewraca osobę trzymającą go akurat na smyczy. Wcześniejsza aktywność zmieniła się w czułość – dziś większość dnia Zako chciałby się przytulać i być głaskany, jest teraz o wiele bardziej rodzinnym psem, niż kilka lat temu. Wraz z wiekiem stracił też na swej wytrzymałości – wcześniej, bez względu na porę roku i warunki atmosferyczne, po prostu szedł tam, gdzie go skierowałem, nie przeszkadzała mu ani zła aura, ani wysoka temperatura. Dziś zauważam już, że w upalne dni męczy się znacznie szybciej, zdecydowanie lepiej funkcjonując w niższych temperaturach. Kilkustopniowy mróz mu nie przeszkadza wcale – za to temperatura powyżej 25° jest już dla niego za wysoka: szybciej zaczyna ziajać i nawet spaceru fizjologiczne planujemy na krótsze dystanse. Kilka lat temu, w sylwestrowy wieczór, wędrował, nie zwracając uwagi na huk petard i wybuchy fajerwerków – dziś potrafi go wystraszyć korek wyciągany przy otwieraniu szampana. Obecnie jest znacznie bardziej delikatny, co tylko sprawia, że mam ochotę otaczać go coraz czulszą

opieką. Staram się też minimalizować ryzyka kontuzji, ograniczając jego mniej fizjologiczne aktywności – na przykład, kiedyś Zako w trakcie zabawy, w przyptywie radości lub gdy był podekscytowany, wskakiwał nam przednimi łapami na ramiona; takie „misiaki” są jednak dużym obciążeniem dla stawów biodrowych i kręgosłupa psa, dlatego od pewnego czasu nie tylko nie zachęcam Zako do podobnych aktywności, ale – gdy widzę jego ekscytację – od razu schodzę do parteru, żeby nie musiał po mnie skakać. Podobnie, przeskakiwanie przez płotki lub żywopłoty – na przykład, kiedyś, aby wytarł łapy w świeżym śniegu, tylko wydawałem komendę: „Hopla!”, a Zako jednym susem przesadzał płotek i brodził w głębokim śniegu. Dziś podejść z nim do furtki lub wejścia do ogródka, aby niepotrzebnie nie skakał. Oczywiście, gdy na spacerze za płotkiem sam dostrzeże kota lub jakiegoś ptaka, to żadna siła go nie powstrzyma – w sekundę jest po drugiej stronie. Mam jednak nadzieję, że – między innymi – dzięki takiej profilaktyce, Zako jeszcze długo nie będzie miał żadnych problemów ani z dłuższym wchodzeniem po schodach, ani ze wskakiwaniem i wyskakiwaniem z pociągów.

Bardzo imponuje mi również fakt, że, wraz z wiekiem, Zako nie traci nic ze swojej przenikliwości – co więcej, ciągle uczy się nowych rzeczy. Na przestrzeni lat, często niejako przez przypadek, wprowadzałem jakieś nowe komendy. Jedną z nich jest: „Krawędź!” – po jej wymówieniu, Przewodnik podchodzi do znajdującej się przed nim krawędzi peronu, chodnika czy portowego pirsu i staje na niej przednimi łapami. Inną jest: „Szukaj!” – Zako nauczył się najpierw wskazywać, a później podawać do ręki szukane przez nas przedmioty; po wypowiedzeniu komendy i zlokalizowaniu obiektu, który, na przykład, strąciłem ze stołu, kładzie łapy po obu jego stronach i pyskiem wskazuje poszukiwaną rzecz. Jest to przydatne w sytuacji, gdy poszukiwany przedmiot jest mały albo z materiału, który nie powinien się zamoczyć, na przykład papieru. Jeśli jednak powtórzę komendę, to Zako weźmie poszukiwaną rzecz do pyska i poda mi ją do ręki. Co ciekawe, także sam Przewodnik wprowadził do naszej współpracy kilka nowych elementów, których nikt go wcześniej nie uczył. W moim odczuciu najciekawszym, a przy tym najbardziej rozczulającym jest gest, jaki Zako wykonuje w sytuacji mojego bezpośredniego zagrożenia – przykładowo, gdy chcę przejść przez ulicę, a Przewodnik widzi nadjeżdżający samochód, albo gdy widząc przeszkodę całkowicie tarasującą przejście, zatrzymuje się tuż przed nią. Zawsze wtedy przednią łapę kładzie na moim buciu, tak jakby chciał mi zakomunikować – „Stary, ani kroku dalej!”. Gdy – mimo tego ostrzeżenia – próbuję przesunąć stopę,

przenosi na nią cały ciężar swojego ciała, a ja nie mam żadnych wątpliwości, że pora sięgnąć po białą laskę i „rozejrzeć się” po okolicy.

Również jego pamięć wraz z upływem lat nie traci na jakości. Już na samym początku naszej wspólnej przygody zdumiewała mnie zdolność Przewodnika polegająca na zapamiętywaniu wszystkich miejsc, które choć raz odwiedził; wraz z wiekiem nie zatracił tej umiejętności. Czasem trafiam w okolicę, w której byłem tylko raz i to kilka lat temu; Zako bez wahania prowadzi po trasie i wskazuje interesującą mnie lokalizację, odwiedzoną na przykład trzy lata wcześniej. Bardzo dobrze radzi sobie również z inteligentnymi zabawkami, regularnie kupowanymi przez Alicję. Znakiem upływającego czasu jest między innymi to, że dziś, zamiast szarpać linę i skakać za piłkami, woli je spokojnie aportować i – wężąc nieustannie – nosem przesuwając ukryte zapadnie, rozwiązywać logiczne łamigłówki.

Nie zmienił się także sposób naszej wspólnej pracy – od ponad sześciu lat w jej trakcie regularnie skarmiam Przewodnika. Wiem, że wielu Opiekunów po jakimś czasie ogranicza, a nawet rezygnuje ze skarmiania psa, jednak z licznych rozmów, w tym także z kilkoma Trenerami, dowiedziałem się, że Przewodnik, pozbawiony smakowitej motywacji, z biegiem czasu zaczyna gorzej pracować. Zako ciągle jest skarmiany, więc cały czas pracuje tak samo. Wraz ze wzrostem naszego wspólnego doświadczenia ograniczyliśmy nieco ilość smakołyków pochłanianych w trakcie pracy, jednak, przed każdym wyjściem z domu do pracy, Zako domaga się jednego przysmaku, tak jakby sprawdzał, czy na pewno zabieram je ze sobą. A ja wcale mu się nie dziwię – w końcu kto chciałby pracować za darmo?

Niejako mimochodem wypracowaliśmy też regularny sposób karmienia. Skoro pies regularnie podjada w trakcie pracy, to resztę z dziennej porcji otrzymuje dopiero na kolację – ale to wcale nie oznacza, że przez cały dzień chodzi głodny: przed południem otrzymuje marchew do chrupania, przy naszej popołudniowej kawie, swój ulubiony przysmak – patyczek z kaczego mięsa, a jako deser, podawane o różnych porach, chrupiące jabłko. Co istotne, zawsze bez ogonków i z wyciętym gniazdem nasiennym. Pestki z jabłek, wiśni, śliwek, jak i innych owoców zawierają śladowe ilości cyjanowodoru. Są one tak małe, że raz zjedzone w całości jabłko Przewodnikowi nie zaszkodzi. Jednak psi organizm nie jest w stanie samodzielnie wydalić nawet tak drobnych dawek. Zaczyna je kumulować i w sytuacji, gdy regularnie będziemy podawać Przewodnikowi jabłka z pestkami, możemy doprowadzić do jego zatrucia. Dzięki takiemu podejściu Zako nie chodzi przez cały dzień głodny, za to, gdy tylko wrócimy z ostatniego spaceru i wreszcie

nadejście pora kolacji, wywija takie hołubce, że nieraz się zastanawiałem, czy sąsiadowi mieszkającemu piętro niżej nie buja się żyrandol nad głową.

Nie zauważyłem także, aby wraz z upływem lat Zako stracił zapał do pracy: za każdym razem, z jednakowym entuzjazmem reaguje na widok uprząży, ściąganej z uchwytu; nawet na spacerzy fizjologiczne nie cieszy się on tak bardzo, jak na wspólne wyjście do pracy. Co ciekawe, nawet w trakcie samych spacerów nadal bardzo mnie pilnuje, a – w wymagających tego sytuacjach – ciągle próbuje mnie chronić i prowadzić na samej smyczy.

Oczywiście, jego ogromne doświadczenie wcale nie oznacza, że mogę sobie pozwolić na rezygnację z pilnowania i korygowania jego pracy. Nadal regularnie muszę sprawdzać, czy Przewodnik pamięta i należycie wykonuje poszczególne komendy. Korygowanie odchyłeń od prawidłowych zachowań towarzyszy nam przez cały czas – i o tym również warto pamiętać, decydując się na psa asystującego. Przewodnik nie jest zaprogramowanym robotem, który, odkąd go otrzymamy w trakcie przejmowania, będzie działał dokładnie tak samo, aż do swojej emerytury. To głównie od nas, naszej pracy z nim i konsekwencji zależeć będzie, jak będzie się on sprawdzał przez kolejne lata. To, że pracujemy z psem, nie oznacza wyłącznie tego, że on tylko nas prowadzi – jest to wspólna praca polegająca na wzajemnym przekazywaniu i odbieraniu sygnałów. Jeśli tylko zauważymy, że któreś komendy przestają działać, Przewodnik zaczyna je wykonywać niedokładnie albo jego zachowanie w inny sposób odbiega od wytrenowanej normy – musimy natychmiast interweniować. Nie chodzi tu tylko o korygowanie zachowań psa – równie często problem leży po stronie Opiekuna. Gdy, w trakcie pracy, nie zwracamy na niego uwagi, na przykład, idąc, rozmawiamy przez telefon, to on o tym doskonale wie i dochodzi do wniosku, że skoro Opiekun się nie przejmuje, to i on nie musi. Zaczyna ścinać łuki, niebezpiecznie zbliża nas do krawędzi ulicy albo sprawia, że mijając przechodniów, potrącamy ich ramieniem. Z moich obserwacji wynika również, że gdy, idąc z Przewodnikiem, rozmawiam przez telefon lub z inną osobą, to Zako jest zdezorientowany. Stresuje go ciąg wypowiedzianych przeze mnie słów i cały czas próbuje z niego wyłapywać zrozumiałe dla siebie komendy. Dlatego też staram się unikać takiego zachowania, a gdy mam wykonać lub odebrać jakieś połączenie telefoniczne, zawsze na tę chwilę schodzę na bok i się zatrzymuję.

Konsekwencja w obcowaniu z Przewodnikiem – i to nie tylko w trakcie pracy, ale również w ciągu zwykłego dnia – to coś, czego przestrzegać musimy non

stop. Oprócz regularnego powtarzania komend i korygowania ewentualnego nieprawidłowego zachowania psa musimy być w tym konsekwentni. Jeśli nie pozwalamy dokarmiać Przewodnika przy stole, to nie pozwalamy nigdy – i nie robimy żadnych wyjątków na odwiedzinach rodziny czy inne okoliczności sprawiające, że wybierze on sobie bardziej atrakcyjną dla niego formę aktywności, którą – w opisywanym przypadku – będzie zebranie przy stole o kolejny kęs i ślinienie podłogi w promieniu metra od psiego pyska. Co więcej, Przewodnik nie ograniczy tego zachowania jedynie do domu, ale przeniesie je na odwiedzane z nami restauracje, nasze miejsce pracy i każdą inną lokalizację, gdzie tylko dostrzeże jakąś osobę ruszającą brodą. Poprzez brak konsekwencji i nasze nieprawidłowe zachowanie bardzo łatwo możemy zepsuć nawet najlepiej wyszkolonego psa – on nie rozumie, że czegoś mu nie wolno do piątku, a w weekend to już tak, że w domu mu na coś pozwalamy, a poza mieszkaniem już nie. Pies nie rozumie tak niejednoznacznych kontekstów – w kwestii zachowania, dla niego jest tylko „białe” albo „czarne”, coś można robić, a czegoś nie wolno; opcja, że coś można robić tylko czasem, na przykład zakradać się do łóżka Opiekuna tylko w chłodne noce, naprawdę nie działa. Gdy raz pozwolimy psu wejść do łóżka, potraktuje to, jak bilet w wersji open, z realizacją w każdym pasującym mu terminie. I jest to nasz błąd i problem, a nie naszego psa.

Mam wrażenie, że w ostatnim czasie – niezwykle wyidealizowany – przekaz medialny sprawił, iż Przewodniki postrzegane są powszechnie jako jakieś „nadpsie” istoty. Nie tylko wskażą drogę i ostrzegą przed przeszkodą, ale także umilą nam czas, pocieszą w trudnej chwili i pomogą rozwiązać życiowe problemy, sprawią, że poprawi się nasz odbiór społeczny, a na spacerach każdy będzie chciał z nami pogadać. Tymczasem to są tylko psy, o czym wiele osób zdaje się zapominać – i później, gdy jak w opisywanej tutaj sytuacji – Przewodnik nagle zwymiotuje w najmniej odpowiednich okolicznościach, wymęczony długą podróżą zrobi kupę na środku peronu albo – chorując – tak zanieczyści odchodami pokój hotelowy, że do jego czyszczenia wzywać trzeba ekipę specjalizującą się w usuwaniu rozkładających się zwłok, wszyscy są zdziwieni – jak do możliwe? Przecież to Przewodnik! A to jest tylko pies. Doskonale wyszkolony, ale jednak zwierzak, który w zabawie może pogryźć kaptur, stłuc wazon czy dokonać innych zniszczeń w domu. Przydepnięty, w obronie własnej albo wystraszony, może ugryźć, podrapać, a nawet przewrócić dziecko lub mniejszego człowieka. Rozsiewa przeogromne ilości sierści, puszcza bąki i przynosi kleszcze na grzbiecie. Czasem, najczęściej w niedzielę wieczorem, połknie zabawkę, a wtedy trzeba z nim pilnie



jechać do weterynarza. Wspaniale zachowujący się na spacerach sprawia, że ludzie chętnie do nas podchodzą porozmawiać – ale czy nasz wizerunek społeczny się zmieni, zależy już tylko od nas samych. Znam Opiekunów Przewodników, którzy na swych spacerach nie spotykają nikogo, choć mijają ich wiele osób, znam też takich, którzy nie są w stanie samodzielnie odbyć choćby jednej przechadzki, ponieważ po wyjściu z domu natychmiast „wyłapywani” są przez sąsiadów spacerujących z własnymi psami. Przewodnik nie jest panaceum na całe zło tego świata – przede wszystkim jest on doskonałym wsparciem i pomocą w poruszaniu się dla osoby niewidomej, ale to przede wszystkim pies, żywa istota, ze wszystkimi jej wadami i zaletami.

Oczywiście, do tych wszystkich wniosków dochodziłem na przestrzeni naszych wspólnie spędzanych lat; często towarzyszyły temu jakieś zabawne sytuacje. Na przykład, raz Przewodnik poprowadził mnie bardzo blisko bagażnika wana, tak, że otarłem się o niego ramieniem. Zgodnie z opisaną wcześniej metodą postępowania, cofnąłem się o dwa kroki i – stukając knykciami dłoni w bagażnik – wołałem do psa: „Co to jest! No co to jest!?”. W tym momencie otwiera się okno po stronie kierowcy i dobiega mnie jego skonsternowany i nieco wystraszony głos: „Samochód. To, proszę Pana, jest samochód...”.

Innym razem, gdy Zako nie zachował odpowiedniej odległości od drugiego człowieka, dość mocno biodrem potrąciłem jakąś osobę na chodniku. Niestety, tak się nieszczęśliwie złożyło, że była to akurat starsza pani, która, zgięta w pół, szukała czegoś na dnie dużego wózka z zakupami. Gdy biodrem uderzyłem ją w pośladek, dosłownie wpadła do wózka głową naprzód. Początkowo, w ogóle nie wiedziałem, co się stało, ponieważ dobiegające mnie odgłosy nie dały się do niczego porównać. Zorientowałem się, że kogoś potrąciłem, ale co się stało? Zamiast odpowiedzi na moje gorączkowe dopytywanie słyszałem tylko jakieś nieartykułowane pojękiwania, a gdy wyciągnąłem przed siebie rękę i złapałem w powietrzu podrygującą gołą łydkę, moje zdumienie sięgnęło zenitu. W końcu jednak zorientowałem się, do czego doprowadziłem i pomogłem starszej Pani wydostać się z wózka. Gdy już nieco ochłonęła, przekonała się, że nic jej nie dolega i poprawiła wywróconą wcześniej na drugą stronę spódnicę, przyjęła moje przeprosiny; na odchodne jeszcze śmiała się, komentując, że na pewno nikt jej nie uwierzy, gdy opowie, co jej się przytrafiło.

Aby przy poruszaniu się z Przewodnikiem nie dochodziło do takich sytuacji, cały czas musimy wspólnie pracować nad prawidłową komunikacją oraz poprawnym

wykonywaniem komend. Powtarzać i ćwiczyć te rzadziej wykonywane, korygować niedociągnięcia, gdy tylko je zauważymy. Oczywiście, musimy również pamiętać i o tym, że „pies to też człowiek” i może sam o czymś zapomnieć albo coś mu się pomyli. Przewodnik również może mieć gorszy dzień – może boleć go brzuch czy łapa, mógł źle spać – a wszystkie te słabości psychofizyczne mogą przełożyć się na jego gorszą pracę. Takie rzeczy zaczynamy zauważać i różnicować dopiero po kilku latach wspólnego poruszania się. Dziś wiem, kiedy Zako ma gorszy dzień: w trakcie pracy trąca mnie pyskiem, przytula się, częściej niż zwykle szuka kontaktu fizycznego; jest to dla mnie już bardzo jasny sygnał, że czuje się niepewnie, z jakiegoś powodu źle. Biorę wtedy „poprawkę” na jego stan i samopoczucie – jeśli mogę iść inną, na przykład prostszą albo – z jakiegoś powodu – spokojniejszą trasą, nawet jeśli będzie ona dłuższa, mimo tego, że nie mam czasu, to z uwagi na Zako i tak wybiorę tę, którą w jego stanie będzie mu łatwiej pokonać.

A skoro mowa o pokonywaniu dróg – to idealny moment, aby rozprawić się z niezwykle popularnym mitem, bardzo mocno rozpowszechnionym wśród osób niewidomych i słabowidzących, zastanawiających się nad posiadaniem Przewodnika. Tak się składa, że wiele osób z dysfunkcją wzroku nie lubi i nie chce poruszać się z białą laską. Powodów tej niechęci jest kilka – od konieczności mozolnego wyszukiwania – a czasem wręcz wymacywania – drogi przed sobą, aż po stygmatyzację społeczną, w odczuciu wielu sprowadzającą posiadacza białej laski do wizerunku osoby słabej i bezradnej. Często rozważaniom nad posiadaniem Przewodnika towarzyszy myśl: „Nareszcie nie będzie trzeba chodzić z białą laską!”. I jest to z gruntu złe rozumowanie – jeśli ktoś nie lubi poruszać się z jej pomocą, to do minimum ogranicza wyjścia z domu, udaje się tylko tam, dokąd bezwzględnie musi: zakupy, lekarz itp. Gdy mamy jednak w domu Przewodnika, musimy zapewnić mu co najmniej 3 spaceru fizjologiczne, w trakcie których pies nie pracuje – wtedy, bez względu na pogodę, z białą laską w ręku codziennie wychodzimy z domu po kilka razy. Przykładowo, moja poranna i popołudniowa trasa spacerowa mają długość po 1,2 km; wieczorny spacer jest krótszy i odbywa się na dystansie 400 m. Wynika z tego, że codziennie w trakcie samych tylko spacerów fizjologicznych, pokonuję z białą laską ok. 2,8 km. Jak łatwo policzyć, w ciągu roku daje nam to ponad 1000 km, a po sześciu wspólnych latach 6000 km – to tak, jakby pieszo przejść z Warszawy do portugalskiej Taviry i z powrotem. Przyznacie, że jak na kogoś, kto nie lubi chodzić z białą laską, to jednak dość duży dystans. Oczywiście nie każdy spacer zawsze jest

tak długi – czasem pada ulewny deszcz, a czasem temperatury rozgrzewają powietrze jak wnętrze piekarnika; wtedy chodzimy na mniejsze odległości, „odrabiając” spacer innym razem, gdy pogoda jest przepiękna – wtedy, 3-4 km leśnymi duktami w trakcie jednego spaceru pokonujemy dzień w dzień. Pewnie dlatego, ku zadowoleniu sprzedawców, regularnie co pół roku gubię roller, czyli obrotową końcówkę białej laski – piasek zimą, a kurz leśnych ścieżek latem ewidentnie mu nie służą. Oczywiście, znam również kilka osób niewidomych, które na spacerzy fizjologiczne z psem nie zabierają białej laski – robią to jednak na swoją odpowiedzialność. Ja nie wyobrażam sobie siebie w takiej sytuacji: przecież po drodze natknąć się mogę dosłownie na wszystko, od zaparkowanej na chodniku hulajnogi, aż po leżącą na ścieżce i wygrzewającą się w słońcu żmiję.

W tym kontekście warto również wspomnieć o pewnym negatywnym efekcie poruszania się z Przewodnikiem, jaki po pewnym czasie pojawia się u ich Opiekunów. Okazuje się bowiem, że bardzo szybko przyzwyczajamy się do komfortu oraz tempa, w jakim w towarzystwie psa przemierzamy różne trasy. I gdy, nagle, przyjdzie nam pokonać jakąś drogę z białą laską w rękę, wtedy okazuje się, że robimy to wolniej, ze znacznie większą ostrożnością i niepewnością, na doskonale znanej nam trasie odkrywamy różne słupki, kosze i inne zagrożenia, z których istnienia dotychczas w ogóle nie zdawaliśmy sobie sprawy. W efekcie tracimy pewność siebie i jeszcze wolniej i ostrożniej zaczynamy badać białą laską przestrzeń znajdującą się przed nami – o takim zjawisku informował mnie dosłownie każdy Opiekun Przewodnika, z którym na ten temat rozmawiałem. Oczywiście, nie występuje ono na trasach spacerowych, ale wystarczy pójść z białą laską w dowolnym innym kierunku, aby natychmiast dopadła nas irracjonalna obawa czy aby zaraz na coś nie wpadniemy; piszę o tym tylko dlatego, żeby każda osoba zastanawiająca się nad posiadaniem w przyszłości czworonogiego Przewodnika, miała pełen obraz sytuacji i wiedziała, co ją czeka.

Wcześniej wielokrotnie nawiązywałem do warunków atmosferycznych. Pisałem o ręcznikach do wycierania łap, myjkołapce, płaszczkach na deszcz i mróz, superchłonnych ręcznikach, czy ochronnych butach – a teraz połączcie, proszę, wszystkie te gadżety z koniecznością regularnego wychodzenia z psem na spacerzy fizjologiczne. Nie ma znaczenia, czy za oknem wieje porywisty wiatr, czy chłoszcze padający deszcz; nawet gdy na chodnikach zalega świeży śnieg po kolana, chcąc nie chcąc, minimum trzy razy dziennie musimy ubrać się odpowiednio do warunków atmosferycznych, stosownie zadbać o Przewodnika, a potem wyjść z nim z suchego i ciepłego domu, aby – po powrocie – wytrzeć go i rozebrać

z ewentualnej odzieży ochronnej. Bez względu na fakt, że jesteśmy zmęczeni, chorzy czy w głębokiej depresji, pies nadal będzie posiadał własne potrzeby, które będziemy musieli zaspokoić; w tym miejscu nawet nie wspominam o sytuacjach, kiedy nasz Przewodnik zachoruje i dopomina się o wyjście, na przykład, pięć razy w ciągu jednej nocy. Niby jest to sprawa oczywista, a mimo tego zdumiewająco często słyszałem od Opiekunów Przewodników, że przed przejęciem psa inaczej to sobie wyobrażali; sam zupełnie nie rozumiem, jak można tego aspektu życia z Przewodnikiem nie wziąć pod uwagę. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to fakt, że żadna z tych osób nigdy wcześniej nie posiadała jakiegokolwiek psa, więc nie zdawała sobie w pełni sprawy, na co się decyduje. Mam więc nadzieję, że po lekturze „ZAKOchanego po uszy” już nikt nie będzie mógł powiedzieć: „Ale ja nie wiedziałem, że to tak będzie wyglądało!”. Przewodnik to nie tylko same korzyści i przyjemność z bezpiecznego i wygodnego przemieszczania się z psem – to przede wszystkim obowiązek i odpowiedzialność za przyjaciela.

Wspomnę jeszcze o bardzo ciekawym efekcie posiadania Przewodnika, jaki zaobserwowałem u siebie wraz z upływem lat: jest to niemal całkowite zrezygnowanie przeze mnie z używania pieszej nawigacji satelitarnej. Dwadzieścia lat temu byłem jedną z kilku pierwszych osób w Polsce z dysfunkcją wzroku, które zainteresowały się tą technologią. Później, przez wiele lat, starałem się promować w naszym kraju różne nawigacje dla osób niewidomych; w roku 2012 byłem nawet współtwórcą niezwykle popularnej mobilnej aplikacji – Seeing Assistant Move. GPS używałem dosłownie codziennie – aż trafił do mnie Zako. Od tamtej pory sukcesywnie zmniejszała się potrzeba kontrolowania przeze mnie przestrzeni za pomocą pieszej nawigacji, a dziś używam jej praktycznie tylko do oznaczania dworców w podróży oraz nowych lokalizacji, na przykład na wakacjach, dokąd nieprędko powrócę. Używam jej jeszcze do oznaczania punktów orientacyjnych, gdy, na przykład, wybieram się na dłuższy spacer w nieznanym terenie; do tego celu ostatnio wykorzystuję systemową opcję nawigacji w inteligentnym zegarku. Przewodnik zapewnia mi taką swobodę i komfort poruszania, że bez obaw przemieszczam się z nim nawet po mało znanym obszarze.

Ten komfort w oczach niektórych osób urasta wręcz do niebotycznych rozmiarów – wśród Opiekunów Przewodników krąży nawet takie porównanie, że zamiana białej laski na poruszanie się z psem przypomina przesiadkę z Małego Fiata na Mercedesa. Według mnie jest ono jednak zbyt ogólne i nie oddaje w pełni faktycznej różnicy – do osób zmotoryzowanych zapewne bardziej przemówi porównanie do przesiadki ze stojącego w korku samochodu spalinowego

z manualną skrzynią biegów, do elektryka z autopilotem; w trakcie takiej jazdy odpada pilnowanie wielu nużących kwestii, a w efekcie, zwykle męcząca podróż w korku nagle okazuje się być całkiem przyjemna. Uważam, że dla osób niewidomych, najlepszym porównaniem tej różnicy będzie samodzielne poruszanie się z białą laską, versus bycie prowadzonym przez ludzkiego Przewodnika, nieznanego danej okolicy. Z jednej strony idziemy bardzo komfortowo, nie obawiamy się, że na coś wpadniemy albo że spadniemy ze schodów – ale cały czas musimy pilnować, gdzie aktualnie się znajdujemy i informować naszego Przewodnika, w którą stronę powinien nas dalej poprowadzić. Dlatego też tak istotna pozostaje kwestia posiadania przez osoby niewidome odpowiedniej umiejętności orientacji przestrzennej.

Jedną z rzeczy, która absolutnie nie zmieniła się przez okres naszych wspólnych sześciu lat, to problemy, jakie ludzie mają z zapamiętywaniem imienia mojego Przewodnika. Gdy wypowiadam je po raz pierwszy, zawsze proszą, abym je powtórzył – i pomimo tego, że zwykle dodaję jakieś dodatkowe podpowiedzi, na zasadzie, że „Zako” jak „Zakopane” czy „Zakopower”, to chwilę później i tak słyszę, jak zwracają się do psa per „Pako”, „Dako” czy „Żako”; oczywiście, nie ma najmniejszych szans na to, aby ktoś na dłużej zapamiętał jego imię. Kiedyś, gdy przejmowałem Przewodnika, uprzedzano mnie, abym nie szafował jego imieniem, aby przypadkowe osoby na ulicy nie wołały go w najmniej odpowiednich sytuacjach; starałem się bardzo na to uważać, do tego stopnia, że raz ekspedientka zapytała mnie w sklepie: „Czy ten pies ma jakieś imię?” Zdumiony powiedziałem, że oczywiście i zapytałem skąd w ogóle to pytanie, na co ekspedientka odrzekła: „No bo Pan do niego ciągle tylko mówi: »Dobry piesek!«, »Chodź piesku!« itd.”. Uświadomiła mi wtedy, że rzeczywiście, po imieniu zwracałem się do Przewodnika tylko w domu. Na szczęście, brzmienie jego imienia znacznie ułatwia sprawę; aktualnie nawet najbliższa rodzina rzadko kiedy pamięta, jak wabi się nasz psiak.

Co ciekawe, identyczna sytuacja dotyczy pochodzenia Przewodnika – gdy mówię komuś, jakiej jest on rasy, to już po kilku sekundach mój rozmówca nie jest w stanie powtórzyć, że jest to Chesapeake Bay Retriever; nawet osoby interesujące się psami mają z tym problem. Niedawno koleżanka z pracy, widząc mnie z Zako, zapytała o zdrowie mojego „Chupa Chups”. Przez wszystkie te lata tylko jedna, przypadkowa osoba, rozpoznała jego rasę – któregoś dnia szedłem z Przewodnikiem na zakupy, gdy nagle usłyszałem, jak kilkunastoletnia dziewczyna zwraca się do ojca: „Tato, zobacz, chesapeake bay!”. Sam Zako jest

podręcznikowym przykładem swej rasy, więc to raczej jej niewielka popularność w Polsce sprawia, że ludzie mają nie tylko problem z jej rozpoznaniem, ale także z zapamiętaniem jej nazwy.

Z upływem lat zauważyłem jeszcze jedną zmianę w otaczającym mnie świecie – na początku poruszania się z Przewodnikiem wiele osób dziwiło się, że regularnie wydaję mu komendy; było to bardzo nietypowe, więc wszyscy zwracali na to uwagę. Dziś już nikt się temu nie dziwi – i to nie dlatego, że ludzie przywykli do naszej obecności w przestrzeni publicznej. Powód jest całkiem inny. Ostatnio bardzo wiele osób uczęszcza ze swymi psami na różnego rodzaju szkolenia i warsztaty. W efekcie, gdy jestem na spacerze, regularnie słyszę komendy: „Równaj!”, „Do mnie!”, „Zostań!” itd. Widzę, że ludzie lubią pracować ze swoimi psami, zarówno Opiekunowie, jak i ich podopieczni czerpią z tego przyjemność. Moim ulubieńcem jest pies o imieniu Bigos, którego pracę od czasu do czasu obserwuję na spacerach. Podobna zmiana zaszła w kontekście wszelkiego rodzaju okryć czy ubranek dla psów – gdy ponad 20 lat temu wyszedłem na spacer z Hamletem ubranym w płaszcz przeciwdeszczowy, wzbudziliśmy ogromną sensację na osiedlu. Dziś już wszyscy są przyzwyczajeni do widoku zwierzaków zabezpieczonych przed działaniem warunków atmosferycznych i nikt nie zwraca na to uwagi.

W tym miejscu powinienem wspomnieć jeszcze o rzeczach, które przez ten cały czas pozostały niezmiennie. Wcześniej pisałem o tym, jak dobrze funkcjonuje mi się z Zako w moim mieście. Regularnie spotykam rodziców z dziećmi, którym cierpliwie tłumaczą, jaką funkcję pełni widziany właśnie pies, co ma on na grzbiecie i dlaczego nie należy go głaskać i przeszkadzać mu w pracy. Właściciele wyprowadzający swoje czworonogi na spacer już z daleka odciągają je na skraj chodnika i zapewniają mnie, że mogę spokojnie przejść z Zako. I choć wydawało mi się, że przez te sześć lat świadomość w społeczeństwie ogromnie wzrosła, to okazuje się jednak, że w tym zakresie również mamy sporo szczęścia. Wielu Opiekunów Przewodników regularnie narzeka na sytuacje, w których osoby postronne zaczepiają ich psy, rozpraszają je i przeszkadzają im w pracy. Ponieważ mnie nic podobnego się nie przydarzało, postanowiłem rozpytać większą grupę Opiekunów, aby znaleźć jakiś wspólny mianownik w tej kwestii. Jedyną prawidłowość, na jaką natrafiłem, to fakt, że Przewodniki najczęściej zaczepiane są w bardzo dużych miastach. Przykładowo, koleżanka poruszająca się przy pomocy psa po Warszawie twierdzi, że dosłownie nie ma ani jednego dnia, aby ktoś nie cmokał na jej Przewodnika, nie zagadywał do niego albo nie

próbował go pogłaskać; za to osoby z niewielkich miejscowości albo w ogóle nie doświadczają podobnych zachowań, albo występują one tak rzadko, że nie stanowią większego problemu. Niestety nie jestem w stanie wytłumaczyć takich zachowań w żaden sposób. Gdyby nawet założyć, że ktoś nigdy nie widział żadnej z kampanii uwrażliwiających na kwestię nierozpraszenia Przewodników, to przecież każdy z psów nosi na sobie uprząż z odpowiednim komunikatem, informującym, że aktualnie jest on w pracy i nie należy mu przeszkadzać. Więc jeśli mimo tego ktoś próbuje głaskać lub cmokać na Przewodnika, to albo nie ma on ze sobą okularów, albo nie czyta, co jest napisane na szorkach, albo też ewidentnie jest to przejaw jego złej woli lub czystej bezmyślności. Słuchając historii, opowiadanych przez rozgoryczonych znajomych, po raz kolejny cieszę się, że mam szczęście mieszkać właśnie w tym, a nie innym miejscu.

Przez cały spędzony z nami czas, jak z uporem twierdzi Alicja, Zako jeszcze nie nauczył się szczekać. Oczywiście psiak szczeka wspaniale – potężnym basem i przeraźliwie głośno, że aż echo niesie się po lesie. Niestety, ku jej ogromnemu rozczarowaniu, robi to tylko w lesie, najczęściej na widok wiewiórki, za którą – będąc na smyczy – nie może rzucić się w szaloną pogoń. Czasem jeszcze uda się go tak mocno rozkręcić w zabawie, że szczekaniem uwalnia nagromadzone emocje, jednak – poza tymi niezwykle rzadkimi sytuacjami – w domu nie szczeka w ogóle. Nie reaguje na dzwoniące telefony, domofony, czy widziane z balkonu inne, szczekające psy. Akurat ja z tej jego powściągliwości jestem bardzo zadowolony – już wcześniej wspominałem, że sąsiedzi ogromnie docenili niewielką szczekliwość naszego Przewodnika. Na szczęście, w tym zakresie nic się nie zmieniło – nadal jest taki cichutki, jak w dniu, w którym do nas trafił.

Po sześciu wspólnych latach Zako – bezapelacyjnie – stanowi nieodłączną część naszego świata. Nigdy nie był wyłącznie Przewodnikiem – stał się członkiem naszej rodziny, a wszelkie jego potrzeby bierzemy pod uwagę tak samo, jak wymagania pozostałych domowników. Rozważając pomysły na wakacje, wspólne zakupy, czy wyjście do restauracji, za każdym razem w swych planach uwzględniamy psa. Stało się to dla nas na tyle naturalne, że aktualnie za każdym razem, gdy ktoś nas spotyka bez Przewodnika, zawsze pada zdziwione pytanie: „A gdzie macie psa?”. Doskonale pamiętam historię, dawno temu opowiedzianą mi przez Rafała. Przez wiele lat poruszał się on ze swoimi kolejnymi Przewodnikami, a ponieważ był pracownikiem naukowym jednego z polskich uniwersytetów, często bywał na różnych konferencjach, zarówno w kraju, jak i za granicą. Z biegiem czasu poznał na nich setki osób, z którymi później

zdalnie współpracował – aż przyszedł ten dzień, gdy na kolejną konferencję wybrał się bez psa. Okazało się wtedy, że nikt go nie poznaje. Jego wizerunek osoby z Przewodnikiem był tak spójny, że napotykańi ludzie nie potrafili go rozpoznać jako osoby, z którą wcześniej kilkakrotnie się spotykali. Wtedy, gdy Rafał opowiadał mi tę historię, nie mogłem w nią uwierzyć. Dziś, szczególnie w różnego typu urzędach, zdarza mi się doświadczać podobnych reakcji. Myślę, że dla wielu osób, zwłaszcza na moim osiedlu, już na zawsze pozostanę „tym panem z pieskiem”.

Aktualnie nie potrafię sobie wyobrazić życia bez Zako. Gdy piszę te słowa, dokładnie jak każdego dnia przez ostatnie sześć lat, leży on pod moim krzesłem. Oczywiście w taki sposób, że nie jestem w stanie wstać od biurka, ale za to wystarczy, abym opuścił dłoń, a trafię na jego chętną do głaskania głowę i pluszowe uszy. Gdy psiak zechce zmienić pozycję na wygodniejszą, to obróci się w taki sposób, że nadal nie będę w stanie odsunąć się od blatu, za to on będzie mógł wygodnie oprzeć głowę, kładąc ją na mojej stopie. Z uwagi na tę jego potrzebę bliskości, musiałem zamienić fotel z kołami na zwykłe krzesło oraz zacząć używać bezprzewodowej klawiatury, żeby w ogóle był w stanie wygodnie pracować na komputerze. Jednak, z upływem lat, zacząłem dzielić z nim tę potrzebę. Dziś, gdy odbieram jakiś telefon, druga dłoń odruchowo szuka tych miękkich uszu, aby choć przez chwilę je delikatnie potłamsić i pougniatać. Gdy czytam książkę, moja ręka już samoczynnie zsuwa się z łóżka, aby natrafić tam na miękkie futro do głaskania. Gdy stoimy w sklepowej kolejce, zwykle wygląda to w ten sam sposób. Zako siedzi przy mojej lewej nodze, przytulony do niej całym bokiem, a palce mojej dłoni rytmicznie drapią go po głowie. Nie mogę obok niego przejść obojętnie. Nawet gdy tylko mijam go w przedpokoju, staram się choć przez chwilę go pogłaskać. Uwielbiam, gdy jest obok mnie. Jak chrapie basem, popiskuje lub cicho poszczekuje przez sen. Gdy budzi się z drzemki, obraca się na grzbiet, a mnie dobiega zapach jego łap, przypominający świeżo przygotowany popcorn. Jak po obudzeniu, za każdym razem przeciąga się, przybierając postawę Sfinksa, oddając pokłon całemu światu. Gdy radośnie posapuje, oblizuje się zakłopotany, zniecierpliwiony tupie na mnie przednimi łapami, zaniepokojony tłucze ogonem w podłogę, albo niezadowolony burczy na mnie w trakcie czyszczenia jego pluszowych uszu; wtedy dobiega mnie również ich charakterystyczny zapach, przywodzący na myśl suszone grzyby. Na koniec, Zako otrzepuje się energicznie, a odgłos uderzających o siebie uszu po raz kolejny wywołuje



uśmiech na mojej twarzy. Gdy go przytulam i głaszczę, pod dłońmi wyraźnie wyczuwam ciemnoczekoladowe loki na jego grzbiecie, satynowo gładkie boki w kolorze mlecznej czekolady, oraz – znajdujące się na brzuchu – najrzadsze i najdelikatniejsze futerko w kolorze zeschniętych traw. Jest niezwykle delikatny. Przytula się ostrożnie i szuka bliskości. Mam wrażenie, że jego naturalny spokój, kontakt z gorącym ciałem zwierzęcia, powolne i regularne ruchy głaskania sprawiają, że ta bliskość jest dla mnie niezwykle kojąca.

Zdaję sobie sprawę, że psy żyją zdecydowanie za krótko i że za szybko przyjdzie ten dzień, gdy Zako opuści mnie na zawsze. Niedługo skończy osiem lat, a ja doskonale wiem, że w chwili osiągnięcia przez niego wieku emerytalnego nikomu go nie oddam i że będę się nim opiekował do samego końca. Na szczęście mam na to warunki, a niestety nie każdy Opiekun Przewodnika ma takie możliwości. Znajomy wspominał mi, że kiedyś zapytał swoją weterynarkę, co dla niej jest najbardziej przygnębiające w jej pracy. Odpowiedziała mu, że sytuacja, gdy ludzie przyprowadzają albo przynoszą jej psa do uśpienia i tuż przed podaniem zastrzyku wychodzą z gabinetu. Najbardziej rozdzierający serce jest wtedy wzrok psa, rozpaczliwie szukającego spojrzeniem swojego pana w ostatnich chwilach życia. Sam doskonale pamiętam, jak, spazmatycznie płacząc, siedziałem na podłodze gabinetu naszego weterynarza i głaszcząc Hamleta w jego ostatnich chwilach, zapewniałem go, że był najlepszym psem na świecie i że nigdy o nim nie zapomnę. Nie wyobrażam sobie, żeby Zako odchodził z tego świata w innych okolicznościach. Dziś już wiem, że nawet jeśli w przyszłości będę miał innego Przewodnika, to na pewno nie będzie on taki, jak Zako. W swoim życiu spotkałem mnóstwo psiaków i żaden z nich, swoim zachowaniem i charakterem, nawet w części nie przypominał tego czekoladowego pluszaka.

Czas emerytury Zako to osobny temat; moich osobistych doświadczeń z tego okresu, z przyczyn oczywistych, tu nie zamieszczę. Wiem, że doświadczenia Opiekunów Przewodników w tym zakresie bywają bardzo różne. Jedni, chcąc nie chcąc, muszą umieścić emerytowanego psa w innym domu – czasem jest to ich rodzina, czasem obce osoby. Jednym w tym pomagały organizacje przekazujące im Przewodniki, inne musiały ten problem rozwiązać samodzielnie. Są też Opiekunowie, którzy, tak jak ja, mają możliwość zatrzymania dotychczasowego psa nawet w sytuacji, gdy otrzymają nowego Przewodnika. Na pewno rozważał będę ubieganie się o kolejnego, gdy tylko pojawi się taka konieczność, ale tymczasem zamierzam cieszyć się każdą wspólną chwilą bliskości: gdy, z gitarą w ręku, siadam na sofie, a Zako jednym susem wskakuje na nią i układa się za

moimi plecami, gdy siadam z kawą do lektury aktualności, a Zako odsuwając stolik kawowy, robi sobie miejsce i układa się z pyskiem na mojej stopie, gdy gromkim basem w lesie szczeka na wiewiórki, albo, gdy wracam z delegacji, Zako z moim kapciem w zębach radośnie biega po całym mieszkaniu. Każdy z tych – i podobnych – momentów sprawia, że marzę, aby Zako żył wiecznie.

# ZAKOŃCZENIE

Przystępując do spisywania naszych wspólnych doświadczeń, cały czas przed oczami miałem nie tylko własną historię, wspomnienia obaw, wątpliwości i dziesiątki pytań bez odpowiedzi. Towarzyszyły mi również opowieści wielu osób mających już jednego lub kilku Przewodników oraz takich, które bezskutecznie starały się o psa. Ludzi zniechęconych przez innych do posiadania Przewodnika, takich, którzy z niego zrezygnowali jeszcze w trakcie jego przekazywania albo bardzo krótko po tym, jak pies trafił do ich domu. We wszystkich historiach, które nie zakończyły się happy endem, zawsze przewijał się jeden i ten sam motyw: brak wiedzy, co to znaczy pracować z Przewodnikiem i opiekować się psem. Informacje, pozyskiwane przez zainteresowane osoby, były na tyle szczątkowe, enigmatyczne, a czasem nawet sprzeczne ze sobą, że część Opiekunów decyzję o posiadaniu psa podejmowała na podstawie błędnych założeń. Gdy w końcu dochodziło do konfrontacji wyobrażeń z rzeczywistością, te historie kończyły się bardzo różnie; często, nawet jeśli towarzyszyło im szczęśliwe zakończenie, to droga do niego nie była usłana różami.

Sytuacji nie ułatwiały odmienne podejścia, sposoby szkoleń oraz metody przekazywania psów przyjmowane przez organizacje trenujące Przewodniki. Sprawiały one, że również samo środowisko Opiekunów psów było podzielone: każda z grup zalecenia własnej organizacji uznawała za jedynie słuszne. Na szczęście, na przestrzeni kilku ostatnich lat, przynajmniej ten ostatni problem został rozwiązany. W ramach projektu, realizowanego przez Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, stworzone zostały specjalne standardy, m.in. szkolenia Trenerów, psów, ich hodowli, pozyskiwania oraz przekazywania

osobom niewidomym i słabowidzącym. W pracach nad standardami korzystano z zagranicznych doświadczeń, a udział w nich wzięły wszystkie polskie organizacje szkolące Przewodniki. Dzięki temu obecnie pozyskany w naszym kraju pies, bez względu na przygotowującą go organizację, wyszkolony będzie w ten sam sposób. Będzie znał te same komendy i przekazywany będzie Opiekunowi na dokładnie tych samych zasadach. Co ciekawe, tylko w trakcie realizacji tego jednego projektu, zgodnie z nowymi standardami, od roku 2019 do września 2023 wyszkolonych zostało aż 48 nowych Przewodników. W tym samym czasie, z innych źródeł finansowania, przygotowanych zostało kolejnych kilkanaście psów. Z opinii Opiekunów, posiadających Przewodniki wyszkolone według nowych standardów, wiem, że ich jakość pracy jest znacznie lepsza, nie tylko od tych trenowanych na wcześniejszych zasadach, ale także u tych pozyskanych zza granicy, na przykład ze Stanów Zjednoczonych.

Upływ czasu i nowe standardy sprawiły, że wzrosły również koszty wyszkolenia Przewodnika. W czasach, gdy do pracy przygotowywany był Zako, jego szkolenie kosztowało około 40 000 zł. Dziś ten koszt wynosi już 70 000 zł. Obecnie można w Polsce znaleźć organizacje lub osoby prywatne, oferujące indywidualne wyszkolenie Przewodnika. Takie podejście ma kilka ogromnych zalet i kilka równie wielkich wad. Do tych pierwszych, na pewno, zaliczyć można niższy koszt szkolenia oraz możliwość wyboru przez przyszłego Opiekuna jakiejś mniej typowej rasy psa; sam słyszałem o owczarkach niemieckich, flandryjskich, a nawet podhalańskich. Co więcej, w trakcie szkolenia, można zwracać uwagę na szczególnie interesujące nas kwestie – na przykład dodatkowe podpieranie Opiekuna i pomoc w zachowywaniu równowagi. Jednak za to wszystko zapłacić musimy już z własnej kieszeni, dodatkowo – najczęściej – sami musimy socjalizować przyszłego Przewodnika, a do samego końca szkolenia nie mamy pewności, czy nasz pies je ukończy i czy zda oficjalny egzamin certyfikujący. Dlatego osobiście uważam, że na taki krok powinny się decydować tylko i wyłącznie osoby, które już wcześniej posiadały innego Przewodnika i wiedzą, czego powinny oczekiwać od Trenera oraz samego psa.

Aktualnie, pomimo łatwiejszego dostępu do bardzo dobrze wyszkolonych Przewodników, osobom zastanawiającym się nad posiadaniem takiego wsparcia nadal brakuje źródeł wiarygodnych informacji z pierwszej ręki. Istnieją suche poradniki, przygotowywane przez organizacje szkolące psy, lecz nie ma publikacji odpowiadających na proste pytania w rodzaju: „Jak to właściwie jest poruszać się z Przewodnikiem?”, „Co czujesz, gdy musisz swoje bezpieczeństwo powierzyć

psu?”, „Jakie są plusy i minusy posiadania Przewodnika?” czy „Ile to naprawdę kosztuje nerwów, stresu i pieniędzy?”. To właśnie podobne wątpliwości, już osiem lat temu, skłoniły mnie do regularnego sporządzania notatek. Początkowo, gdy jeszcze tylko rozważałem pomysł posiadania takiego psa, miały one postać listy plusów i minusów, jednak, wraz z gromadzeniem kolejnych informacji, doszedłem do wniosku, że na bieżąco powinienem notować swoje odczucia, tak, aby w przyszłości móc je udostępnić kandydatom na Opiekuna Przewodnika. Dzięki temu część osób będzie miała szansę poznać perspektywę Opiekuna psa nie tylko na etapie entuzjastycznego przejmowania Przewodnika, ale także z perspektywy kilku, spędzonych wspólnie, lat. Większość powyższych uwag i spostrzeżeń notowana była na bieżąco, więc dość wiernie udało mi się przedstawić myśli i emocje towarzyszące tamtym chwilom. Z drugiej zaś strony, część informacji przyjęła formę krótkich historyjek, ponieważ po prostu tak mi je było najwygodniej zapisać. W trakcie pisania starałem się unikać popadania w mentorski ton – i, mam nadzieję, że mi się to udało. Nie chciałbym, aby ta książka traktowana była jak „sztywny” podręcznik – jest ona jedynie subiektywnym zapisem moich doświadczeń, wrażeń i emocji, doznawanych na przestrzeni ponad ośmiu lat. Chciałbym za to, aby pomogła ona przyszłym Opiekunom Przewodników dokonać łatwiejszego i bardziej świadomego wyboru; w końcu jest to decyzja, która może mieć wpływ nie tylko na ich życie, lecz także na życie ich najbliższych, rodziny, domowników, współpracowników, a nawet sąsiadów. Jest to wybór, z którego konsekwencjami należy się liczyć na lata, więc każdy powinien go dokonać w pełni świadomie, w czym – mam nadzieję – pomoże „ZAKOchany po uszy”.

W tym miejscu chciałbym jeszcze podziękować kilku osobom, bez których nie tylko nie miałbym cudownego przyjaciela, ale również nie powstałaby ta książka. Przede wszystkim moje podziękowania kieruję do Fundacji Vis Maior z Warszawy, która umożliwiła mi ubieganie się o Przewodnika. Cały proces, od aplikowania, aż po przejście psa, odbywał się niezwykle sprawnie. Szczególnie podziękować pragnę Pani Monice Marcelewicz – Sieńskiej, która z ramienia Fundacji wspinała wyszkoliła dla mnie Zako, dopilnowała jego socjalizacji i pomogła nam znaleźć wspólny język. Pokazała, że mogę nie tylko zaufać Przewodnikowi, ale że ze spokojem i w pełni świadomie mogę w jego łapy złożyć nasze wspólne bezpieczeństwo. Chciałbym jej także podziękować za to, że w odpowiednim momencie przekonała mnie, abym dał szansę zupełnie nieznanemu psu, który okazał się być doskonale pasującym do mnie Przewodnikiem. Chociaż miałem

wtedy bardzo mieszane uczucia, dziś wiem, że była to jedna z lepszych decyzji w moim życiu.

Chciałbym również podziękować mojej wspaniałej żonie Alicji, od której to wszystko się zaczęło. To jej tęsknota za psem sprawiła, że w ogóle zacząłem myśleć o Przewodniku. To ona, w trakcie oczekiwania na psa, pocieszała mnie i wspierała w wytrwałości. Gdy Zako do nas trafił, podtrzymywała moją wiarę w siebie i pomagała w pierwszych treningach. A także za to, że doprowadziła moje zapiski do takiego stanu, w jakim ostatecznie do Was trafiły. Dziękuję Kochanie!



Pierwsze spotkanie przy przejmowaniu Zako



Drugie spotkanie w trakcie przejmowania Zako





Trzecie spotkanie w trakcie przejmowania Zako



Linz – domek wynajęty przez Michała



W samolocie



Przed katedrą w Helsinkach



Ławka w wiślańskim parku Kopczyńskiego



Zaznaczanie przejścia dla pieszych



W trakcie konferencji odbywającej się w biurze Fundacji Instytut Rozwoju Regionalnego w Krakowie



Zimowe pieszcoty





Leśny spacer



Nadwiślańskie wały w Krakowie



Spacer w zimowym lesie



Boże Narodzenie



Zako z przyjaciółką



Najlepsie są naturalne zabawki



